Foto: M. Zajdler

W NUMERZE: Co może zagrozić reformie gospodarczej? ■ Rozmowa z Benonem Liberskim ■ Wojny przyszłości ■ Znowu w „Expressie" — wspomnienia Adama Ochockiego z pierwszych lat powojennego dziennikarstwa ■ O winach „patykiem pisanych" ■

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 6 (1259) ROK XXV 16 MAJA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Polityka i kultura

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Zarówno wybór daty jak również pakietu problemów do rozpatrzenia na pierwsze posiedzenie parlamentu w sesji wiosennej nie był przypadkowym. Potwierdzenie tego znajdujemy chociażby w początkowych fragmentach Oświadczenia Sejmu w sprawie porozumienia narodowego, gdzie czytamy m. in.:

„SEJM PRL ZEBRANY W ROCZNICĘ UCHWALENIA KONSTYTUCJI 3 MAJA, NAWIĄZUJĄC DO JEJ IDEI, DEKLARUJE WOLĘ UMACNIANIA SIŁY PAŃSTWA, REALIZACJI REFORM GOSPODARCZYCH I POLITYCZNYCH ORAZ TWORZENIA WARUNKÓW POMYŚLNEGO ROZWOJU OJCZYZNY. SEJM POTWIERDZA SWOJE POPARCIE DLA PATRIOTYCZNEGO RUCHU NA RZECZ WSPÓŁDZIAŁANIA WSZYSTKICH OBYWATELI W DZIELE ODRODZENIA NARODOWEGO".

Do symboliki 3 Maja nawiązywało w trakcie debaty sejmowej wielu posłów. Ze zrozumiałych względów do tego sympolu patriotyzmu i refleksji zarazem najczęściej odwoływał się poseł M. FASKA (SD). Przypomniał on m. in. dwie największe nauki płynące z tamtych wydarzeń sprzed 191 lat. Pierwszą, optymistyczną w odniesieniu do aktualnych problemów naszego kraju, która udowadnia, *że postępowe siły narodu polskiego w tamtych, przecież nie łatwiejszych, chwilach potrafiły skupić się wokół zdrowych i postępowych, światłych idei społecznych, potrafiły znaleźć platformę porozumienia narodowego, sposoby zahamowania rozpadu swej państwowości".* Nauka druga, będąca najwyższej wagi przestrogą, to konstatacja tego, że *„nie dane było bowiem narodowi polskiemu żyć i rozwijać się pod rządami tego mądrego i postępowego (...) aktu konstytucyjnego. Zgubną rolę odegrał tu czas. Za długo społeczeństwo żyło w sklóceniu, rozdarciu i niesnaskach".*

Stan aktualnego pogrążania się naszego narodu i państwa w najrozleglejszym z dotychczasowych powojennych kryzysów trwa już zbyt długo, aby nie poszukiwać sposobu jego skutecznego przezwyciężenia. Sejm na swoim posiedzeniu w dniach 3—4 maja br. uznał, że jedynym sposobem przełamania trwającego wciąż impasu politycznego jest

POROZUMIENIE NARODOWE

„Mamy w Polsce wielki potencjał intelektualny, są zasoby materialne, jest wystarczająca ilość ziemi dla wyżywienia narodu — trzeba tylko jedności działania, wydajnej pracy, sprawnego kierowania i dobrej organizacji" — czytamy w Oświadczeniu sejmowym. Równocześnie w dokumencie tym podkreślono, że *„dzieło przemian w naszym kraju dalekie jest od zakończenia".*

Kontynuowanie tego, co nazywamy umownie odnową i reformą jest niezbędnym warunkiem powodzenia wszelkich działań jednoczących wysiłek intelektualny, produkcyjny i społeczny narodu. Dla społeczeństwa postęp w tym zakresie będzie papierkiem lakmusowym intencji władzy. Stąd też na władzy, na partii zaś w szczególności, leży obowiązek likwidowania w zarodku wszelkich wypaczeń technokratycznych i biurokratycznych, których niebezpieczeństwo odradzania się w stanie wojennym nie przestało być aktualne. Dowodzą tego przykłady praktyki społecznej.

O potrzebie porozumienia się Polaków, porozumienia między władzą a społeczeństwem, porozumienia między różnymi grupami naszego narodu mówili w pierwszym dniu obrąd sejmowych wszyscy posłowie. Wicepremier M. F. RAKOWSKI przypomniał w swoim wystąpieniu, że *„idea porozumienia narodowego ma już swoją historię".* Dodajmy: trudną historię. Tak jak trudna była i złożona, skomplikowana rzeczywistość polska między sierpniem 1980 a grudniem 1981 roku. Mimo niemal powszechnego poparcia tej inicjatywy, mnogości akceptacji tej idei, nie doszło do narodowego pojednania.

Uważam jednak, że to nie może być w żadnym przypadku argumentem przeciw kontynuowaniu wysiłku na rzecz porozumienia. Dla przedsięwzięć tych nie może być alternatywy. Poseł J. BARECKI (PZPR) stwierdził w imieniu swojego klubu, że *„13 grudnia nie pogrzebał żadnej idei, która zrodziła się w czystym nurcie robotniczego protestu z sierpnia 1980 roku".* Dopiero jednak praktyczne potwierdzenie tej tezy może stanowić przesłankę dla procesu przełamywania „pierwszych lodów" wielowarstwowych pokładów nieufności do intencji władzy ze strony społeczeństwa.

Kolejny element konstrukcji porozumienia narodowego może stanowić doświadczenie ostatnich miesięcy. Refleksja nad nimi dostarcza bardziej niż kiedykolwiek argumentów na to, *„że nasze złożone problemy można rozwiązywać tylko przy wspólnym stole wszystkich Polaków. Mamy też świadomość* — podkreślił poseł J. GRZYBCZAK (ZSL) — *że bez zbudowania łączącej wszystkich patriotów wspólnej platformy programowej nie będzie możliwe wychodzenie kraju z kryzysu, zakończenie stanu wojennego, powrót do pełnej normalizacji twórczego życia".* Jestem również za tym, aby przywrócić głęboki sens zawołaniu: „sami o sobie decydujemy, sami dla siebie tworzymy".

Mówiąc o warunkach powodzenia projektowanego porozumienia poseł J. ZABŁOCKI (PZK-S) wspomniał słusznie, że musi ono objąć całe społeczeństwo, w tym również i tę część bardzo zróżnicowaną zarówno w poglądach, jak i postawach. Bez spełnienia powyższego warunku, jak podkreślił mówca — **„nie będzie można skutecznie rządzić, a**

3

HENRYK HARTENBERG

Wiersz o dzikich gwiazdach

Ten pęknięty owoc
Z raną otwartą na jasność dnia
W którym ukryło się wrzące słońce
I miąższ gęsty jak ludzka krew.

Ten owoc podobny tobie

Gdy wpatrzona w skrzydło trzepocącego
Ptaka
Leżysz nieruchoma i otwarta
Jak muszla wyniesiona falą
Wsłuchana w ciemny nurt
Stawania się

Wtedy nawiedza mnie myśl
Że wszystkie ptaki wszystkie zwierzęta
Wszystkie morza doliny i nieba
Wszystkie pokolenia i wieki które przychodzą
I odchodzą
Cała ziemia dzikie gwiazdy
I ty
Leżąca otwarta i naga
W obliczu słońca
W obliczu czasu
W obliczu skrzydlatego dzwonu
Zasłuchanego w mrok

To pęknięty owoc

Z którego wycieka miąższ
Jak krew

Wiersze z tomu poezji liryczno-miłosnej pt. „Pożar w chmurach", które ukażą się w Wydawnictwie Łódzkim. Dalsze wiersze z tego tomu publikujemy na str. 8.

Korespondencja własna z San Remo

MARIA KORNATOWSKA

Kryzys kina. Nijakość, wtórność produkcji filmowej, brak zainteresowania ze strony publiczności. Być może z tego krzysu wyłoni się powoli nowy kształt sztuki filmowej. Wymarzony przez niegdysiejszych entuzjastów X Muzy. Kino przestanie być opowiadaczem wzruszających i pouczających historii, wiernym zwierciadłem życia, przechadzającym się po autostradach i podwórkach. Tę funkcję spełnia znakomicie telewizja. Głód opowieści zaspokoić mogą videokasety.

Być może sztuka filmowa w swym tradycyjnym, kinowym wydaniu utraci z czasem masowy charakter. Takie filmy, jak choćby „Wściekły byk" Martina Scorsese, lub „Lśnienie" Stanleya Kubricka przekraczają granice popularnych gatunków i mimo wielce spektakularnych efektów nie satysfakcjonują w gruncie rzeczy oczekiwań szerokiej publiczności. Wprowadzają niekonwencjonalne sposoby opowiadania, nowy typ myślenia filmowego, koncepcji czasu i przestrzeni, rozumienia realizmu. Analizują rejony rzeczywistości całkiem specyficzne, niedostępne innym środkom ekspresji. Tworzą integralny świat ekranowy, rządzący się własnymi prawami, nieprzekładalny na język werbalnej logiki i werbalnych znaczeń. Doskonała, wysoce precyzyjna technika pozwala osiągnąć iście magiczną sugestywność obrazu i dźwięku, sensualność a zarazem feeryczność wizji. Kino awangardowe wyrasta na glebie komercjalnej wysokonakładowej produkcji. Dziwnymi ścieżkami chadzają dzisiaj muzy.

Kino artystyczne, autorskie, w coraz mniejszym stopniu bywa domeną szlachetnych maniaków, którzy na poły amatorskimi środkami odkrywają nowe możliwości rozwoju sztuki. Nie zmienia to jednak faktu, iż właśnie tego rodzaju twórczość ma ogromne znaczenie nie tylko artystyczne, ale i społeczne. Międzynarodowy Festiwal Filmów Autorskich w San Remo, impreza o wieloletniej tradycji (tegoroczny był już 25 z kolei), stanowi niezbity dowód

9

Monopol dobry czy zły?

MARIUSZ JĘDRZEJCZAK

Terminy monopol, monopolizacja mają dla nas na ogół dość jednoznaczny i to przeważnie negatywny wydźwięk. Jest to niewątpliwy skutek powierzchownych wiadomości na ten temat, wytworzonych w oparciu o obiegowe opinie, jak również niezbyt korzystne doświadczenia własne, wyniesione z dotychczasowej rzeczywistości gospodarczej. Skupiła ona bowiem w sobie, w wielu dziedzinach, niemal wszystkie najbardziej niekorzystne cechy tego zjawiska.

Mopnopol, rozumiany jest więc przeważnie, jako swego rodzaju wyłączność produkcji lub dystrybucji, ewentualnie obu tych cech jednocześnie, w odniesieniu do określonej grupy towarów i usług. Ze zjawiskiem tym wiąże się również fakt, dyktowania cen na te dobra, cen zwykle wysokich, w celu zwiększenia zysku. Można chyba śmiało zaryzykować stwierdzenie, że jest to podstawa naszego „image" na temat tego zagadnienia.

Warto więc może w tym miejscu przytoczyć kilka podstawowych cech charakteryzujących współczesne organizacje monopolowe w krajach wysoko rozwiniętych.

Pierwszą i podstawową jest fakt, iż we współczesnym świecie praktycznie nie istnieje zjawisko monopolu, rozumianego w ścisłym tego słowa znaczeniu, to jest w sensie absolutnej dominacji producenta czy dystrybutora na danym rynku. Na ogół mamy sytuację oligopolistyczną, w której funkcjonuje, niejako równolegle, kilka organizacji gospodarczych na określonym rynku. Dopuszcza to możliwość pewnej konkurencji między nimi. Najczęściej spotykaną formą funkcjonowania organizacji monopolowych są korporacje, koncerny i spółki akcyjne, często wykraczające zasięgiem swego

4

Przegląd prasy

„ZDANIE"

— pismo Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica" w Krakowie — narodziło się jako kwartalnik. Zaczęło wychodzić w czerwcu 1978 roku i do końca 1981 roku ukazało się 15 jego numerów. W kwietniu 1982 roku ukazał się pierwszy numer miesięcznika „Zdanie", którego redaktorem naczelnym został Zbigniew Regucki. Decyzję o przekształceniu „Zdania" w miesięcznik podjęto w październiku 1981 roku, ale — z wiadomych powodów — pierwszy numer ukazał się dopiero w kwietniu tego roku. Stąd też i część materiałów, które drukuje redakcja „Zdania" w pierwszym swym numerze pochodzi jeszcze sprzed grudnia ubiegłego roku. Ale nic nie straciły one ze swej aktualności.

Spora część materiałów dotyczy badań nad źródłami polskich kryzysów. Stanowią one dział pisma zatytułowany: *„Historia najnowsza"*. Otwiera ten dział rozmowa z członkiem Biura Politycznego, sekretarzem KC PZPR, prof. Hieronimem Kubiakiem, następnie idą materiały: Jerzego Wiatra (fragmenty „Założeń teoretycznych analizy konfliktów społecznych"), Jarosława Ładosza (fragmenty „Źródeł i charakteru naszego kryzysu"), Stefana Jędrychowskiego (wspomnienia „Mój pogląd na źródła kryzysów w Polsce Ludowej") oraz rozmowa z Marią Turlejską „Dylematy historyka", którą Andrzej Magdoń przeprowadził w listopadzie 1981 roku.

Wszystko, co dotyczy historii najnowszej Polski budzi szczególne zainteresowanie. Temat to ogromny i ciągle niezbadany, bo i zbadany być nie może, jako że potrzebny jest dystans historyczny, udostępnienie materiałów, zrozumienie procesów dziejowych, w których takie czy inne wydarzenia mają swoje miejsce.

Prof. Hieronim Kubiak w swoich wypowiedziach stawia pytanie o rolę inteligencji w partii i tak próbuje na to pytanie odpowiedzieć:

„W drugim wymiarze, który jest tutaj, w moim przekonaniu jeszcze ciekawszy i bardziej złożony, bo nie rozpoznany — kiedy musimy pytać o miejsce i rolę inteligencji w partii. Ten typ partii, do którego należy Polska Zjednoczona Partia Robotnicza ma i musi mieć dwie ściśle z sobą sprzężone cechy. Po pierwsze, musi to być partia wyrastająca spośród robotników, ciągle z nimi związana, ciągle wyrastająca od nowa, ciągle odnawiająca się przez procesy zachodzące wśród robotników. Zatem, zawsze musi to być partia tej klasy. Po drugie, ten typ partii, do którego należy Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, nie może spełniać właściwie swych funkcji bez inteligencji. Dlaczego? Ponieważ obejmuje ona partie, które jednocześnie wyrastają i z żywiołowego buntu robotników przeciwko zastanemu status quo i z refleksji teoretycznej nad procesem dziejowym. Z tej refleksji przecież wyrósł także marksizm. I jeśli tak, jeśli w partii — ze względu na klimat wewnętrzny, sposób działania, sposób kierowania partią, nie ma autentycznego zapotrzebowania na ferment intelektualny, jeśli partia nie przyciąga do siebie inteligencji jeśli nie stwarza jej właściwych możliwości uogólniania żywiołowego doświadczenia — to wtedy partia zostaje pozbawiona tego, co współstanowi o jej swoistości — otwartego, mądrego myślenia teoretycznego o własnej rzeczywistości."

To też może być jednym z powodów kształtowania się kryzysów. Kryzysów których było już kilka, a których chcielibyśmy wszyscy uniknąć w przyszłości, bowiem jeszcze nie udało się nam wyjść z tego ostatniego. Te kryzysy — jak słusznie podkreśla to Jerzy Wiatr — miały różny charakter. Prof. Jerzy Wiatr odróżnia konflikty od kryzysów, które stanowią szczególnie silny splot konfliktów — *„tak silny, że wywołuje on istotne zakłócenia w funkcjonowaniu władzy"*. I stąd jeśli mówi się, że pierwszy kryzys nastąpił w Polsce w 1948 roku, to miał zupełnie różny charakter i polegał na tym, że *„w warunkach spokoju wewnętrznego, bez poruszenia mas, niejako w stylu przewrotu „pałacowego" dokonany został zwrot polityczny w PPR, o niezwykle wielkim znaczeniu"*. Odrzucone zostały poszukiwania „polskiej drogi do socjalizmu", a przyjęto kierunek dogmatyczno-sekciarski. I to był powód następnego kryzysu, z 1956 roku, w którym wystąpiły już masy.

Z takim poglądem zgadza się też Stefan Jędrychowski. Jak zapewne wielu Czytelników pamięta, Stefan Jędrychowski był świadkiem powstania niektórych mechanizmów rodzących kryzysy. Urodził się w 1910 roku, należał do wileńskiej grupy „Poprostu", działał w ruchu antyfaszystowskim, współredagował i pisywał w lewicowych pismach ukazujących się w Wilnie. Wojnę przeżył w ZSRR, był oficerem I dywizji im. T. Kościuszki. Później wysoki urzędnik państwowy, przedstawiciel PKWN w Moskwie, rządu tymczasowego w Paryżu, od 1948 roku prezes Centralnego Urzędu Planowania, a później wiceprezes i prezes Komisji Planowania Gospodarczego przy RM, od 1968 r. minister spraw zagranicznych, od 1971 — minister finansów, od 1974 — ambasador PRL w Budapeszcie, od 1980 emeryt. Jak z tego widać ma co wspominać i o czym pisać. Stefan Jędrychowski skarży się zresztą — i słusznie — że wielu byłych działaczy państwowych i politycznych, mających ogromne doświadczenie, wielką wiedzę, nie ma możliwości służenia tym wszystkim, tym którzy aktualnie decydują i którym przydałyby się spostrzeżenia innych, nawet nie po to, aby naśladowali stare wzory, ale, aby doświadczenia poprzedników mogły być materiałem do przemyślenia. A przemyśleń nigdy za mało. Lepiej się dwa razy namyśleć się — uczą właśnie ludzie doświadczeni— niż raz popełnić błąd.

Maria Turlejska mówi o trudnościach pracy historyka nad dziejami najnowszymi. Powiada ona: *„Nauczyłam się, że jednak historyk musi wiedzieć, co wynika z wydarzeń"*. Musi zatem patrzeć na wydarzenia z perspektywy czasu. Tak też jest w sprawie naszych kryzysów. *„Wydaje mi się* — mówi M. Turlejska — *że nasze kryzysy zawsze tylko ujawniają to, co się gromadziło wcześniej. Myślę, że trzeba by zbadać okresy między kryzysami, sięgnąć do przyczyn, a nie do przebiegu samego kryzysu."* A więc poznać przyczyny, a nie tylko skutki. Skutki zresztą znamy, choć częstokroć nie posiadamy całej o nich wiedzy. Uczestnik jakichś wydarzeń widzi ich fragment, nie zdaje sobie sprawy, bo i zdawać nie może, z całości wydarzeń, a już w żadnym wypadku z ich pełnego znaczenia w procesie historycznym, bo to znaczenie ujawni się później i będzie mogło być w pełni ocenione w kontekście całości stawania się dziejów, a więc z perspektywy czasu. Dlatego historycy zwracają uwagę na to, że nie zawsze należy wierzyć sądom epoki o sobie samej, mogą i bywają fałszywe megalomańskie.

„Zdanie" jest pismem poważnym i ciekawym. Ale pisanie o „Zdaniu" to trochę tak, jak opowiadanie bajki o duchach, w które wszyscy wierzą, a mało kto je widział. „Zdanie" też jest trudno dostać w naszych kioskach, bowiem „Ruch" nie nauczył się jeszcze, że zmieniło się oblicze naszej pracy i ludzie mogą dziś szukać tego, czego dawniej nie poszukiwali. Trzeba więc im podsuwać różne propozycje.

LUCJAN BOGUSZ

FRANCUZI WIDZĄ TO INACZEJ

Francuski publicysta, André Fontaine, opublikował w LE MONDE (12.4.1982) artykuł na temat konfliktu brytyjsko-argentyńskiego o Falkiandy, którego fragmenty przedrukowujemy. Odnosi się on krytycznie do stanowiska brytyjskiego w tym konflikcie, ale dostrzega też ujemne skutki, jakie z tego mogą wyniknąć dla Argentyny. Swoje uwagi André Fontaine pisał kiedy jeszcze nie rozpoczęły się walki wokół Falklandów. Dziś, kiedy padły już pierwsze ofiary, pokojowe rozwiązanie konfliktu wydaje się jedynym wyjściem, a absurdalność wojny o dalekie wyspy jeszcze baraziej oczywista.

(...) Argentyńczycy przez 149 lat godzili się z brytyjską obecnością na Malwinach, usiłując w ostatnich 17 latach bezskutecznie doprowadzić do rokowań w tej sprawie. Czyż Królestwo przywyknie do myśli o konieczności rozstania się ze swymi dalekimi posiadłościami, których w każdym razie nie jest w stanie wiecznie bronić? Faktem jest, że stary lew brytyjski, którego grzywa — jak sądzono — zdarta jest aż do skóry, zareagował donośnym rykiem na wylądowanie żołnierzy generała — prezydenta Galtieriego. „Fingoism", będący odpowiednikiem — z odcieniem bardziej imperialnym — naszego szowinizmu, nie umarł. Już przed 100 laty Albert Sorel w swojej pracy „Europa i Rewolucja Francuska" stwierdzał, że ich historia (Brytyjczyków) jest bogata w owe przeplatanie się obojętności, która skłania do uwierzenia, że chylą się ku upadkowi, z gwałtownymi wybuchami zbijającymi z tropu ich wrogów".

„Thanks Good!" nie została jeszcze doprowadzona do końca operacja „uszczuplenia" floty brytyjskiej, zapoczątkowana przez panią Thatcher, by zdobyć fundusze konieczne do zakupu w USA rakiet Trident DS-5, mających zastąpić przestarzałe Polarisy; również nie dostarczono jeszcze nabywcy australijskiemu lotniskowca „Invincible". Można więc było wystawić potężną armadę wysyłając flotę w tak odległe rejony, nie bacząc na to, że w znacznym stopniu osłabia się jedno z głównym morskich ogniw obrony „wolnego świata". Już dawno nie wypłynęła na pełne morze flota tak ogromna, stawiająca sobie za cel ratowanie honoru, z którego na przeciwległym krańcu ziemi zakpiono sobie. Po raz ostatni — a było to chyba w październiku 1904 roku — podobna historia wydarzyła się, gdy flota rosyjska podniosła kotwicę, odpływając na Daleki Wschód zagrożony przez Japonię.

W sześć miesięcy później została ona zatopiona w pobliżu wysp Cuszima. Na pierwszy rzut oka, flocie Jej Królewskiej Mości podobny los nie grozi. Nawet mimo tego, że — jak twierdzi THE ECONOMIST — część wyposażenia tej floty jest tak stara, że „nadawałaby się do muzeum". Jednak dysponuje ona doskonale wyszkolonymi załogami i paroma bardzo nowoczesnymi jednostkami, a mianowicie czterema okrętami podwodnymi o napędzie atomowym. Argentyńczycy unikając otarcia się o nie, zapewne postąpiliby najrozsądniej. Ale w epoce mostów powietrznych już nie wystarcza panowanie na morzach — lub ściślej mówiąc — na kawałku oceanu, by zapewnić sobie władanie jakimiś 200 wysepkami rozproszonymi w czterech strefach czasowych. Nie jest sprawą prostą walczyć o panowanie w powietrzu i na lądzie, dysponując tylko 18 samolotami, to prawda że wyposażonymi w ultranowoczesne rakiety, przeciwko 120 samolotom przeciwnika, w tym 43 typu Mirage-III Dysponując 3 tysiącami żołnierzy przeciwko trzykrotnie większej liczbie tych, którzy się okopali na wyspach. A na domiar utrapień baza zaopatrzeniowa i najbliższe lotnisko znajdują się na Wyspie Wniebowstąpienia, odległej od Malwin o 3 tys. mil morskich, czyli o 7 dni płynięcia morzem. Zmierzająca ku Falklandom eskadra musiała w tej sytuacji wyruszyć w drogę w jakże niewygodnym dla niej towarzystwie tankowców, tak podatnych na atak z powietrza, i nie pozostaje jej nic innego, jak prosić Boga, by nie potrzebowała w czasie swej wyprawy zbyt wielu części zamiennych.

Prosić Boga, lub zwrócić się do Chile, które wprawdzie jest pod względem reżimu kuzynem Argentyny, ale jednocześnie ma z nią konflikt o Kanał Beagle. Interesy strategiczne nie mają więcej zabarwienia ideologicznego, niż pieniądz zapachu. Francis Pym, następca rozbrajającego naiwnością lorda Carringtona, wprawdzie zapewnił sobie poklask Izby Gmin słowami, że „Wielka Brytania nie pertraktuje z dyktatorami", ale „żelazna dama" uważa, że są dyktatorzy i dyktatorzy: jest już gotowa do uznania, iż faszysta Pinochet jest człowiekiem czarującym, jeśli pomoże jej pozbyć się faszysty Galtieriego.

(...) Już toczy się bitwa polityczna. Obie strony tak bardzo zaangażowały się prestiżowo, że porażka każdej z nich byłaby bardzo głęboko odczutym ciosem. A w danym wypadku dostałoby się również zwycięzcy. Nie ma w Zjednoczonym Królestwie komentatora, który kwestionowałby to: Brytyjczycy nie są w stanie na dalszą metę nie tylko utrzymać swego władania Malwinami, ale nawet jeśli zdecydują się na blokadę, to i tak nie utrzymają Malwin dłużej, niż przez 15 dni (ocena THE ECONOMIST z 10 kwietnia), lub dłużej niż przez 2 miesiące (prognoza pułkownika Alforda z Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych, którą cytuje tygodnik NEWSWEEK z 19 bm). Jeśli Brytyjczycy zdecydują się na desant, to odzyskanie wysp będzie niewątpliwie operacją kosztowną, a przy tym jej wynik byłby niepewny. Gdyby doszło do zakrojonych nawet na niewielką skalę walk o stolicę archipelagu, całkowicie zbudowaną z drewna, szybko zamieniłaby się ona w popiół.

Jeśli zaś Argentyna okaże się zwycięzcą w tym konflikcie, to nadal ponosiłaby koszty odwetowych kroków gospodarczych podjętych przez Brytyjczyków, którzy już zamrozili argentyńskie mienie w W. Brytanii, a tymczasem zadłużenie Buenos Aires wobec zagranicy jest o 5 mld dolarów większe niż Polski, chociaż ludność Argentyny jest o 9 milionów mieszkańców mniejsza. Z chwilą gdy minie okres egzaltacji nacjonalistycznej, kraj szybko znajdzie się znowu w obliczu tych samych trudności, które skłoniły władze do szukania w sprawie falklandzkiej ucieczki od nich.

Broń ekonomiczna, którą W. Brytania ma do dyspozycji, jest tym groźniejsza, że Europejska Wspólnota Gospodarcza w pełni solidaryzuje się z Londynem, zresztą nie bacząc, że ucierpią na tym kraje EWG sprzedające Argentynie więcej, niż kupują od niej. Pani Thatcher nie będzie już mogła uskarżać się, że jej partnerzy kontynentalni nie odwdzięczają się — jak twierdzi — za każdy gest poczyniony w stosunku do nich przez W. Brytanię. Trudno dopatrzeć się w stanowisku zajętym w sprawie Falklandów przez „dziesiątkę" innych motywów, niż istnienie — wbrew wszelkim oczekiwaniom — pewnej solidarności europejskiej. Jeśli bowiem chodzi o reagowanie na jednostronne akty aneksji — a w historii współczesnej nie brak tego rodzaju przykładów, począwszy od Goa a skończywszy na Wzgórzach Golan — kraje Wspólnego Rynku nigdy nie podejmowały decyzji o tych rozmiarach. Tym bardziej, że chodziło przecież o zbrojne interwencje: mianowicie Grecy cypryjscy, żyjący przecież w Europie, mieliby prawo dziwić się, że okupacja od blisko 8 lat, bez najmniejszego usprawiedliwienia w prawie międzynarodowym, przez armię turecką 40 proc. powierzchni ich wyspy, nie spowodowała sankcji podobnych do tych, które zostały uchwalone przez EWG.

Jednak nigdy nie jest za późno na to, by słusznie działać. Jeśli ta pokerowa zagrywka w sprawie Malwinów miałaby zakończyć się wykazaniem, że nie zawsze można łamać zakazy, że agresja nie zawsze popłaca, to tak doskonałe dokumenty jak Karta Narodów Zjednoczonych, Deklaracja Praw Człowieka i Akt Końcowy z Helsinek może odzyskałyby pewien autorytet. Byłoby to nader potrzebne światu, w którym wszystko pęka, rozpada się.

Dzień Zwycięstwa

Berlin padł 2 maja, lecz hitlerowskie Niemcy prowadziły przegraną wojnę jeszcze niemal przez tydzień, aby akt bezwarunkowej kapitulacji podpisać krótko po północy, dokładnie o godz. 0.43 dnia 9 maja.

W 37 rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem w Warszawie przed Grobem Nieznanego Żołnierza odbyła się uroczysta odprawa wart, następnie w hołdzie wszystkim, którzy oddali życie za niepodległość ojczyzny, złożone zostały wieńce i kwiaty. Pierwszy wieniec — „Od Narodu" — składali: I sekretarz KC PZPR, prezes Rady Ministrów, przewodniczący Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego gen. armii WOJCIECH JARUZELSKI, przewodniczący Rady Państwa HENRYK JABŁOŃSKI, marszałek Sejmu STANISŁAW GUCWA, prezes NK ZSL ROMAN MALINOWSKI, przewodniczący CK SD EDWARD KOWALCZYK, honorowy prezes ZD ZBOWiD, b. naczelny dowódca Wojska Polskiego, marszałek Polski MICHAŁ ROLA-ŻYMIERSKI, prezes Rady Naczelnej ZBOWiD gen. dyw. MIECZYSŁAW MOCZAR.

W Łodzi uroczystości odbyły się pod Pomnikiem Braterstwa Broni, a także przed Grobem Nieznanego Żołnierza, gdzie złożono wieńce i kwiaty, w tym od władz partyjno-administracyjnych województwa i stronnictw politycznych. Wspólną delegację stanowili: członek Biura Politycznego, I sekretarz KŁ PZPR TADEUSZ CZECHOWICZ, przewodniczący ŁK SD STANISŁAW ŻAŁOBNY, sekretarz WK ZSL STANISŁAW WOJTUNIK, członek WRON, pełnomocnik KOK na województwo łódzkie płk. dypl. KAZIMIERZ GARBACIK, prezydent m. Łodzi JÓZEF NIEWIADOMSKI.

Tegoż dnia w Krakowie, zgodnie z przeszło już 700 letnią tradycją, odbyły się uroczystości ku czci św. Stanisława, które rozpoczęła procesja z Wawelu do klasztoru OO Paulinów na Skałce.

W czasie mszy świętej prymas Polski JÓZEF GLEMP wygłosił homilię, w której — relacjonujący za PAP — stwierdził m.in., iż naród polski dysponujący tak wielkim doświadczeniem politycznym i umiłowaniem wolności musi kierować się w swych poczynaniach mądrością. Mądrość zaś oznacza rozwagę, umiejętność dialogu i formułowania własnych, słusznych żądań. Kamień — powiedział prymas — jest najgorszym argumentem w dyskusji. Wielu ludzi zwątpiło w ducha porozumienia, ale Episkopat Polski i Rada Prymasowska uważają, że porozumienie i dialog są możliwe. Sytuacja społeczna, polityczna i gospodarcza Polski jest trudna, bardzo trudna, ale nasz naród musi mieć przyszłość, musi uwierzyć w realność perspektyw.

Witamy „Głos literacki"

Bardzo piękny, bardzo prawdziwy, choć jednocześnie trochę smutny felieton opublikowała w minioną środę 5 kwietnia na łamach „Expressu Ilustrowanego" Dorota Chróścielewska; coraz ambitniej redagowana łódzka popołudniówka — dodajmy już w tym miejscu — wciągnęła zresztą do współpracy również i innych pisarzy, Wiesława Jażdżyńskiego, Mirosława Kuźniaka, oby tak dalej tylko!

„Dziś gdy maszerujemy do pracy — pisze Chróścielewska — i z pracy (benzyny nie ma, na taksówki nie ma, ao tramwaju nie zawsze się człowiek wepchnie) mijamy zawalone pismami kioski. Proszę bardzo: „Polityka", „Życie literackie", „Odgłosy", do wyboru, do koloru. Każde po 20 złotych. Cena miesięczników zawrotna: „Poezja" 100 złotych, „Literatura na świecie" — 120 złotych.

Specyfiką polską jest to, iż ludzie naprawdę zamożni pism społeczno-kulturalnych nie kupują. Eks-średniacy i bez tego wydatku ledwo wiążą koniec z końcem.

Podejrzewam, iż redaktorzy naczelni dzisiejszych periodyków popadną w najbliższej przyszłości w jeden z najcięższych nałogów. Sądzę, że już niebawem będzie można pisać dysertacje naukowe pod tytułem: Narkomania wśród potentatów prasowych w latach 1982—19... Ci bowiem łykają w ilościach przez medycynę niedopuszczalnych tabletki uspokajające.

Temu nieszczęściu są winni poeci. Ich obecność w piśmie jakoś nie przyczynia się do wyprzedaży wielkonakładowej przecież gazety. Mimo to wciąż biednych naczelnych nachodzą i, jakby nie rozumieli, błagają: wydrukuj! A taki redaktor przecież wie, że gazeta znajdzie nabywców tylko wtedy, gdy opublikuje „ociekający krwią" reportaż o wampirze. Wampiry też zresztą nie rodzą się na kamieniu, a pismo musi przecież wychodzić co tydzień. Redaktorzy ratują więc nakład przedrukowując na przykład dzieło odbrązowiające Niemcewicza. Sądzę jednak, że jak publika się zaweźmie i nie będzie chciała kupować — przyjdzie kolej także na „Trędowatą".

A poeci chodzą i płaczą. I to wcale nie dlatego, że chcą się dorobić (honorarium na opublikowanie wiersza stanowi najczęściej równowartość trzech paczek Filter 200). Im marzy się sława!"

Święte słowa, niestety, choć odrobinkę pani Dorota — co felietoniście wolno — przesadziła; wiersze jednak drukujemy, a honorarium jest cokolwiek wyższe. Ze sławą gorzej, periodyki — wszystkie, choć oczywiście w różnym stopniu — tracą z wolna czytelników, ktoś, kto kupował pięć—sześć tytułów, kupuje teraz dwa najwyżej i stawaj tu na głowie, by się wśród tych dwóch znaleźć.

Z tym większą radością witamy „Głos literacki", cykliczny dodatek „Głosu Robotniczego", mający piękną ambicję dotarcia również do tych czytelników, którzy po pisma społeczno-kulturalne sięgają rzadko, lub nawet wcale.

„Możliwości gazety codziennej są nader skromne — piszą koledzy z „GR" w wydaniu z dnia 6 maja — *ale mamy nadzieję, że wspólnym wysiłkiem — naszym i środowiska literackiego — stworzymy formułę „Głosu literackiego", która w piśmie o masowym nakładzie będzie zachęcała Czytelników do bliższego kontaktu z literaturą."*

W pierwszej edycji dodatku znajdujemy wiersze Tadeusza Chróścielewskiego, fragment przygotowywanej do druku nowej powieści Władysława Rymkiewicza „Lech Lechistanu", recenzje z tomu opowiadań Wandy Karczewskiej „Ułaskawienie świata" i z powieści Tadeusza Nowaka „Wniebogłosy".

Czekając na kolejne wydanie „Głosu literackiego" warto może przypomnieć, że po upadku „Łodzi literackiej" i „Kroniki", „Odgłosy" właśnie z „Głosu" się zrodziły (stąd nawet i nazwa), łącząc ambicję literatów i dziennikarzy, ewoluując się niejako z sobotniego dodatku gazety, którego redaktorem był dzisiejszy korespondent PAP we Włoszech, Zbigniew Chyliński.

Wyrastamy więc niejako ze wspólnego pnia, nic nas nie dzieli, łączy wspólna troska o jak najszerszą popularyzację sztuki, literatury i nie tylko literatury, witamy więc w „Głosie literackim" z dawna oczekiwanego przez środowisko cennego sprzymierzeńca i partnera.

JERZY PANASEWICZ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki,** (z-ca sekretarza redakcji), **Teresa Jerzykowska, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (redaktor techniczny), **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652 44 sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo doskrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36782.
Zam. 795. F-2

Polityka i kultura

Dokończenie ze strony 1

cóż dopiero wyprowadzić kraj z kryzysu".

Koniecznym warunkiem porozumienia, jak stwierdził poseł J. Waleczek (PAX) jest uznanie podmiotowej roli społeczeństwa polskiego w kształtowaniu przyszłości Ojczyzny oraz faktu, że porozumienie jest możliwe jedynie w kwestiach podstawowych. To — jak stwierdził J. Waleczek — powinno natomiast stworzyć dopiero drogę do spokojnego rozważenia spraw szczegółowych w atmosferze dialogu i wzajemnego zaufania.

Już choćby z zacytowanych głosów wynika, że egzystująca dotąd jakby obok głównego nurtu wydarzeń w naszym kraju i to jedynie jako idea, sprawa narodowego porozumienia zaczyna nabierać konkretnych treści. Natomiast uważam, że pewne nieporozumienie może budzić propozycja skrótowo ujętego hasła, zgłoszonego w zakończeniu wystąpienia M. F. Rakowskiego, a wyrażona następującymi słowami: *„chcemy kierować się zasadą, że kto nie jest przeciw nam, ten powinien być z nami".*

Wydaje mi się, że kryterium oceny tego kto jest „przeciw", a kto „za" winien być stosunek do socjalizmu i dobra kraju, a nie należy tego rozumieć jako stosunek do ekipy czy władzy w ogóle. Byłoby błędem gdybyśmy sens porozumienia chcieli sprowadzić tylko do poparcia dla ekipy co już raz wyraziło się w odpowiedzi na gierkowskie zawołanie: Pomożecie?.

Pojednanie służyć winno stworzeniu warunków dla zaincjowania ogólnonarodowych, patriotycznych działań na rzecz urzeczywistniania idei socjalizmu. Skoro zaś podmiotową rolę w porozumieniu winien odegrać naród, to zadaniem władzy będzie sprawne koordynowanie tym wysiłkiem w taki sposób, aby nic co cenne nie poszło na marne, abyśmy się nie musieli ani wstydzić, ani przekreślać jeszcze jednej dekady.

Sejmowej debacie na temat porozumienia narodowego towarzyszyły

NIEPOKOJĄCE ZJAWISKA

— manifestacje, demonstracje i uliczne incydenty, w których uczestniczyło od kilkuset do kilku tysięcy osób. Do najpoważniejszych incydentów doszło w Warszawie. Rozpoczynając dyskusję w drugim dni obrad poseł J. Szczepański przestrzegał: „Tłum demonstrujący zmienia się łatwo w tłum niszczący". Jak wynika z relacji i oświadczenia ministra gen. *CZ. KISZCZAKA*, tak też się w stolicy stało.

Jakich by nie szukać „usprawiedliwień", co by nie kłaść na karb znacznej podatności młodych wszelkim manipulacjom (bo młodzież stanowić miała większość demonstrujących), to wymowa tego, co stało się na ulicach wielu polskich miast w czasie kiedy Sejm dyskutował nad szansami ziszczenia idei porozumienia narodowego jest aż nadto jednoznaczna. W tej kwestii trudno również nie zgodzić się ze stwierdzeniem *M. F. RAKOWSKIEGO*, wypowiedzianym na konferencji prasowej w gmachu Sejmu: *„prawdą jest, że niestety ci co uczestniczyli w tych wydarzeniach piszą również komentarz do propozycji porozumienia narodowego".*

Wymowa polityczna zamieszek ulicznych w dniach 1 i 3 maja ma zarówno swoją symbolikę, jak i głęboka i na całe szczęście nie tragiczna dramaturgię. Tylko, że symboli i dramatów to w lamusie naszej narodowej historii jest już aż nadto. Od tego, że dodamy jeszcze jedne, nie przybędzie niczego, co ułatwiłoby nam życie i nie pomoże nam rozwiązać żadnego z aktualnych polskich dylematów.

Jest głęboka racja w stwierdzeniu wypowiedzianym przez posła J. Szczepańskiego, że zarówno rząd jak i Sejm, powinny kontynuować politykę ugody właśnie teraz, wbrew temu co się 3 maja stało. Równocześnie godne przypomnienia jest i to: *„Jest naszym zadaniem przede wszystkim zastanowić się nad tym, co z polityki rządu i działalności Sejmu zachowuje pełną ważność, co musimy kontynuować, a w czym powinniśmy zmodyfikować nasze działanie".*

Twierdzę, że podobna refleksję winniśmy uczynić wszyscy, całe społeczeństwo, wszystkie jego grupy, wszyscy Polacy, aby odpowiedzieć sobie na pytanie: dokąd zmierzamy? Co chcemy naprawdę osiągnąć?

Bez tego rodzaju konkluzji współczesnej, a więc już i tej „wojennej" rzeczywistości, nie będzie ani narodowego porozumienia, ani realnych widoków na przełamanie politycznego impasu, ani nadziei na wyrwanie się z zaciskających się wciąż kleszczy kryzysu.

Skonstatujmy zatem: nie ma alternatywy dla porozumienia narodowego. Porozumienia nie zbuduje się jednak na dobrej woli z jednej strony, a tym bardziej na protestach drugiej. Zaś wątpliwa widowiskowość protestów nie zastąpi rzetelnego dialogu wszystkich Polaków. Jeśli już nie potrafimy się przełamać w swojej upartej niechęci w imię interesów dorosłej części społeczeństwa, to zróbmy to chociaż z myślą o młodym pokoleniu, któremu trzeba będzie kiedyś przekazać kraj, uporządkowany, gospodarkę wyzwoloną z kryzysu i system polityczny funkcjonujący sprawnie i demokratycznie.

PŁASZCZYZNA INTEGRACJI

W budowaniu pomostów między społeczeństwem a władzą oraz między poszczególnymi grupami społecznymi może i powinna odegrać ważną rolę kultura i nauka. Jak podkreślało wielu posłów zabierających głos w drugim dniu obrad nadanie sprawom związanym z rozwojem kultury polskiej, ratowaniem jej od ujemnych skutków kryzysu najwyższej rangi i omawianie ich w kontekście rocznicy Konstytucji 3 Maja świadczy dobitnie o znaczeniu jakie ta sfera aktywności społecznej nabiera w aktualnej chwili, na współczesnym etapie naszej polskiej drogi. Integrująca rola kultury polskiej, choćby ze względu na bogactwo inspiracji ideowych i światopoglądowych, na tradycje tolerancji oraz trwały, głęboki nurt postępu i demokracji, rysuje się szczególnie wyraziście. Jest to szansa, potencjalna możliwość i dla kultury i dla nas wszystkich.

Z drugiej strony, jak stwierdził poseł *R. GÓRAL* (PZPR): *„Istnieje wielka potrzeba, aby dziś twórcy i uczeni przyczynili się do tworzenia atmosfery rzeczowego dialogu, porozumienia i jednoczenia się Polaków wokół działań dla Ojczyzny nadrzędnych, ale jednocześnie — przez swą realność i racjonalność — skutecznych. Atmosfera w środowiskach nauki i kultury niestety nie sprzyja takim działaniom".* Jest to zapewne stwierdzenie prawdziwe. Trzeba jednak przypomnieć, że ogromna większość twórców kultury i nauki nie zajmuje pozycji ideowo-politycznych wrogich socjalizmowi. Jednakże samym nawoływaniem przeciw tzw. wewnętrznej emigracji niewiele zdziałamy. Odnosi się to zresztą nie tylko do środowisk tzw opiniotwórczych. To czego niedostaje dziś najbardziej, to przykładów na skuteczne odblokowanie wszystkich hamulców odrodzenia narodowego i równie skuteczne włączenie w mechanizmie społeczno-gospodarczym widomych, efektywnych stymulatorów sprawnego, mądrego, sprawiedliwego rządzenia po nowemu na zdrowych i ekonomicznie uzasadnionych zasadach.

Nie sposób odmówić oczywistej wręcz racji zawartej w stwierdzeniu wicepremiera M. F. Rakowskiego: *„Stanie z boku, przechodzenie do tzw. emigracji wewnętrznej jest wyborem fałszywym, bezpłodnym. Nieobecni pozbawiają się wpływu na bieg zdarzeń, a w konsekwencji na swój własny los".* Ośmielam się jednak przypomnieć, że konstatując oczywiste prawdy jeszcze nie zmieniamy rzeczywistości, co najwyżej dalej się wzajemnie ignorujemy. Taka postawa też prowadzi do nikąd. Jedynym wyjściem jest prędkie stymulowanie sytuacji społecznej kraju ku takiemu stanowi, w którym wybory tego typu, postawy bierne, wyczekujące, kontestujące lub wręcz kalkulujące, będą miały rzeczywistą i realną alternatywę nie tylko z punktu widzenia władzy, ale i samych twórców kultury i nauki.

Zapewne znacznym krokiem dla tworzenia tego typu obiektywnie sprzyjających warunków jest uchwalenie przez Sejm ustawy o Narodowej Radzie Kultury oraz o Funduszu Rozwoju Kultury. Pierwszy z dokumentów stanowi ważną regulację prawną dla uspołeczniania procesu zarządzania i kierowania sprawami polityki kulturalnej państwa. Drugi zaś jest istotną przesłanką ustawową dla tworzenia stabilnego źródła finansowania twórczości i działalności artystycznej, upowszechniania kultury oraz ochrony jej dóbr, źródła zasilania środkami państwa i społeczeństwa.

Wagi i znaczenia powyższych ustaw dla przyszłości kultury w Polsce doby kryzysu i wychodzenia z niego, trudno nie dostrzec. Regulacja tych spraw stanowi swego rodzaju fundament, podstawę dla prawidłowego funkcjonowania tej sfery społecznej aktywności. Jednakże godzi się przypomnieć, że o efektach twórczej aktywności, o rzeczywistej randze kultury w życiu narodu, a tym samym stopniu zaangażowania się twórców w proces stabilizacji sytuacji w naszym kraju, będą wywierały istotny wpływ czynniki determinujące ogólnopolityczną sytuację Polski w roku bieżącym i latach najbliższych. Tych spraw nie można po prostu od siebie rozdzielić. Konsekwencją tego związku może być wartość ujemna, tzn. sytuacja może wpływać demobilizująco na twórców kultury, pogłębiać izolację i frustrację tegoż środowiska lub też przy warunkach sprzyjających, sytuacja ogólnopolityczna kraju, jej normalizacja i poprawa, stanowić może wartość dodatnią w postaci inspiracji. Sprzyjać może głębokiej, twórczej refleksji nad niedawną przeszłością, dniem dzisiejszym i przyszłością. W związku z tym należy zwrócić uwagę na fakt, iż wszelka jednostronność ofert i wymagań, prowadzić jedynie może do pomnażania wzajemnych pretensji i licytowania się w wypominaniu błędów przeszłości.

Trochę na marginesie moich rozważań pragnę teraz sięgając raz jeszcze do materiałów posiedzenia Sejmu, przypomnieć ten fragment wypowiedzi posła *E. OSMAŃCZYKA*, kiedy powiedział on m. in.:

„Polska 1982 roku jest Polską, w której dominuje absolutnie klasa robotnicza. Dramat — ciągle nie tragedia — jest dramatem polskiej klasy robotniczej, rzutującym na życie całego narodu. To, że w tym dramacie uczestniczy polska inteligencja, jest konsekwencją pozytywnego przecież opowiedzenia się po stronie tej klasy i z nią zjednoczenia".

Warto, aby pamiętali o tym ci, którzy z różnych przesłanek rozmaitych powodów i dla szkodliwych interesowi pojednania narodowego celów próbowali w przeszłości, ale i niejednokrotnie jeszcze dziś usiłują antagonizować klasę robotniczą i inteligencję. Jest to działanie nie tylko antynarodowe, ale i antysocjalistyczne. Żaden bowiem naród, który ma ambicję tworzyć cenne wartości materialne i duchowe, nie tylko wegetować, lecz i rozwijać się, wnosić własne, ale zarazem uniwersalne wartości do skarbnicy kultury światowej, nie może wyrzekać się inteligencji twórczej. Żadna klasa społeczna aspirująca do roli rządzącej, a tym samym klasa robotnicza także, nie może obyć się bez własnej inteligencji. Są to prawidłowości o znaczeniu uniwersalnym.

Poruszone w tym artykule problemy w żaden sposób nie wyczerpują bogatej problematyki, która bezpośrednio i pośrednio wiąże się z ostatnim posiedzeniem Sejmu PRL i wydarzeniami towarzyszącymi temu posiedzeniu. Myślę, że będzie okazja w najbliższej przyszłości do spraw tych jeszcze powrócić w szczegółowszej, bardziej uporządkowanej i głębszej refleksji.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Z sejmowego wystąpienia wicepremiera Mieczysława F. Rakowskiego

Mówiąc o kulturze nie można pominąć sprawy jej treści, jej zawartości. Kultura jest terenem, na którym gromadzi się historyczne doświadczenie narodów i z tego już choćby wynika, że jest to doświadczenie różnorakie.

Polska tradycja kulturalna przejęła w spadku najwartościowsze składniki dawnej kultury szlacheckiej oraz kultury dawnej mieszczańskiej inteligencji. Szczególnie silny i żywotny w niej jest nurt kultury chłopskiej i robotniczej, której wartości mogły się rozwinąć i być w pełni spożytkowane w Polsce Ludowej. Cechą wyróżniającą kulturę polską na tle wielu innych kultur narodowych jest jej otwartość. Będąc jednolitą i scaloną w niepowtarzalną całość kulturą narodu polskiego wchłonęła ona wiele najcenniejszych pierwiastków innych kultur, językowej kultury łacińskiej i związanej z nią kultury śródziemnomorskiej, renesansowej kultury włoskiej, która wywarła wielki wpływ — zwłaszcza na architekturę polską, a także wiele wartości kulturalnych tworzonych przez narody słowiańskie Europy wschodniej i środkowej oraz pochodzących od mniejszości narodowych zamieszkujących ziemie dawnej Rzeczypospolitej. Fakt, że z tak różnorodnego tworzywa powstał w rezultacie jednolity stop naszej spuścizny kulturalnej świadczy o wielkiej prężności i wielkiej atrakcyjności naszej kultury narodowej dla tych wszystkich, którzy niezależnie od swoich źródeł etnicznych stali się jej współtwórcami.

Ta cecha otwartości a zarazem spoistości kultury polskiej jest i dzisiaj warunkiem jej dalszego rozwoju. Kultura Polski Ludowej w jej najlepszych przejawach jest kulturą narodową, ale zarazem uniwersalną, uczestniczącą w dialogu kultur europejskich i światowych, nieobojętną na ich rozwój, gotową wnosić do nich swoje własne wartości, a także czerpać je od innych kultur. Tak było w przeszłości i tak będzie w przyszłości, bowiem w tym leży siła naszej kultury i byłoby wielkim błędem pozbawianie się tej siły przez sztuczne próby jej zamknięcia, otoczenia enklawą tzw. rdzenności czy granicami sztucznie wyznaczanych odrębności. Kto myśli w ten sposób ten w istocie niewiele rozumie z naszej tradycji kulturalnej, w której największy poeta polski mówi o Litwie jako o swojej Ojczyźnie, a pierwszy słownik polszczyzny układał Szwed z pochodzenia, Samuel Linde.

Wszystko to nie oznacza jednak bynajmniej, aby zarówno tradycja kulturalna, jak kultura współczesna nie była terenem nieustannej walki i ścierania się wartości o charakterze ideologicznym. Przez całe dzieje piśmiennictwa polskiego ciągnie się wątek myśli światłej i obywatelskiej, dbałej o interes państwa i sprawiedliwość społeczną, nastawionej na poznanie świata i zrozumienie jego reguł oraz wątek ciemny, sobiepański, zachłystujący się nierozumnie urokami złej wolności, wzgardliwy wobec ludzkiej krzywdy, niechętny poznaniu lub zastępujący poznanie rzeczywiste irracjonalnymi wierzeniami i pustymi sloganami. Socjalistyczny stosunek wobec tradycji kulturalnej nie jest i nie może być stosunkiem biernym, lecz aktywnym, odrzucającym zaciemniające świadomość współczesną urojenia i promującym wartości płynące z rzetelnej pracy, rzetelnego myślenia, rzeczywistego przeżycia losu narodu i państwa.

Współczesna kultura polska nie jest kulturą jednolitą. Jest odbiciem różnic światopoglądowych, jakie istnieją w naszym społeczeństwie, a także wielości wątków historycznych, jakie składają się na naszą tradycję. Stąd bierze się jej wielopostaciowy charakter, który nie jest niczym innym, jak po prostu odbiciem rzeczywistej a nie urojonej sytuacji społecznej w naszym kraju. Uważamy fakt ten za oczywisty, obiektywny, którego nie można zadekretować lub też stosownym dekretem unieważnić. Ta różnorodna i wielowątkowa kultura jest terenem rywalizacji a nawet walki i ścierania się wartości — walki, w której zwyciężyć powinna kultura socjalistyczna. A więc ta, która czerpie swoją inspirację z walki klasy robotniczej, która podejmuje i przyjmuje jako swoje te wątki z tradycji narodowej i uniwersalnej, które związane są z postępem, z wyzwalaniem się mas pracujących, z obroną przed krzywdą ludzką, z racjonalnym i odważnym poznaniem świata, z wyzwoleniem osobowości człowieka. Tej kulturze będziemy sprzyjać, widząc w niej siłę mobilizującą społecznie, przygotowującą człowieka do czekających go trudów i wyzwań, które rzuca nam przyszłość.

Mówiąc o nauce i o kulturze nie sposób pominąć zagadnienia wolności. Mówimy o wolności w chwili, kiedy dramatyczny moment, w którym żyjemy ograniczył pewne swobody obywatelskie. Zdajemy sobie jednak sprawę, że jest to moment szczególny i przejściowy, w którym „należało poświęcić wiele, aby ocalić wszystko".

Wiemy jednak również dobrze, że bez swobody twórczej, zarówno rozwój nauki, jak i rozwój kultury jest niemożliwy. Ciekawość poznawcza jest przyrodzoną cechą natury ludzkiej, jej to ludzkość zawdzięcza wszystkie swoje osiągnięcia i jedynie w systemach teologicznych wyznaczyć można granicę, przed którą ciekawość ta musi się zatrzymać. Podobnie swoboda poszukiwania wartości, chęć zrozumienia świata i wyjaśnienia go innym, wreszcie poszukiwania sensu życia ludzkiego, istnienia każdego z nas, jest podstawową siłą rozwoju kultury ludzkiej. Poprzez naukę i poprzez kulturę człowiek realizuje w sposób szczególny swoją wolność i są to jego prawa niezbywalne. Mimo to jednak należy zapytać czy są i gdzie leżą granice tej wolności? W aktywności poznawczej i twórczej nie widzimy żadnych ograniczeń i barier. W życiu politycznym, a więc także w politycznym zaangażowaniu nauki i twórczości kierować powinniśmy się zasadą, że granicą wolności człowieka jest drugi człowiek, jego dobro, jego prawo do życia i do podobnej wolności. Natomiast odpowiedź, którą sformułować musimy z pozycji socjalistycznego państwa jest taka, że granicą wolności jest dobro zbiorowości ludzkiej, dobro wspólnoty narodowej, dobro socjalistycznego państwa polskiego, które w naszych warunkach jest jedynym gwarantem tej wspólnty. Lekcja historii, którą odebraliśmy niedawno pokazuje, że w dzisiejszym świecie, podzielonym na dwa zwalczające się obozy, nikt poza socjalistycznym państwem nie jest w stanie zapewnić naszemu narodowi nienaruszalności jego terytorium, jego suwerenności, stabilności, wreszcie jego perspektyw rozwojowych. Ta wspólnota interesów narodowych, jaką jest państwo polskie ma prawo wymagać powściągnięcia prawa do wolności tam i wtedy, gdy zagraża ona w swoich przejawach i konsekwencjach samemu istnieniu tego państwa, jego socjalistycznym podstawom ustrojowym, jego sojuszom, jego racji stanu. Chcemy stworzyć taki system wolności twórczości kulturalnej i naukowej, który byłby zdolny uczynić z nich główne filary postępu społecznego, bez czego walka o jutro Polski staje się coraz bardziej niemożliwa, lecz który to system wolności równocześnie nie wystawiałby na szwank samego przedmiotu tej troski — socjalistycznej Polski.

Wysoki Sejmie!

Problemy związane z miejscem i dalszym rozwojem kultury i nauki dziś przez rząd przedstawione na forum Sejmu adresujemy przede wszystkim do inteligencji polskiej, do środowisk intelektualnie twórczych.

Rząd uważnie obserwuje toczące się wśród inteligencji dyskusje o niedawnej przeszłości i o przyszłości Polski, poddaje również uważnej analizie manifestowane postawy.

Dyskusje te mają związek nie tylko z obecną sytuacją ekonomiczną i polityczną, lecz także z nurtami i tendencjami, które wystąpiły szczególnie ostro w środowisku inteligenckim w okresie między sierpniem i grudniem.

Wielu ludzi nauki i sztuki aktywnie działało w szeregach „Solidarności". Znaczna część reprezentowała kierunek rozważny, starała się łagodzić dążenia konfrontacyjne, szukała kompromisu. Doceniamy tę postawę i pamiętamy o niej. Niemało ludzi dało się jednak ponieść fali emocji i niejednokrotnie głosiło poglądy skrajne, obiektywnie, nieświadomie lub świadomie udzielając poparcia dążeniom i działaniom szkodliwym z punktu widzenia interesów kraju, pokoju społecznego i socjalistycznej odnowy. Gotowi jesteśmy również i nad tym przejść do porządku; zdajemy sobie sprawę z sytuacji, która takie postawy rodziła. Warunkiem jednak jest konstruktywny stosunek do problemów dnia dzisiejszego, gotowość do współuczestniczenia w przezwyciężaniu kryzysu i budowaniu stabilizacji. To, z czym nie możemy się pogodzić i na co musimy reagować ideologicznie, politycznie, w razie potrzeby środkami prawno-państwowymi, to kontynuowanie działalności opozycyjnej, wymierzonej przeciw legalnemu porządkowi prawnemu i konstytucyjnym władzom kraju.

Uznając wrażliwość ludzi nauki, kultury i sztuki na zjawiska zachodzące w świecie, w którym żyją, a zwłaszcza te, które mają wymiar społeczny, nie akceptujemy postaw neutralnych, bowiem są one sprzeczne z powołaniem twórców kultury, oznaczają małostkowe uchylanie się od uczestnictwa w życiu społecznym, zamykają intelektualistę w obrębie lękliwej prywaty. Nie akceptujemy „emigracji wewnętrznej", bowiem przynosi ona nie tylko straty narodowi, ale także temu kto taką postawę wybiera. Status obcokrajowca we własnym domu prowadzi twórcę do zgorzknienia i utraty znaczenia.

Nie zamierzamy ubierać twórców i artystów w gorsety, w których trudno jest się poruszać, a czasem nawet i oddychać. Trwałe zasady polityki kulturalnej i naukowej rządu państwa socjalistycznego są ogólnie znane. Polityka ta dąży do zapewnienia nieskrępowanego rozwoju różnorakich form twórczości, wielokierunkowych poszukiwań naukowych.

Mecenat państwa obejmuje wszystkie humanistyczne nurty twórcze. Nie można w tym miejscu nie przypomnieć, że dopiero w Polsce Ludowej stworzono artystom i uczonym godne ich znaczenia i talentów warunki do pracy. A dzięki głębokiej rewolucji kulturalno-oświatowej, jaka dokonała się po 1945 roku na ziemiach polskich, uzyskali audytorium, o którym w kapitalizmie mogliby tylko marzyć. Z tych między innymi przyczyn rząd uważa, że spoczywa na nim nie tylko obowiązek dbania o tworzenie korzystnych warunków materialnych i społecznych środowiskom twórczym, lecz ma także prawo w imieniu świata pracy, w imieniu klasy robotniczej i chłopskiej, domagać się, aby ich twórczość miała charakter postępowy i nie godziła w historyczne osiągnięcia socjalizmu, by przyczyniła się do umacniania jego niezbywalnych wartości.

Nasza partia jest partią marksistowsko-leninowską. Nasz system budujemy w oparciu o zasady naukowe socjalizmu. Świadomie dążymy do tego, ażeby nauka, a w szczególności nauki społeczne, rozwijały się w kierunku marksistowskim. Sądzimy, że jest to najbardziej owocny kierunek. Chcemy sięgać do źródeł, uwalniać się od naleciałości i zniekształceń, od pseudomarksizmu. Marksizm, jak każda nauka, nie potrzebuje cieplarnianej atmosfery, nie boi się rywalizacji, umie i chce czerpać oraz twórczo adaptować to, co jest racjonalne i postępowe, co sprawdza się w innych kierunkach i szkołach naukowych.

Naszą politykę wobec środowisk naukowych oraz wobec twórców kultury cechować będzie stosowanie jasnych kryteriów formułowanych nie w ciszy gabinetów a publicznie. Nasza polityka będzie zdecydowana i mamy zamiar publicznie ją uzasadniać. Chcemy przekonywać i przyciągać, a nie odpychać i wyklinać. Jeśli nawet w wirze wielkich, gwałtownych przemian, przez które przechodzi nasz naród dają o sobie znać pewne skrajności, to zjawiska te trzeba widzieć we właściwych proporcjach. Są to uboczne produkty napięcia politycznego, w którym żyjemy od blisko dwóch lat. Są wynikiem upłaszczania przez niektórych ludzi złożonej materii życia społecznego. Co się tyczy rządu, to nie zabraknie nam cierpliwości ani zrozumienia dla tej prawdy, że ludzkie poglądy są owocami, które dojrzewają długo i wymagają odpowiedniego klimatu. Wytwarzaniu takiego klimatu sprzyjać będzie z całą pewnością Narodowa Rada Kultury.

Nie bagatelizując ostrości walki politycznej, jaka toczy się dziś w Polsce, w każdym niemal środowisku, rząd wyraża przekonanie, że większość inteligencji, zgodnie z tradycją wielu pokoleń, w tym także tradycją pierwszych lat powojennych — a przypomnijmy, że trzyletni plan odbudowy i plan sześcioletni realizował się przy czynnym udziale inteligencji okresu międzywojennego — wesprze jego działania w trudnej i mozolnej pracy na rzecz wyprowadzenia Polski z kryzysu. Liczymy na pomoc i współdziałanie. A jeśli w codziennym życiu spierać się będziemy, a może czasem i kłócić o sprawy także istotne, to wyjdzie to nam wszystkim, naszej wspólnej sprawie na zdrowie.

Wprowadzenie do praktyki gospodarczej założeń reformy powoduje różne zjawiska niepokojące, które powinny być usuwane a założenia reformy gospodarczej korygowane i modyfikowane. Publikujemy dwugłos na temat pozytywów i negatywów zjawiska monopolizacji w naszej gospodarce. Obaj autorzy — patrząc z różnego punktu widzenia — dochodzą jednakże do podobnych wniosków. Warto więc na takie zagrożenia reformy zwrócić szczególną uwagę.

Co może zagrozić reformie

Analogia

WITOLD KASPERKIEWICZ

Określenia „monopolizacja", „struktury monopolistyczne", „praktyki monopolistyczne" zyskały sobie w ostatnim czasie pełne prawo obywatelstwa w naszym słownictwie ekonomicznym. O zjawiskach monopolizacji gospodarki polskiej zaczęto mówić pełnym głosem w toku namiętnych i burzliwych dyskusji dotyczących modelu zreformowanej gospodarki narodowej. W efekcie ekonomiści niemal gremialnie przyjęli tezę, iż warunkiem sine qua non sukcesu reformy jest demonopolizacja naszej gospodarki, czyli innymi słowy rozbicie dotychczasowych struktur organizacyjnych typu zjednoczeń branżowych, kombinatów, centralnych zarządów etc. Struktury te bujnie rozwijały się w minionym dziesięcioleciu jako konsekwencja realizowanej wówczas odgórnie koncepcji tworzenia wielkich organizacji gospodarczych (tzw. WOG).

Krótka praktyka funkcjonowania założeń reformy pozwoliła zaobserwować oddolną skłonność niektórych przedsiębiorstw do korzystania z atrybutów monopolu. Wynika to przede wszystkim z braku w naszej gospodarce ustawodawstwa antymonopolowego i głębokiego stanu nierównowagi rynkowej, który rodzi u producentów silną pokusę „żerowania" na rynku.

Rozważania na temat zjawisk monopolistycznych w gospodarce socjalistycznej mogą na pierwszy rzut oka wydawać się bezzasadne, gdyż monopol kojarzy się nam na ogół z kapitalizmem i wszechwładzą międzynarodowych koncernów. Występuje jednak pewna analogia między działaniami monopoli kapitalistycznych a naszych, rodzimych ugrupowań przemysłowych typu monopolistycznego. Szukając podobieństw należy jednak pamiętać o zasadniczych różnicach ustrojowych, które nie pozwalają na utożsamianie zjawisk monopolistycznych w kapitaliźmie i socjaliźmie. Dlatego też wspomniana analogia odnosić się może jedynie do podobieństw technicznych, a więc narzędzi ekonomicznych wykorzystywanych przez monopole, metod postępowania na rynku etc. Oczywiście i w tej materii przeprowadzenie pełnej analogii jest nieosiągalne z powodu odmienności dotyczących zakresu stosowania w obu systemach narzędzi polityki monopolistycznej i ich skutków ekonomicznych.

W krajach socjalistycznych istnieje swoisty monopol państwa wynikający z upaństwowienia kluczowych środków produkcji. Osobliwość tego monopolu polega na tym, że państwo dysponuje władzą ekonomiczną o charakterze nadrzędnym i właściwie wszechogarniającym. Jest to monopol, który z istoty swej powinien działać na rzecz interesu społecznego. Państwo nie może jednak realizować funkcji monopolu bezpośrednio, ale tylko za pośrednictwem przedsiębiorstw. Rodzi się przy tym tendencja do zwiększania siły ekonomicznej przedsiębiorstw wyrażająca się w tworzeniu wielkich organizacji gospodarczych (m. in. kombinatów, zjednoczeń). Im większe i silniejsze są te organizacje, tym większy może być zakres i waga ich pozycji monopolistycznych, przy czym w pewnych warunkach mogą one nawet przełamać w jakimś stopniu monopol państwa.

Fakt, że przedsiębiorstwa socjalistyczne funkcjonują w ramach monopolu państwa nie gwarantuje honorowania przez przedsiębiorstwa interesu ogólnospołecznego w swej działalności. Wadliwość systemu funkcjonowania gospodarki sprzyjała rozmijaniu się kryteriów oceny działalności przedsiębiorstw z kryteriami efektywności społecznej. *„To co jest dobre dla pszczoły, nie zawsze jest dobre dla ula"* — maksyma ta odnosi się zwłaszcza do postępowania przedsiębiorstw zajmujących pozycję monopolistyczną.

Istotą monopoli jest kształtowanie wielkości i struktury produkcji, a także cen bezpośrednio na podstawie swoich funkcji celu i ograniczeń. Wielkość i struktura produkcji są tak ustalone, aby zysk przedsiębiorstwa był w długim okresie największy. W grze monopolowej producenci manipulują wielkością podaży i cenami. Z punktu widzenia monopolu korzystne jest na przykład obniżanie rozmiarów podaży przy utrzymywaniu wysokich cen na wyroby, a nie zwiększanie produkcji i obniżka cen. Doświadczenia wypływające z początkowej fazy wprowadzania reformy wskazują, iż niektórzy producenci-monopoliści z dużym sprytem potrafią korzystać z przyznanych im preroga-

tyw, zwłaszcza cenowych i stosować praktyki monopolistyczne.

Cena monopolowa stanowiąca podstawowy instrument ekonomiczny monopolu powstaje w wyniku siły ekonomicznej i jest wyższa od ceny, która by się kształtowała w warunkach wolnej konkurencji i związanej z nią regulującej roli mechanizmu rynkowego. Dla ceny ustalanej przez monopol charakterystyczne jest jej oderwanie się w górę od kosztów produkcji. Przy znacznym stopniu monopolizacji gospodarki spadek kosztów produkcji towarów nie łączy się ze spadkiem ich cen. Pozwala to monopoliście maksymalizować zysk kosztem konsumenta. Tego rodzaju praktyki są szczególnie łatwe w sytuacji głębokiej nierównowagi rynkowej, która sprzyja dyktatowi producentów wobec odbiorców-konsumentów.

Niedobór towarów umożliwia producentom kontrolowanie popytu i zwiększanie stopnia siły monopolowej. Obecna sytuacja rynkowa naszej gospodarki jest bardzo wygodna dla przedsiębiorstw monopolistów, gdyż nie zmusza ich do podnoszenia efektywności produkcji, podejmowania innowacji, poprawy jakości wyrobów itp. Stan ten każe bić na alarm w sprawie zagrożenia reformy przez utrwalające się tendencje monopolistyczne. Organa państwowe próbują temu przeciwdziałać głównie poprzez ograniczanie zakresu występowania cen umownych i wolnych. Są to jednak posunięcia połowiczne i same w sobie sprzeczne z istotą reformy, gdyż zwiększają ingerencję czynnika administracyjnego w system kształtowania cen.

Nieodłącznym atrybutem monopolu jest zmowa producentów. Przykładem takiej zmowy może być kartel, czyli porozumienie przedsiębiorstw co do podziału terenu zbytu, wielkości sprzedawanej produkcji i wysokości cen. Rozwój monopolizacji w formie karteli stanowi jej wstępną fazę, kartele bowiem nie obejmują jeszcze organizacji produkcji, nie stanowią organicznego związku.

Na fali zmian w systemie ekonomicznym przedsiębiorstw pojawiła się nieśmiała jak na razie skłonność niektórych organizacji gospodarczych do tworzenia quasi — karteli. O faktach takich informują środki masowego przekazu potępiając przy tym w sposób pryncypialny niecne zamiary producentów. Próby kartelowych zmów dotyczyły przede wszystkim wspólnego określania wysokości cen, oczywiście na wygórowanym poziomie.

Wyrażając dezaprobatę dla ujemnych społecznych skutków owych zamierzeń należy wszelako podkreślić duże możliwości adaptacyjne producentów i dobrą znajomość ekonomii. Szkoda tylko, że w tym przypadku jest to adaptacja negatywna polegająca na wykorzystywaniu przez producentów słabej pozycji przetargowej odbiorców i luk w prawie gospodarczym (brak ustawy antymonopolowej). Co więcej ustawa o przedsiębiorstwach państwowych z 25 września 1981 roku daje przedsiębiorstwom możliwości tworzenia dobrowolnych zrzeszeń, a Radzie Ministrów uprawnienia do powoływania obowiązkowych zrzeszeń przedsiębiorstw.

Kryteria celowości tworzenia owych zrzeszeń są w zapisie ustawy sformułowane bardzo ogólnikowo. W odniesieniu do zrzeszeń dobrowolnych podana jest formułka, że mogą być one tworzone *„w celach ekonomicznie uzasadnionych"*. Natomiast celowość powoływania obligatoryjnych zrzeszeń dotyczy *„wyjątkowych wypadków społecznie i gospodarczo niezbędnych"*.

Rodzi się konkluzja, że przy tak mgliście określonych kryteriach tworzenia zrzeszeń powstać mogą zachęty do manipulowania przepisami ustawy zarówno przez przedsiębiorstwa, jak i centralną administrację gospodarczą. Dlatego też nieodzowny jest akt prawny określający precyzyjnie kryteria i zasady tworzenia zrzeszeń przedsiębiorstw, a także ograniczenia i zakazy ich działalności w pewnych dziedzinach gospodarki narodowej, a zwłaszcza tam, gdzie istnieją możliwości nadużywania sytuacji monopolistycznej. Wymaga tego interes ogólnospołeczny, któremu poważnie zagrażają monopolistyczne ciągoty producentów przemysłowych i organów centralnych.

Dotychczasowy wywód eksponował negatywną stronę istnienia monopolu w gospodarce. Tymczasem z analizy funkcjonowania monopoli w kapitaliźmie wiadomo, że dają one też pewne korzyści ekonomiczne. Nie ulega wątpliwości, że organizacje monopolistyczne w przemyśle sprzyjają zwiększaniu serii produkcyjnych, co powoduje obniżkę kosztów wytwarzania, umożliwiają zastosowanie postępu naukowo-technicznego na dużą skalę. Instrumentami, którymi posługują się monopole w walce konkurencyjnej są: jakość wyrobów, permanentne wprowadzanie na rynek nowych produktów, obsługa i organizacja zbytu, warunki zapłaty i udzielanie gwarancji.

W tym aspekcie trudno doszukiwać się analogii, o której wspomniałem na wstępie. Istota rzeczy tkwi w tym, że monopole kapitalistyczne działają na rynku nasyconym, zrównoważonym, wymuszającym grę konkurencyjną. Natomiast nasze organizacje monopolistyczne funkcjonują w warunkach pustki rynkowej, która nie tworzy presji innowacyjnej i konieczności poprawy efektywności produkcji. Przejawami konkurencji, a właściwie pseudokonkurencji między rodzimymi potentatami przemysłowymi są zabiegi o uzyskanie korzystnych przydziałów materiałów i surowców, różnego rodzaju limitów, ulg podatkowych, warunków kredytowych etc. W tym arsenale narzędzi brak jest korzystnych dla konsumentów, a więc przede wszystkim ciągłego wprowadzania do produkcji nowych wyrobów i ich doskonalenia, organizowania sieci sprzedaży, udzielania gwarancji jakościowych etc. Konsument ma prawo sądzić, że skoro istnieją w gospodarce ugrupowania monopolistyczne, to niech ujawniają one zarówno swoje cienie i blaski, a nie tylko cienie.

Struktury monopolistyczne występujące w gospodarce polskiej powiązane są organicznie ze starym systemem nakazowo-rozdzielczym. Reforma gospodarcza powinna sprzyjać rozpadowi dotychczasowych monopoli. Będzie to jednak proces żmudny i wymagający dużej determinacji w likwidowaniu zbędnych, starych układów monopolistycznych i zapobieganiu powstawania nowych.

■

Monopol dobry czy zły?

Dokończenie ze strony 1

działania poza granice państw, w których powstały. Jest to obecnie zjawisko bardzo powszechne we współczesnym świecie kapitalistycznym. Podstawową siłą napędową tych organizacji jest oczywiście zysk. I to nie tylko jak moglibyśmy sądzić oparty o wysokie ceny lecz przepływ tak zwanej wartości dodatkowej z sektora nie objętego wpływem monopolu. Dokonuje się on w drodze zakupów na przykład surowców, półfabrykatów, po cenach wolnokonkurencyjnych. Sprzedaż, natomiast, wytworzonych dóbr i usług, dokonywana jest po cenie monopolowej. Jest rzeczą oczywistą, że ustalona jest ona na poziomie wyższym od ceny produkcji i cen funkcjonujących w sektorach wolnokonkurencyjnych. Należy przy tym zaznaczyć, że ma ona na ogół charakter stały lub wykazuje tendencję nieznacznie rosnącą. Nie ma tu więc miejsca na dość powszechną w gospodarce wolnokonkurencyjnej, konkurencję za pomocą cen. Jest ona zastąpiona konkurencją jakościową, popartą dużymi wydatkami na reklamę. Dobra jakość i warunki oferowanej sprzedaży to główna broń wielkich korporacji i koncernów.

Ulega w tych warunkach pewnej modyfikacji działanie jednego z podstawowych praw ekonomii, prawa wartości. Okazuje się bowiem, że stopa zysku monopolisty nie może być zbyt wysoka, bo grozi mu to określonymi, negatywnymi konsekwencjami. Są one dwojakiego rodzaju:

— po pierwsze, zbyt wysoka stopa zysku, uzyskana popularnie mówiąc poprzez śrubowanie cen, może spowodować napływ do danej gałęzi wytwarzania tak zwanych outsiderów z zewnątrz, zwabionych wysokimi zyskami. A jest to potencjalne zagrożenie dla pozycji funkcjonującego monopolu,

— po drugie, zbyt wysokie ceny powodują sytuację poszukiwania przez potencjalnych nabywców dóbr substytucyjnych, tańszych w stosunku do oferowanych. Ponieważ przeciętnie zdrowa gospodarka nie znosi próżni, zawsze może znaleźć się konkurent, który zapewni powstałą lukę w podaży i zaoferuje poszukiwany towar.

W konsekwencji zatem, istnieje dość silna tendencja do zrównywania różnic w osiąganych stopach zysku, przez różne organizacje monopolowe. Różnice te istnieją, bo monopole obejmują różne branże i to w różnym zakresie. Można powiedzieć, że jest to forma zabezpieczania się przed konkurencją.

Na ogół sądzi się także, że wielkie koncerny i organizacje gospodarcze są nośnikami postępu technicznego i nowoczesności produkcji. Zagadnienie to jednak nie jest tak zupełnie oczywiste i przypomina raczej naczynie z podwójnym dnem. Otóż jest faktem, że monopole mają pełne dane i możliwości po temu, aby wdrażać postęp do produkcji. Posiadają środki finansowe, świetnie wyposażone laboratoria. Można powiedzieć, że skoro konkurują jakością, są niejako zmuszone unowocześniać produkcję i obniżać koszty wytwarzania. Z drugiej jednak strony, organizacje te mogą i często to robią, ograniczać postęp techniczny i technologiczny w imię własnych interesów. Wszelkie innowacje bowiem powodują potencjalne niebezpieczeństwo wykorzystania ich przez konkurentów, mogą także doprowadzić do wzrostu produkcji, co w konsekwencji może spowodować spadek osiąganych cen. Można zatem powiedzieć, iż aktywność na tym polu lub jej brak, zależy przede wszystkim od obecnych ewentualnie przyszłych interesów monopolisty.

W tym kontekście należy również zaznaczyć, iż stosunki państwa i monopoli są na ogół, mimo ustaw antymonopolowych, dobre i oparte o wzajemne interesy. Wielkie organizacje gospodarcze gwarantują państwu istnienie wysoko wyspecjalizowanej produkcji, państwo z kolei rewanżuje się zamówieniami rządowymi, utrzymywaniem porządku społecznego itp. Są to oczywiście w ogromnym skrócie podstawowe cechy współczesnego monopolu.

Nadszedł w końcu moment, aby odpowiedzieć na nasuwające się od początku zasadnicze pytania. Co nas właściwie ten problem obchodzi i w jakim sensie może nas bezpośrednio dotyczyć? Jakie znaczenie mają wszystkie powyższe uwagi dla naszej obecnej sytuacji i ewentualnie przyszłej?

Otóż wydaje się, iż problemy te powinny nas interesować, ponieważ bezpośrednio nas dotyczą. Gospodarka nasza, zwłaszcza obecnie, gdy brak jest możliwości importowych, ma w zasadzie charakter wybitnie monopolistyczny. Była ona taka w znacznym stopniu i dotychczas, czego dotkliwe konsekwencje są naszym udziałem. Jak bowiem już na wstępie wspomniano, wykorzystywała ona wszystkie negatywne cechy wynikające z tego uprzywilejowania. W końcu również dlatego, że tendencje te będą się utrzymywać, mimo wprowadzanej reformy gospodarczej, a niekiedy, choć może brzmi to paradoksalnie, dzięki niej.

Najogólniej rzecz biorąc, oczekujemy od mającej wejść w życie reformy gospodarczej poprawy zaopatrzenia rynku poprzez wprowadzenie do naszego systemu ekonomicznego elementów gospodarki rynkowej. Proces ten ma się dokonać w drodze samodzielności i samofinansowania przedsiębiorstw produkcyjnych i handlowych. Sądzi się więc na ogół, że doprowadzi to do większej elastyczności ich działania, wpłynie na wyższy stopień odpowiedzialności za własną produkcję, zwiększy możliwości konkurencyjne. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że dopuszczenie do głosu elementów gry rynkowej, nawet w naszym ograniczonym zakresie, może doprowadzić także do powstania tendencji monopolistycznych w niektórych organizacjach gospodarczych. Zwłaszcza tych, których towary zaspokajać będą pewne specyficzne kompleksowe grupy potrzeb. Będzie to, jak należy sądzić, dość naturalny element prowadzenia działalności gospodarczej przez samodzielne i samorządne przedsiębiorstwa. Podłoże tych decyzji stanowić będą ich finansowe interesy związane z dążeniami do opanowania rynku. Trzeba przy tym również pamiętać, że opublikowany w lipcu 1981 roku projekt kierunków reformy gospodarczej, jak i uchwała o przedsiębiorstwie państwowym stwarza pewne możliwości działania w tym kierunku. Analizując bowiem wspomniane dokumenty możemy się przekonać, iż przedsiębiorstwa zaliczone do jednego działu na przykład przemysłu, mają możliwość prowadzenia działalności handlowej, transportowej, projektowej, usługowej itp. Potwierdzają to również dalsze ustalenia zezwalające na zakładanie filii, tworzenie przedsiębiorstw wspólnych i podejmowanie tym podobnych działań. Także ustawa o przedsiębiorstwie państwowym sankcjonuje podobne przedsięwzięcia, określając w artykułach 52 i 53 możliwości i zasady umownego grupowania jednostek gospodarczych. Są to więc ogólne ramy, które rzeczywistość gospodarcza wypełni faktyczną treścią. Z tego punktu widzenia, jest rzeczą wyjątkowo niekorzystną, że ten sam projekt reformy zakłada w okresie przejściowym stosowanie nadal centralnego rozdzielnictwa w odniesieniu do wielu surowców i materiałów. Ponieważ w naszej gospodarce funkcjonowało i funkcjonuje nadal wiele faktycznych monopoli, decyzja ta oznacza konserwowanie, w pewnym sensie, starych i niedobrych rozwiązań. Silniejsi w takiej sytuacji będą mieli zawsze więcej do powiedzenia. Dotychczasowe doświadczenia są na to wystarczającym dowodem.

Wyłania się kolejne pytanie. Czy te dążenia mogą mieć wyłącznie negatywne skutki dla społeczeństwa?

Wydaje się, że jeśli przyjąć za podstawę odpowiedzi przewidywane skutki w najbliższym czasie możemy odpowiedzieć twierdząco. Sytuacja natomiast komplikuje się nieco z perspektywy dłuższego okresu czasu, zwłaszcza jeśli przyjmiemy, że stopniowo będziemy wychodzić z kryzysu. Można bowiem wskazać branże, w których efekty tego typu działań byłyby zdecydowanie niekorzystne. Przykładem może być przemysł lekki, odzieżowy, skórzany. Wiadomo przecież, że potentatem w tej dziedzinie są Włochy, gdzie produkcja odzieży odbywa się w setkach małych, często kilkudziesięcioosobowych zakładach, wytwarzających krótkie serie, zdolnych natychmiast dostosować się do tendencji kształtujących się na rynku. Są one o wiele bardziej racjonalne niż olbrzymie kombinaty, dla których każda zmiana produkcji jest problemem. Występują jednak również sektory gospodarki, które ze względu na specyfikę produkcji, jak i cechy zaspokajanych potrzeb, będą wykazywać niejako naturalną skłonność do koncentracji procesu wytwarzania i dystrybucji. Jako przykład może posłużyć przemysł elektroniczny, wytwarzający sprzęt elektroakustyczny. Skomplikowany proces produkcyjny, dobra o dużej złożoności technicznej wymagające fachowej obsługi, informacji przedsprzedażnej i serwisu, będą czynnikami motywującymi do powstania skoncentrowanych form organizacyjnych na przykład jednostek przemysłowo-handlowych.

W związku z powyższymi uwagami, można zaryzykować stwierdzenie, że działania prewencyjne powinny mieć wyważony charakter i iść w miarę możliwości w kilku kierunkach. Tam, gdzie ze względów oczywistych, należy wystrzegać się monopolizowania struktur, powinny zostać stworzone formalne, prawne bariery dla tego typu przedsięwzięć. Kwestia ta jest zbyt słabo zaakcentowana w założeniach reformy. W innych sektorach gospodarki pewne formy koncentracji mogą być dopuszczone, pod warunkiem kontroli ze strony państwa, jak i organizowania przez nie konkurencji dla tak ukształtowanych organizacji gospodarczych. Trzeba sobie oczywiście zdawać sprawę, że w początkowym okresie funkcjonowania nowego systemu ekonomicznego, a zarazem w sytuacji ogromnych braków, zarówno towarów na rynku, jak i dewiz na konkurencyjny import, działania prewencyjne powiny mieć charakter bardziej stanowczy. Nie należy tego oczywiście rozumieć jako hamowanie reformy, a jedynie zapobieganie jej negatywnym skutkom. W miarę jednakże stabilizowania gospodarki, a co za tym idzie rynku, wachlarz możliwości jest grać w tej mierze import towarów, stanowiący weryfikację poczynań krajowych producentów wiele bardziej szeroki. Dużą rolę może odegrać zmuszający ich do większej elastyczności w działaniu i dbałości o interesy konsumentów, a tym samym i własne. W takiej również sytuacji ma szansę zyskać na znaczeniu rola powstałej Federacji Obrony Konsumentów, jako społecznego ruchu atestującego w pewien sposób produkcję krajową. I jakkolwiek dzisiaj stwierdzenia te mogą wydawać się nieco zbyt dalekosiężne, to jednak w przyszłości, działania tego rodzaju mają szansę odegrać znaczną rolę w kształtowaniu stosunków gospodarczych i rynkowych w kraju. Przyszłość również zweryfikuje, na ile przedstawione tu zagrożenia i nadzieje związane z reformą miały sens.

MARIUSZ JĘDRZEJCZAK ■

Chore apteki

EUGENIUSZ IWANICKI

W tytule nie ma przewrotności. Apteki rzeczywiście chorują. Chorują na niedobór lekarstw. Dowody? Za chwilę. Wpierw proponuję Czytelnikom, by udali się do którejkolwiek z aptek i poobserwowali kolejkę stojącą przed szklanym okienkiem. Zmęczona, zapracowana — a przecież zawód ten jak żaden inny wymaga skupienia — pani magister co rusz to podnosi głowę znad kolumny cyfr, by pacjentowi wsuwającemu z boku receptę, odpowiedzieć „nie ma" lub „tego pan nigdzie nie znajdzie".

Tu chcę wtrącić małą inwokację do białych aniołów zza aptekarskiej lady. Nie ze swej winy odbieracie czasem ludziom chorym ostatnią ich nadzieję. To nie wy, harujące jak sprzedawczynie w sklepie i zafrasowane niczym pilne księgowe, jesteście odpowiedzialne za to, że nasze apteki nie mają często podstawowych lekow przeciwbólowych, że podpaski higieniczne są rarytasem i można je nabyć nie wtedy, kiedy są potrzebne, lecz wówczas, kiedy „nadejdą", że człowiek pragnący nabyć syrop przeciwko kaszlowi musi wpierw cały dzień odstać w kolejce po receptę, natomiast nie może tego syropu kupić od ręki w aptece, że... Litania niezawinionych zarzutów jest długa. Apteki chorują na brak leków, ludzie w nich zatrudnieni na bezsilność. Ktoś może powiedzieć, że przeżywamy kryzys, inny, że kryzys kryzysem, ale służba zdrowia uzyskała priorytet, korzysta ze specjalnych przywilejów... Wszystko to jest prawdą, wszyscy mają rację, tylko lekarstw jak nie było tak nie ma.

Postanowiłem dotrzeć do dysponenta lekami, jakim jest Przedsiębiorstwo Zaopatrzenia Farmaceutycznego „Cefarm" w Łodzi oraz do producenta leków tj. do Pabianickich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa". Wszędzie zadawałem to samo pytanie: dlaczego brakuje niektórych lekarstw? Uzyskane odpowiedzi nie rozwiały moich niepewności, jak nie zlikwidują one obaw ludzi chorych, którzy przemierzają miasto w poszukiwaniu potrzebnego specyfiku.

„CEFARM". Moimi rozmówcami są: dyrektor dr farm, CZESŁAW DRĄŻKIEWICZ, zastępca dyr. do spraw zaopatrzenia mgr farm. JADWIGA LECH-SKUBIŃSKA i kierownik działu zaopatrzenia farmaceutycznego mgr farm. REGINA HEINZEL.

Łódzki „Cefarm" zaopatruje w leki 5 województw (miejskie łódzkie, sieradzkie, piotrkowskie, skierniewickie i płockie). Posiada 300 aptek plus szpitale, przychodnie, przedsiębiorstwa, diagnostykę laboratoryjną. Dostarcza do tych wszystkich placówek lekarstwa, środki opatrunkowe i diagnostyczne własnym, mocno sfatygowanym transportem samochodowym. Do najdalszego punktu aptecznego jest 180 km. Specyfiką pracy jest m.in. to, że do szpitala trzeba nieraz wysyłać naraz cztery pełne samochody: leki zmieszczą się na jednym, ale już opatrunki, wata i lignina, zajmą trzy pozostałe. A tu, jak na ironię, magazyny „Cefarmu" usytuowano w czterech punktach Łodzi, nieraz w odległości 25 km od siebie (np. jeden jest na Brukowej, inny na Garnizonowej na Nowym Złotnie). Powierzchnia magazynów wynosi zaledwie 12 tys. m², choć w myśl obliczeń i zaleceń poznańskiego Instytutu Gospodarki Magazynowej Łódzki „Cefarm" winien posiadać magazyny o powierzchni 40 tys. m². Ale, jak wykazuje praktyka, od „powinien" do „ma" często jest droga nie do przebycia.

„Cefarm" co kwartał składa do Centralnej Składnicy tzw zamówienie operatywne z kwartalnym wyprzedzeniem. Niestety, nigdy nie ma pewności, że leki nadejdą w terminie i czy w ogóle nadejdą. Kiedy to piszę mamy II kwartał 1982 r i „Cefarm" dotąd nie otrzymał jeszcze wszystkich rozdzielników, z czego wynika, że w sprzedaży nie ma wielu leków Więc co z tego, że jest opracowywane zamówienie na III kwartał, skoro nie ma pewności, że cokolwiek z niego otrzymają łódzkie apteki. „Cefarm" zamawia leków i środków opatrunkowych na sumę dwóch miliardów stu milionów złotych, a otrzymuje zaledwie za 800 milionów. Inna sprawa, że mimo faktu, iż zamówienie dotyczy poszczególnych miesięcy danego kwartału, producenci z reguły przysyłają leki i opatrunki w ostatnim miesiącu. Niby wszystko pozostaje w najlepszym porządku, „towar" został dostarczony, ale ludzie chorują nie tylko pod koniec kwartału i ich nie obchodzi biurokratyczna strona handlowych operacji, oni żądają lekarstw, plastrów, waty i ligniny codziennie. Jeśli ktoś zachorował w styczniu to nie można mu tłumaczyć, że leki otrzyma dopiero w marcu. Sądzę, że priorytet, jaki uzyskała służba zdrowia, a tym samym farmacja, obowiązuje także na na imię producent lekarstw — chory.

A jak przedstawia się zaopatrzenie łódzkich aptek w leki i środki opatrunkowe? Nie najlepiej. W odczuciu dyrekcji „Cefarmu" zaopatrzenie w opatrunki w II kw. 1982 r. winno ulec nieznacznej poprawie. Jeśli w I kw. było w aptekach 157 tys. kg waty, w II kw. będzie już 289 tys. kg. O sto tysięcy sztuk więcej będzie podpasek higienicznych, o 95 tys. sztuk ligniny.

Natomiast sprawa antybiotyków budzi poważne zastrzeżenia. Dotychczasowe przydziały ampicyliny pokrywają zapotrzebowanie zaledwie w 50 proc., gentamycyny w 40 proc., a vibramycyny jedynie w 15 proc. Lepiej jest z dostawą penicyliny, jest rondomycyna (formy doustne oraz zawiesina), jest syntarpen (injekcje i zawiesina dla dzieci, brak natomiast w kapsułkach), jest seril, makrocyclina, oxyterracyna, erytromycyna. Źle natomiast wygląda zaopatrzenie w leki przeciwbólowe, ze względu na brak piramidonu sprowadzanego dotąd z zagranicy. W aptekach pojawiły się co prawda radzieckie tabletki od bólu głowy, ale to wszystko.

Nie ma natomiast problemu z lekami przy przeziębieniach (aspiryna, calcipiryna). Za mało jest syropów (tylko na recepty), brakuje nowo wprowadzonego niedawno preparatu wykrztuśnego (ponoć znakomity!) pod nazwą flegamin, natomiast dostępne są krople od kaszlu pectosol. Nie ma problemu z witaminami (wyjątek wit A+E), jest sporo maści gotowych, choć nie ma enceryny, podstawy do sporządzania maści w aptekach. Jest pod dostatkiem leków nesercowych, gastrycznych (nawet zagraniczne, takie jak Altramet). Gorzej będzie z lekami z importu, są ograniczenia leków specjalistycznych np brak oxyferriscobone (stosowany przy owrzodzeniach żołądka), voltaren (przeciwzapalny, przy schorzeniach reumatycznych), vita — jodurol (krople do oczu) i in. Zupełną tragedią pozostaje brak insulin monokomponentnych stosowanych przy cukrzycy, szczególnie u osób młodych.

Na zakończenie drobna uwaga ze strony farmaceutów pod adresem lekarzy: często chory otrzymuje w aptece odpowiedź, że jakiegoś leku nie ma. Owszem, jest zastęczy, ale farmaceuta nie ma prawa dokonywać zamiany. Stąd prośby, by lekarze wypisując lek umieszczali także jego zamienniki. Sądzę, że ta sprawa winna być rozstrzygnięta poprzez bliższe kontakty farmaceutów z lekarzami ordynującymi.

„POLFA". Zakład wybudowany w Pabianicach w 1889 r. przez łódzkiego przemysłowca Ludwika Schweikerta wkrótce staje się filią szwajcarskiej „Ciby". Od suchej destylacji węgla, poprzez produkcję barwników i preparatów do garbowania skór, aż do wytwarzania znanych dziś na całym świecie leków. Z niewielkiej początkowo wytwórni, po ostatniej wojnie „Polfa" stała się miliarderem i eksporterem swoich wyrobów na wszystkie kontynenty. Ale zanim to nastąpiło, były trudne lata po wyzwoleniu, a 70 zatrudnionych tutaj wówczas pracowników ofiarnie uruchamiało wpierw kotłownię, potem oddział produkcyjny siarczku sodowego, później oddział barwników. W latach 1957 — 1963 powstają syntezy: amidopiryny, sulfamidu, chloraminy, witaminy PP, cholamidu, nowalginy. Rozwija się gotowa forma leków. Uruchamia się produkcję oxytetracykliny dla celów paszowych oraz produkcję hormonów paszowych, a także barwników dla przemysłu włókienniczego i skórzanego. O Pabianicach i „Polfie" zaczyna być głośno w kraju i poza jego granicami.

Moim informatorem jest dyrektor naczelny mgr inż. JANUSZ KOZIARA.

Aktualnie „Polfa" produkuje. 1. grupę leków przeciwbólowych, przeciwreumatycznych (m.in. biseptol, ibuprofen — jeden z najlepszych leków przeciwreumatycznych na świecie oraz mefacit, cholestil, polopirynę, gardan, veramid, piramidon); 2. środki dezynfekcyjne (chloramina, sterinol); 3. antybiotyk paszowy (cynk — bacytracyna); 4. grupę barwników przeznaczonych w znacznej mierze dla przemysłu skórzanego i lekkiego. Tu należy zaznaczyć, że pabianicka „Polfa" jest trzecim zakładem na świecie, a jedynym w systemie RWPG mającym tego rodzaju produkcję.

Jak w wielu zakładach, także i tu brakuje ludzi do pracy. Dziś „Polfa" może od razu zatrudnić tzw. rzemieślników i aparatowych. Ich brak powoduje poważne zmniejszenie produkcji. Jeśli ten stan nie ulegnie poprawie, a wszystko wskazuje na to, że nie, w drugim półroczu 1982 r. może wyraźnie obniżyć się produkcja leków. Mały napływ ludzi do pracy tłumaczy się także i tym, że w „Polfie" zarobki są za niskie w stosunku do innych przemysłów.

Roczna produkcja „Polfy" wynosi ponad 2 mld złotych według cen zbytu.

Swoje wyroby, jak już wspomniałem, wysyła się stąd do krajów zrzeszonych w RWPG oraz do tzw. drugiego obszaru płatniczego. Natomiast barwniki praktycznie do wszystkich krajów na świecie. W sumie, w latach minionych, eksport wynosił 20 proc. całej produkcji, dziś ulega znacznemu zmniejszeniu, dotyczy to głównie leków ze względu na ścisły priorytet dla potrzeb krajowych. Tak więc, jedynie nadwyżki będą wysyłane poza granice Polski, wszystko zabierze „Cefarm", „Bacutil" oraz przemysł skórzany i włókienniczy.

Surowce „Polfa" otrzymuje w dużej części z krajów kapitalistycznych lub z państw socjalistycznych. Niestety, z surowcami nie jest najlepiej. I choć drugi kwartał 1982 r. jest nieco lepszy od pierwszego, wszystko to jest za mało. Właśnie z powodu braku surowca w pierwszym kwartale br. były długotrwałe przerwy w produkcji leków. Co prawda jest przyrzeczenie Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Ministerstwa Finansów, że „Polfa" otrzyma zwiększony przydział dewiz, ale strat się nie odrobi. Sporym utrudnieniem było dotychczasowe przyznawanie dewiz jedynie na jeden miesiąc, co uniemożliwiało praktycznie normalne planowanie i produkcję. Teraz są przydziały kwartalne. Dyrektor Koziara marzy jednak o przydziale rocznym. Przecież — powiada — on tu, na miejscu, wie najlepiej co, ile i kiedy jest mu potrzebne.

Inną, niebagatelną kwestią, pozostaje operatywność handlu zagranicznego w warunkach wprowadzania reformy. Po pierwsze: chodzi o lepsze szukanie źródeł zaopatrywania się w surowce, po drugie: musi być bieżąca informacja dla zakładu o terminach i możliwościach dostaw tych surowców Na dziś wyląda to tak, że „Polfa" dowiaduje się o dostawie w momencie, gdy surowiec jest już w drodze lub stoi na bocznicy kolejowej. A przecież już wcześniej trzeba przygotować maszyny i ludzi, gdyż w warunkach produkcji leków nie można przestawiać się ad hoc z jednej produkcji na drugą.

„Polfa" praktycznie nie ma bodźców do oszczędzania surowców, szczególnie tych z importu. Wygląda to na paradoks, choć jest prawdą. Po pierwsze: z każdych 10 złotych tylko 1 złoty zysku pozostaje w zakładzie, reszta jest odprowadzana do skarbu państwa, po drugie: przy obowiązującym przeliczaniu złotówki za dolar (oficjalny kurs wynosi 80 zł za 1 dolar) najczęściej uruchomienie produkcji danego surowca w zakładzie jest droższe niźli sprowadzenie go za dolary. Stąd wniosek, że zysk uzyskiwany w wyniku oszczędności surowcowych nie powinien podlegać opodatkowaniu oraz że oszczędności na surowcach sprowadzanych z zagranicy za dewizy powinny zwiększać konto odpisów dewizowych przedsiębiorstwa, analogicznie jak eksport. Niezależnie od tego, straszak, jakim jest możliwość przerwania produkcji ze względu na brak surowców zmobilizował zakład do działań umożliwiających uruchomienie produkcji, na miejscu lub w innych zakładach chemicznych, niektórych surowców dotychczas importowanych. Zmobilizował także przedsiębiorstwo do opracowania harmonogramu działań zmierzających do zmniejszenia zakupu surowców w KK.

Ale w tym skomplikowanym systemie pojawiło się jednak jeszcze jedno pojęcie: priorytet. Jednakże rozrośnięcie się tych programów operacyjnych powoduje, że przestają one być priorytetami. Bo skoro wszyscy dziś mają priorytet, to w praktyce oznacza to, że nikt go nie ma. Wobec powyższego niezbędne jest ponowne zbilansowanie możliwości surowcowych i dewizowych państwa i na tej bazie zredukowanie programów operacyjnych. W przypadku „Polfy" spowodowało to dodatkowe trudności w zabezpieczeniu nie tylko surowców i półproduktów z importu, ale także tych krajowych. Oto jeden z przykładów: „Polfa" wysłała do huty „Częstochowa" zamówienie na butelki do vagothylu, ale producent nie może go wykonać, tłumacząc się, że wszystkie posiadane przez siebie moce produkcyjne przeznaczył dla innych, mających także priorytety, odbiorców. Błędne koło.

Jak wspomniałem, pabianicka „Polfa" jest zakładem starym, niedługo będzie obchodzić swoje stulecie istnienia. Wynika z tego konieczność ciągłej modernizacji, poprawianie warunków pracy załogi, a także warunków samej produkcji. Niektóre urządzenia pamiętają czasy cesarstwa Austro — Węgier. Pieniędzy, jakie może wypracować załoga, nie wystarcza nawet na najpilniejsze potrzeby. Aby bodaj utrzymać status quo „Polfa" w roku bieżącym potrzebuje około 50 mln zł., a dysponuje zaledwie 17 milionami. W sytuacji, kiedy zaczną obowiązywać trzy „S", te kłopoty mogą się jeszcze zwiększyć. Nikt nie oczekuje od państwa, żeby dokładało do zakładu, ale niechże zakład ma szansę skorzystania z wypracowanych pieniędzy. Zastosowanie ulg podatkowych umożliwi zakup nowych maszyn i drobne modernizacje.

Znaczna część przedstawionych powyżej trudności jest praktycznie związana z wdrażaniem reformy gospodarczej w warunkach kryzysu gospodarczego. Jedynym optymistycznym momentem w tym wszystkim jest konsekwencja widoczna w działaniach administracji państwowej. Jeśli tej konsekwencji nie zabraknie, choć nie wykluczone, że po drodze mogą się pojawić jeszcze większe trudności, to za dwa, trzy lata będziemy mogli, przy kolejnej informacji z pabianickiej „Polfy" mówić więcej o sukcesach niźli o niedostatkach.

A póki co musimy biegać z receptą od jednej apteki do drugiej i wysłuchiwać, że leku „nie ma", „dawno nie było", „tak prędko nie będzie". ■

Foto: M. Zajdler

GRZEGORZ MATUSZAK

Nauczyciele o partii

Zespół Analiz Społecznych przy Wydziale Nauki i Oświaty Komitetu Łódzkiego PZPR, kierowany przez prof. dr hab. STEFANIĘ DZIĘCIELSKĄ-MACHNIKOWSKĄ z Instytutu Socjologii UŁ, w dniach 23—26 marca 1982 roku przeprowadził badania opinii członków partii na temat jednego z fragmentów projektu deklaracji ideowo-programowej KC PZPR „O co walczymy, dokąd zmierzamy" — rozdziału „Nasza partia". Zebrany i opracowany materiał prezentuje Czytelnikom „Odgłosów" Grzegorz Matuszak — jeden z zespołu socjologów prowadzących badania. W toczącej się dyskusji nad Deklaracją Ideowo-Programową PZPR warto poznać różne poglądy, aby tym łatwiej i głębiej można było sformułować własne.

1

Opinie zebrano przy pomocy ankiety w dwóch łódzkich środowiskach skupiających członków PZPR — wśród robotników dziesięciu zakładów pracy oraz wśród pedagogów pracujących w szkołach ponadpodstawowych. Ogółem odpowiedziało 54 nauczycieli uczących w liceach ogólnokształcących i technikach oraz 16 nauczycieli akademickich z Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego UŁ. Wśród 70 członków partii reprezentujących środowisko nauczycielskie znalazło się 39 mężczyzn i 31 kobiet, ponadto respondenci zadeklarowali swoją przynależność związkową: ZNP — 45, „Solidarność" — 18, a 7 osób oświadczyło, że w ogóle nie należy do żadnego związku zawodowego.

Wypowiedzi, których omówieniu poświęcony jest ten artykuł, nie upoważniają do podjęcia próby uogólniania poglądów członków PZPR, zarówno ze względu na małą liczebność grupy, jak i jej środowiskowy charakter. Wydaje się jednak, że mogą posłużyć do porównań, ewentualnych polemik lub akceptujących wypowiedzi w innych środowiskach, a tym samym przyczynić się do bardziej wnikliwego przedyskutowania spraw partii w związku z projektem jej deklaracji ideowo-programowej.

2

W dwa tygodnie po ogłoszeniu projektu deklaracji, między innymi w odrębnej broszurze oraz na łamach „Głosu Robotniczego", tylko jedna piąta ankietowanych nauczycieli stwierdziła, że nie zna tekstu. Świadczy to, jak się wydaje, o znacznym zainteresowaniu deklaracją, chęci zapoznania się z jej treścią oraz, co wykazała ankieta, żywym stosunku do poszczególnych sformułowań.

Projekt deklaracji w rozdziale „Nasza partia" następująco określa zadania PZPR: *„ukazać wyjście z kryzysu, stworzyć realne gwarancje przed ich powtarzaniem się, zdobyć szeroką akceptację społeczną"* Ankietowani nauczyciele mieli za zadanie określić ważność tych zadań przez ich ponumerowanie według doniosłości. W wyniku tego zabiegu respondenci uznali, że najważniejsze jest stworzenie gwarancji zapobiegających powtarzaniu się kryzysów (52 wskazania, że jest to zadanie nr 1 lub nr 2), a dalej zdobycie szerokiej akceptacji społeczeństwa i ukazanie wyjścia z kryzysu, w jakim znalazł się kraj. Wydaje się, że taka kolejność zadań, jak to wskazali badani nauczyciele, jest bardziej logiczna, bowiem gwarancja prewencji kryzysów oraz akceptacja społeczna mogą dać partii realną szansę pokierowania społeczeństwem w wyjściu z obecnej sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej. Inaczej mówiąc jest to problem wiarygodności i społecznego zaufania.

3

Następnie ankietowani mieli za zadanie określić swój stosunek do stwierdzenia zawartego w projekcie deklaracji: *„Naturą komunistów jest służebność wobec klasy robotniczej, reprezentowanie jej interesów, spełnianie wobec niej ideowego przywództwa kształtowanie świadomości politycznej oraz przekonywanie i nieustanne jej pozyskiwanie dla swego programu"*. Utożsamiło swój pogląd z tym stwierdzeniem 55 nauczycieli, 10 wyraziło negatywną opinię, a 5 nie potrafiło sprecyzować swego zdania.

Z zagadnieniem tym wiązało się pytanie o najważniejsze zadania partii w najbliższym czasie. Badani nauczyciele, członkowie PZPR uznali, że najpilniejsze jest reprezentowanie interesów klasy robotniczej i pozyskiwanie jej dla programu partii a dalej służebność wobec klasy robotniczej oraz kształtowanie jej świadomości politycznej. Wszystkie te zadania, wymienione w projekcie deklaracji, uzyskały akcpetację co najmniej połowy ankietowanej grupy. Najmniej, bo tylko jedna trzecia respondentów uznała, że najważniejszym zadaniem partii jest spełnianie ideowego przywództwa klasy robotniczej. Jest to opinia tym bardziej wymagająca zastanowienia, że przecież z samej istoty partii wynika jej rola przywódcza wobec klasy, której interesy ona reprezentuje. Być może wpływ na taki właśnie sąd miała pewna doraźność określania zadań partii, podyktowana obecną sytuacją społeczno-polityczną.

4

Różnicę zdań wywołało pytanie, czy PZPR wyraża interesy całego narodu, a więc nie tylko klasy robotniczej. Połowa (34) odpowiadających wyraziła w tej kwestii opinię negatywną, 30 osób uznało, że partia reprezentuje cały naród, a 6 osób nie miało na ten temat wyrobionego zdania. Godne przytoczenia są choćby niektóre uzasadnienia opinii pozytywnych:

— *„partia wyraża naturalne dążenia narodu"*,

— *„ponieważ interesy klasy robotniczej są i muszą być zbieżne z interesami narodu"*,

— *„ponieważ cele, do których dąży PZPR są słuszne dla całego narodu, a różnice klasowe są coraz mniej widoczne"*,

— *„uważam, iż PZPR winna być przewodnią siłą całego narodu, którego klasa robotnicza jest częścią. (...) Winna dążyć do zespolenia celów i interesów wszystkich klas i warstw społecznych wokół jednej sprawy najważniejszej, tj. zbudowania faktycznego społeczeństwa socjalistycznego"*,

— *„PZPR dąży do wyjścia z kryzysu całego społeczeństwa, reprezentuje interesy wszystkich ludzi pracy"*.

A oto przykłady wypowiedzi, których autorzy nie są przekonani, że partia wyraża interesy całego narodu:

— *„nie, gdyż oprócz klasy robotniczej jest jeszcze inteligencja pracująca, ktora nie ma właściwej rangi społecznej. PZPR jej nie docenia, a często widzi w niej tylko negatywy"*,

— *„naród nie składa się tylko z ludzi uznających socjalizm"*,

— *„brak akceptacji społecznej dla poczynań PZPR"*,

— *„gdyby partia wyrażała istotnie interesy całego narodu nie doszłoby do tak głębokiego kryzysu społeczno-moralnego, politycznego i gospodarczego w naszym kraju. Stało się coś niedobrego: deklaracje sobie, a praktyka życia codziennego sobie — to spowodowało, że partia przeżywa dziś takie niepokoje moralne wśród samych swoich członków"*,

— *„partia wyraża interesy części społeczeństwa akceptującego ideologię i politykę marksistowsko-leninowską, a takich jest mniejszość"*,

— *„na razie jeszcze nie; będzie wyrażała jak odzyska zaufanie mas, jak rozliczy winnych tego stanu, w jakim się znajdujemy"*,

— *„znaczna część członków „Solidarności" nie wyrzekła się walki z ustrojem i programem partii"*.

Ogółem wymieniono 54 rozmaite motywacje (pozytywne — 26, negatywne — 28), dając jednocześnie wyraz swoim ocenom sytuacji w kraju oraz swego stosunku do partii. Prawie jedna czwarta odpowiadających nauczycieli nie uzasadniła swojej opinii na temat, czy partia wyraża interesy całego narodu.

5

Interesujące są odpowiedzi dotyczące pożądanych cech członka partii. W kolejności uzyskanych wskazań są to: uczciwość (55), patriotyzm (46), prawość i pracowitość (po 45), odwaga w zwalczaniu zła (38), mądrość (28), zdyscyplinowanie (25), aktywność społeczna (20), skromność i znajomość zasad marksizmu (po 18), przekonania materialistyczne i ideowa żarliwość (po 10).

Warto dodać w tym miejscu, że projekt deklaracji podkreśla wśród pożądanych cech członka partii wierność zasadom marksizmu-leninizmu, zdyscyplinowanie, żarliwość ideową, konieczność aktywnego zwalczania przejawów zła społecznego. Natomiast ankietowani, na równi z tymi cechami, a może nawet bardziej cenią ogólne ludzkie wartości moralne, jakich oczekują od członków PZPR.

Tego tematu dotyczyło także pytanie, czy partia powinna bezwzględnie pozbyć się ze swych szeregów, jak to formułuje projekt deklaracji: *„ludzi nieuczciwych, koniunkturalnych, karierowiczów, dwulicowych dbających jedynie o prywatę; ludzi biernych, należących do partii jedynie formalnie"* oraz tych, którzy *„w słowie lub czynie sprzeniewierzają się ideałom i zasadom naszej partii, nie realizują jej uchwał lub przeciwstawiają się im"*.

Aż dziewięć dziesiątych odpowiadających potwierdziło konieczność takiego działania, w tym 82 proc. uznało, że jest to konieczność bezwzględna. Tylko 4 osoby uważały, że powinno to zależeć od okoliczności, a 2 osoby nie miały sprecyzowanego zdania na ten temat.

6

Stwierdzenie znajdujące się w projekcie deklaracji, że *„rewolucyjna sytuacja wymaga rewolucyjnych postaw, bezkompromisowości, zdecydowania, wierności sprawie socjalizmu, czystych rąk i czystych sumień"* uznało za własne 61 ankietowanych i wyraziło gotowość realizacji tej zasady w swej praktycznej działalności. Od okoliczności uzależniło uznanie trafności powyższego stwierdzenia 6 osób, jedna nie zgodziła się z jego słusznością, a dwie nie wyraziły swojej opinii.

Na temat kryteriów partyjności projekt deklaracji zawiera następujące zdanie: *„Nie ma w naszej dramatycznej rzeczywistości miejsca ani czasu na demonstracje wahań, wątpliwości i słabości"*. Słuszność tej oceny potwierdziło 51 odpowiadających, 14 nie zgodziło się z zasadnością cytowanego fragmentu, a 5 nie miało zdania.

Bardziej jednoznaczne stanowisko wyrazili ankietowani nauczyciele na temat kolejnego stwierdzenia: *„Dzisiaj kryteria partyjności muszą być bardziej ostre i jednoznaczne. Tylko ten, kto potrafi znieść ciężar obowiązków wynikających z przynależności do naszej partii, podołać im w sposób świadomy, odpowiedzialny i zdyscyplinowany — może zasłużyć na godność członka PZPR — komunisty"*. Słuszność i zasadność tej myśli uznało 61 odpowiadających, 7 respondentów uznało, że nie zgadzają się z jej treścią, a 2 nie udzieliło w ogóle odpowiedzi.

Wreszcie stanowisko zawarte w projekcie deklaracji, że *„w sprawach zasadniczych, decydujących o charakterze partii, jej obliczu ideowym i politycznym, musi istnieć pełna i bezwarunkowa jednomyślność wszystkich, którzy chcą być i pozostać członkami naszej partii"*, wzbudziło rozbieżne opinie. Trafność tego stwierdzenia uznały 54 osoby, 14 czyli jedna piąta miała negatywną opinię w tej kwestii, a 2 osoby nie wyraziły zdania na ten temat.

7

W końcowej części ankiety omawiana grupa nauczycieli, członków PZPR oceniła kształt redakcyjny projektu deklaracji „O co walczymy, dokąd zmierzamy".

Tylko co dziesiąty respondent uznał, że tekst jest dobry i nie trzeba go zmieniać, a jedna trzecia badanych oceniła, że projekt wymaga drobnych poprawek. Również jedna trzecia wyraziła opinię o konieczności gruntownego przeredagowania tekstu zarówno w treści, jak i w formie, trzy osoby uznały, że projekt jest zły i należy opracować go zupełnie inaczej. Pozostałe 17 osób (jedna czwarta badanych) nie znało tekstu lub nie miało żadnych propozycji.

Swoją opinię na temat oceny tekstu uzasadniło aż 41 osób, z czego 38 wskazało na rozmaite słabości i mankamenty projektu deklaracji. Między innymi takie, jak:

— *„tekst jest dobry, mam jednak obawę, czy jest czytelny dla każdego członka partii i obywatela, który ma być jego odbiorcą"*,

— *„tekst powinien być krótki i pisany dostępnym językiem"*,

— *„jest to raczej referat a nie deklaracja"*,

— *„jest zbyt długi i sprawa najważniejsza — rozdział „Nasza partia" musi znaleźć się na czołowym miejscu. W deklaracji nie może być wahań i niedomówień"*,

— *„napisana jest językiem sztywnym, gazetowym, nie dla normalnych ludzi. Pełno w niej frazesów, ogólników. Jest bardzo nikłe nawiązanie do tradycji ruchu robotniczego, jakby ci, którzy deklarację pisali nie znali historii własnej partii"*,

— *„w tekście występują zbędne powtórzenia. Brak wyjaśnienia relacji między deklaracją a uchwałą IX Zjazdu"*.

Najwięcej zarzutów dotyczyło nadmiernej długości tekstu, braku zwartości i gubienia myśli przewodnich. Ponadto oceniono, że projekt jest nadmiernie hasłowy, napisany mało komunikatywnym językiem. Niektórzy ankietowani nauczyciele wskazali na potrzebę konkretnego określenia zadań stojących przed partią.

Problemu zredagowania deklaracji dotyczyły kolejne pytania na temat: o jakie sprawy projekt należy uzupełnić i wzbogacić oraz jakie sprawy są zbędne i trzeba je pominąć. Respondenci w odpowiedzi zgłosili 19 propozycji uzupełnień, między innymi dotyczących takich zagadnień, jak: gwarancje niepowtarzania się kryzysów, drogi wyjścia z kryzysu, polityka kadrowa partii, wychowanie młodzieży oraz 12 propozycji wyeliminowania np. szczegółowego traktowania spraw gospodarczych i pozostawienia ich w gestii rządu, powtórzeń ze Statutu PZPR, a także zbyt obszernych odniesień do przeszłości.

8

Zaprezentowane w artykule opinie są tylko częstką materiałów, jakie Zespół Analiz Społecznych Wydziału Nauki i Oświaty KŁ PZPR uzyskał za pośrednictwem badań ankietowych. Wydaje się, że już obecnie można ocenić, jeszcze w trakcie trwania rozważań nad projektem, że tekst deklaracji wyzwolił w członkach partii potrzebę krytycznego przewartościowania zaproponowanych ocen i opinii, wyrażenia własnego sądu, a tym samym ożywił i ukierunkował wewnątrzpartyjną autorefleksję nad miejscem i rolą PZPR w społeczeństwie polskim w 1982 r. Niezależnie od krytycznych uwag, z jakimi spotkał się projekt, tekst spełnił ważną rolę — skłonił członków partii do zastanowienia się nad problemami podstawowymi dla Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Czego nam potrzeba?

Polski charakter narodowy 3.

Charakter narodowy Polaków jest być może w jakimś stopniu utrwalony genetycznie, ale stanowi również rezultat określonego procesu społeczno-historycznego i specyficznego dziedzictwa kulturalnego. *„Tradycja wszystkich zmarłych pokoleń* — pisał Karol Marks — *ciąży jak zmora na umysłach żyjących"*. Największy wpływ na nasz charakter miały, moim zdaniem, dwa czynniki: dychotomiczna struktura społeczna i kulturalna narodu oraz refeudalizacja i rekatolizacja od XVI wieku. Przez kilka wieków etniczni Polacy dzielili się dychotomicznie na dwa światy społeczno-kulturowe: rycersko-szlachecki i chłopsko-ludowy. Pod koniec XVIII wieku Polska miała następującą strukturę stanową: duchowieństwo — 0,3 proc., szlachta — 9 proc., mieszczaństwo — 16 proc., chłopstwo — 75 proc. Na uwagę zasługiwały dwie osobliwości tej struktury — wysoki udział szlachty i dominacja obcych wśród mieszczan. Warto tu podać, że w tym samym czasie w innych krajach szlachta stanowiła o wiele mniejszy odsetek ludności. W Hiszpanii wynosił — 6,5 proc., na Węgrzech — 4 proc., w Anglii — 3 proc., Rosji — 2 proc., a we Francji zaledwie 0,7 proc. U nas był on rekordowy, ale — co bardzo istotne — wśród etnicznych Polaków sięgał aż 25 proc. Równocześnie zaś wśród mieszczaństwa aż ponad 2/3 stanowili Żydzi, a ponadto pewien procent Niemcy. Jak z tego wynika, Polak to był szlachcic (co czwarty!) lub chłop, bardzo rzadko mieszczanin. Z braku licznego rodzimego mieszczaństwa nie mieliśmy silnego stanu pośredniego, lecz dwa tylko światy — panów i chamów. Pierwsi mieli p r a w o panować i próżnować, drudzy zaś o b o w i ą z e k służyć i pracować. Przez trzy wieki szlachta była stanem panującym. Miała monopol na dziedziczne posiadanie ziemi i monopol sprawowania władzy. Wyłącznie dla niej zarezerwowane były wyższe urzędy państwowe, stopnie oficerskie i godności kapłańskie (od 1430 r. tylko szlachcic mógł zostać biskupem). W celu zdystansowania się od chłopów głoszono, że są innym narodem. Polakami miała być tylko sarmacka szlachta, a chłopów wywodzono od Getów lub Gepidów. Przypominano im poza tym, że pochodzą od biblijnego chama, jak szlachta od Jafeta. Historyk i poeta XVI-wieczny, Maciej Stryjkowski, pouczał chłopów: *„Nie czyń się, chamie, Jafetem"*. Panowie szlacheccy głęboko pogardzali wszystkimi stanami i zawodami, których podstawą utrzymania była praca. O rzemieślniku mówiono, że *„mitręgą sprośną żyje, zacnemu człowiekowi nieprzystojną"*. Na temat kupiectwa twierdzono, że to *„grzech i sromota kupczyć"*. Inteligencja była określana pogardliwie: *„Wszystkie mędrki piśmienne, wszystkie głodne literaty, cała tłuszcza uliczna zza karet usiłująca przesiąść się do karet, wszystkie spekulanty na grosz prywatny i publiczny, wszystkie zapaleńcy ubiegający się za dziwaczną równością i wolnością..."*. Lekarz był cyrulikiem, uczony — bakałarzem, aktor — komediantem. Ta głęboka pogarda dla pracy i ludzi z niej żyjących utrzymywała się później mimo upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej. Arcybiskup warszawski, Zygmunt Szczęsny Feliński, tak pisał w swoich pamiętnikach: *„Podupadły obywatel prędzej zgodziłby się pójść do bogatego sąsiada na rezydenta niż wziąć się do rzemiosła, handlu lub przemysłu. Nawet i medycyna, i adwokatura za poniżający dla ziemianina stan były uważane"*. Wobec tego rodzaju postaw i wartości pańskiej kultury, nic dziwnego, że sprawami przemysłu i organizacji zajmowali się u nas głównie cudzoziemcy: Żydzi i Niemcy. Należy podkreślić, że w Polsce międzywojennej Żydzi stanowili aż 43 proc. burżuazji i 55 proc. drobnomieszczaństwa. Bohater jednej z powieści Mieczysława Srokowskiego tłumaczy: *„Myśmy nigdy mydlarzami ani fabrykantami, ani inną kanalią nie byli. Byliśmy rycerzami albo kapłanami i basta! Uznawaliśmy jedną tylko pracę, to jest rozwalić Turka na dwie połowy od łba do kulbaki; oprócz tego umieliśmy się gorąco modlić i gorąco bawić — i na tym koniec. Tak nas wieki kształciły. A tu nagle teraz, bądź «kulturtragerem»! Niby skąd? Rycerzami nie możemy być, kapłanami także nie, bo nam wiarę jeśli nie pożarła, to podkopała dzisiejsza filozofia — a modlimy się dlatego tylko, żeby się od hołoty odróżnić; zostało nam więc jedno tylko: gorąca zabawa..."* Dlaczego inaczej pracują i są lepszymi organizatorami rodowici mieszkańcy Wielkopolski. Otóż nie tylko z powodu tradycji zaboru pruskiego i wpływów kultury niemieckiej. Istotne znaczenie miał również fakt, że w XIX wieku sfery intelektualne — będące nosicielami wzorów szlacheckich — miały tutaj względnie małą pozycję. A równocześnie wysoka była i silna pozycja społeczna p o l s k i e g o mieszczaństwa i zamożnych chłopów. W kulturze szlacheckiej najwyżej

ceniono równość i wolność. Stan ten był jednak silnie zróżnicowany — przeszło połowę stanowiła bezrolna gołota, a magnaterii było poniżej 1 procent. Dumny pan Hieronim Florian Radziwiłł traktował gmin szlachecki jako *„gnojstwy pachnące kolegstwo"*, ale formalnie wszyscy byli równi. W kraju nie przyznawano tytułów rodowych, lecz urzędowe — przysługujące też żonom oraz przechodzące na synów i wnuków. Namnożono przez to urzędów ziemskich bez liku. Szlachcic bez urzędu był jak chart bez ogona. I dziś w państwie socjalistycznym nadal kwitnie tytułomania. Jeśli ktoś nie jest prezesem, dyrektorem, kierownikiem, referentem, specjalistą czy kimś w tym rodzaju, żeby mu pochlebić, mówi się „szefunio".

Obok równości ceniono wolność. Pewien ideolog szlachecki pisał, że *„nam Polakom w sukience wolności tak przystoi, iż jakoby ją do nas, do natur i geniuszów naszych przymuskał"*. To przesadne poczucie wolności związane było z nieustannym ograniczaniem i osłabianiem władzy państwowej. Stanisław Staszic stwierdzał: *„Naród, o swoim królu podejrzenia pełen, usiłował sposobami różnemi zmniejszyć tak obrażającą go władzę"*. Nic więc dziwnego, że w końcu potężne państwo przestało się liczyć w Europie i pełniło rolę *„karczmy zajezdnej"* dla wojsk sąsiednich krajów. Zgubił je nadmierny i anarchiczny indywidualizm obywateli.

Kazimierz Dobrowolski głusznie zwrócił uwagę na konieczność odróżniania indywidualizmu twórczego od anarchicznego. Pierwszy ma podłoże socjocentryczne i odgrywa rolę postępową. Drugi natomiast wynika z pobudek egocentrycznych, chęci wywyższenia się i rozładowania kompleksów; utrudnia on współpracę, obniża poczucie odpowiedzialności i rzeczywistości. W jednym 1790 roku zmarli dwaj jakże odmienni przecież indywidualiści: Beniamin Franklin i Karol Radziwiłł „Panie Kochanku". Artur Górski w 1918 roku pytał i odpowiadał: *„Ku czemu Polska szła? Dzieje mówią nam. Ku szlacheckości"*. Jest to o tyle prawdziwe, że wzory kultury szlacheckiej przejmowała nie tylko inteligencja, lecz również awansujący społecznie chłopi. *„Gdy chłop polski podniesie się ze swego nędznego padołu* — zauważył Aleksander Świętochowski — *natychmiast stara się upodobnić do pana dworskiego"*. Dlatego też socjolog Józef Chałasiński wołał w 1938 roku: *„Nie chodzi o ratunek dla szlacheckiej kultury przed chłopskimi synami, lecz chodzi o ratunek dla chłopskich synów przed szlachecką kulturą"*

Kiedy w XVI wieku kraje Europy Zachodniej ruszyły drogą postępu w kierunku kapitalizmu i pozbywały się reszty poddaństwa, Polska zaczęła rozwijać się w kierunku wstecznym. Rozkwitała gospodarka folwarczno-pańszczyźniana i zapanowało „wtórne poddaństwo". W systemie tym długo kształtował się i utrwalał wśród chłopów negatywny stosunek do pracy. Współczesny badacz Jan Borkowski tak to przedstawia: *„Nienawiść do pracy zrodziła u chłopa pańszczyźnianego próżniactwo i skłonność do partaczenia roboty... Nie do dobrego jadła tęsknił najmocniej, nie do wygód, których nie znał, nie do kultury, o której nic nie wiedział, lecz do słodkiej bezczynności"*. Wbrew powszechnym opiniom twierdzę, że nie w okresie rozbiorów, lecz już wcześniej — w ciągu XVI, XVII i XVIII w. — wykształcały się w Polsce niewłaściwe postawy wobec pracy. Gdy na Zachodzie inicjatywę przejmowali ludzie przedsiębiorczy, pracowici, oszczędni i zdyscyplinowani, w Polsce dominowały wśród szlachty dążenia do wygodnictwa i próżności, a u chłopów tęsnota do *„słodkiej bezczynności"*. Na wzbierającej fali refeudalizacji musiała załamać się reformacja. Tak liczna w naszym kraju i rozprzężniaczona szlachta nie mogła przecież dopuścić do zwycięstwa religii, której kaznodzieje akcentowali następujące słowa Pisma Świętego: *„Kto nie chce pracować, niech też nie je"*. Pozostano zatem przy wygodnym katolicyzmie.

Ważnym następstwem refeudalizacji i rekatolizacji było odrzucenie mieszczańskiego etosu pracy, a w perspektywie przyjęcie romantyzmu i brak odzewu na hasła pozytywistyczne. Nie odpowiadał nam już później praktyczny rozsądek mieszczański, lecz bardziej zgodny z tradycją średniowieczno-irracjonalny duch „czucia i wiary", którego mógł realizować *„z polską szlachtą polski lud"*. Wiek XIX u nas, to okres marzeń o wskrzeszeniu Rzeczypospolitej szlacheckiej, którą fałszywie przedstawiano jako polską Arkadię z idyllą pańsko-chłopską. A tymczasem Zachód kontynuował dzieło rewolucji i gorączkowo budował podstawy obecnie posiadanej potęgi cywilizacyjnej. Już przed powstaniem listopadowym, a w szczególności po jego klęsce rozbrzmiewały słowa pieśni — modlitwy: *„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie: Ojczyznę, wolność racz nam zwrócić, Panie"*. W tym patriotyczno-religijnym hymnie chodziło, rzecz jasna, o „złotą wolność" szlachecką. Rozumiała to większość chłopstwa i dlatego obojętnie odnosiła się do akcji spiskowo-powstańczych.

Inercja wzorów szlacheckich w XIX stuleciu była w Polsce tak wielka, że na tle innych krajów w zasadzie przespaliśmy ten wiek. Mściło się to później w okresie międzywojennym i zmniejszyło szanse Polski Ludowej. W rok po zakończeniu II wojny światowej Józef Chałasiński pisał, że *„u nas każde pokolenie inteligencji rozpoczyna pracę od nowa i zawsze w ten sam sposób. Zawsze ta sama frazeologia ratowania zachodnioeuropejskiej kultury polskiej; zawsze ta sama Polska — przedmurze chrześcijaństwa. Zawsze to samo nieróbstwo myślowe uświęcane jakimś wyświechtanym, górnolotnym frazesem"*.

Poważny wkład w ukształtowanie i podtrzymywanie takiego stereotypu postępowania wniósł Kościół katolicki. Ta potężna instytucja zamiast wesprzeć powojenne wysiłki budowy nowej Polski stała się ośrodkiem skupienia i azylu dla przeciwników ustroju socjalistycznego. Nastąpiło to w szczególności po śmierci — życzliwie ustosunkowanego do władzy ludowej — kandynała Adama Stefana księcia Sapiehy. *„Żadna wielka akcja mająca na celu wzmocnienie gospodarki* — twierdzi Aleksander Bocheński — *nie mogła liczyć na poparcie episkopatu i licznej doborowej armii duchowieństwa. Straty w zakresie zdolności mobilizacji sił, jakie tu kraj poniósł, obciążają Kościół co najmniej w tym samym stopniu, w jakim polityków obciążają ich błędy"*.

Opinię tę sformułował autor „Rzeczy o psychice narodu polskiego" w końcu lat 60. Należy tu jeszcze dodać wniosek oczywisty, że na stanowisko Kościoła wpływała też sekciarska polityka władzy. Myślę, że obie instytucje winny na przyszłość kształtować wzajemne stosunki i działania w sposób optymalnie służący interesom narodu i państwa. Czego nam — mając taki charakter, jak opisano wyżej — potrzeba w przyszłości? Moim zdaniem głównie dwóch rzeczy: po pierwsze — wielkiej idei społeczno-moralnej i po drugie — ustroju łączącego silne państwo z kompetentnymi samorządami społecznymi. Dziś, po prawie 60 latach, należy powtórzyć za Stefanem Żeromskim, iż *„Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei!"* — takiej, którą można by *„oddychać jak powietrzem"*. Polacy bowiem nie potrafią energicznie działać bez atrakcyjnych i porywających celów. Ale z drugiej strony nasze najbliższe zamiary nie powinny przewyższać realnych sił i możliwości. W obecnej sytuacji najlepszą ideą może być jasny i konkretny program budowy socjalizmu o barwach polskich.

W związku z powstaniem Polski Ludowej Witold Gombrowicz zanotował w „Dzienniku" z 1957 r. niezwykle złośliwą opinię: *„Mnie tak śmieszy ta nowa Polska, bo, Bogiem a prawdą, najbardziej przylgnęła do nas epoka saska i ona to największe ślady zostawiła na nas. Naród jest ciemny, endecki, zadzierżysty, chamski, leniwy, czupurny i niedowarzony, «zytkowaty» i «milusiński», a na tym wszystkim zaszczepiono kremliński komunizm. Dopiero im się musi teraz ze łbów zadurzonych kurzyć!"*

Czy ustrój socjalistyczny nie odpowiada polskiemu charakterowi narodowemu? Trzeba przyznać, że typowy dla tego systemu duch kolektywizmu sprzeczny jest z naszymi skłonnościami indywidualistyczno-anarchicznymi. A plebejskość socjalizmu kłóci się z wielkopańskimi manierami Polaków. Za to jednak głęboko socjalistyczny charakter ma nasze odwieczne pragnienie partycypacji i samorządności. Dlatego musimy koniecznie tworzyć Rzeczypospolitą s a m o r z ą d n ą, będącą faktycznie rzeczą l u d u: robotników, inteligencji, chłopów, drobnych rzemieślników i kupców. Aby zaś Polska samorządna nie stała się znowu n i e r z ą d n ą, trzeba s i l n e g o p a ń s t w a. Ale jak pogodzić silny rząd z kompetentnym samorządem? Na pewno nie jest to sprawa łatwa, lecz w naszym kraju konieczna — nawet gdyby była niemożliwa! W Polsce nie mają szans rządy despotyczne, a nie wolno też więcej dopuścić do anarchii. Jedynie powszechna samorządność stworzy poczucie wolności i odpowiedzialności oraz zlikwiduje podział narodu na „my" i „oni". Instytucje samorządowe pozwolą realizować mądre hasło Stanisława Wyspiańskiego: *„Musimy coś zrobić, co by od nas zależało. Zważywszy, że dzieje się tak dużo, co nie zależy od nikogo"*.

Autentyczna samorządność ograniczy nadmierne roszczenia władzy centralnej i przeszkodzi narzucaniu społeczeństwu zbyt wielkich ciężarów w imię urojonego szczęścia przyszłych pokoleń. Każda generacja ma prawo żyć dla siebie i własnych dzieci. Nie rząd czy dyrekcja — niczym właściciel folwarku — winien poganiać do pracy, lecz samo życie i rozumny układ motywacji. W systemie łączącym silne państwo z samorządnością obywateli, dążącym do realnych celów i służącym ludziom teraźniejszym stopniowo kształtować się będą nowe postawy. Aż w końcu kiedyś dusza anielska — miejmy nadzieję — przezwyciężywszy czerep rubaszny.

EDMUND LEWANDOWSKI ■

„... W koło postaci Twojej nimb się przędzie,
iż będziesz kiedyś jako sen daleki
i sercem ludu zawładniesz na wieki
w największej chwale Rycerza:
w Legendzie!..."

Tym fragmentem „Dumy o Józefie Piłsudskim" Gabriela Tadeusza de Manstein Hennera, zamieszczonej w 1935 roku w „Kurierze Literacko-Naukowym" rozpocząć chciałbym ostatni artykuł z cyklu „Myśl polityczna Józefa Piłsudskiego".

Będzie to próba odpowiedzi na pytanie o wiarygodność legendy zmarłego 47 lat temu Marszałka, zastanowienie się nad przyczynami faktu, że kult Józefa Piłsudskiego mimo znacznego przecież upływu czasu znajduje odbiorców w stosunkowo szerokich kręgach społecznych.

Czym jest legenda? Jej definicję chciałbym powtórzyć za Stefanią Land, która w 1935 roku pisała: *„...Przez legendę rozumiem przekształcenie osobistości historycznej, jej życia i czynów, pod kątem przystosowania jej do koncepcji, która sobie współcześni na tle nastroju epoki o niej wytwarzają..."*.

Podejmujący ostatnio temat legendy Józefa Piłsudskiego stwierdzają, że mamy do czynienia ze zjawiskiem natury nie tylko politycznej — ale i psychologicznej. Przypominają, że Piłsudski miał przeciw sobie potężne siły polityczne na lewicy i na prawicy, wskazują na obecne próby wykorzystania tej legendy dla określonych celów politycznych, a także na element niewiedzy w przypadku młodego pokolenia. Stanowisko to nie pozbawione słuszności, nie wyczerpuje jednak całości zagadnienia. Rodzi się bowiem kolejne pytanie, dlaczego posługiwano się legendą Piłsudskiego i oddziaływanie tej legendy nasilało się w pewnych okresach czasu?

Legendę Marszałka konstruowano jeszcze za jego życia, a zintensyfikowano te prace kiedy go zabrakło, ale przecież podstawowe tworzywo tej konstrukcji to dzieło samego Piłsudskiego, to fragmenty jego politycznego życiorysu.

Pisał w „Kwartalniku Historycznym" w 1935 roku Stanisław Zakrzewski, iż *„...Prawda o Piłsudskim jest tak prosta i wielka, że nie potrzebuje upiększeń i nie potrzebuje legendy, choć sama wielkość wydarzeń i osoby wytwarzała legendę..."*.

Z takim stanowiskiem można oczywiście polemizować, zgodzić się natomiast trzeba, że legendę osobistości historycznej, tworzą nie tylko współcześni jej i potomni, lecz i ona sama swymi czynami i swą postawą.

Życie Józefa Piłsudskiego to dwa niezbyt spójne okresy. Okres pierwszy — walki o Polskę Niepodległą dał początek i podstawowe treści legendzie. Piłsudski z tamtego okresu, to człowiek od wczesnej młodości oddany bez reszty sprawie niepodległości, to człowiek gotowy do największych poświęceń dla ojczyzny, to człowiek, który po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci wyprowadził regularne wojsko polskie na bitewne szlaki wielkiej wojny.

„...Nie chciałem pozwolić — uzasadniał swą decyzję — *aby w czasie, gdy na żywem ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tem brakło. Nie chciałem dopuścić, by na szalach, na które miecze rzucano, zabrakło polskiej szabli..."*.

Swą niepodległościową działalnością zdobył sobie Józef Piłsudski uznanie i poparcie wśród wielu wybitnych współczesnych Polaków. Pisał Stanisław Witkiewicz, że *„...Legiony są istotą polskiego życia i jakikolwiek będzie skutek ich czynu dalszy, ostateczny, samo życie takie, jak ich, jest najdoskonalszym życiem polskim..."*.

A wiele lat wcześniej w 1905 roku Stanisław Wyspiański — poprzez Stefana Żeromskiego przekazał Piłsudskiemu Hymn Veni Creator — modlitwę o czyn zbrojny dla uwolnienia ojczyzny.

Popierała niepodległościową działalność Piłsudskiego lewica polska. Pisał Bolesław Drobner, że *„...U Polaków odżyła chęć zemsty za powstanie kościuszkowskie, za rok 1830, za 1863 — u nas socjalistów polskich za rok 1886, za powieszenie na Stokach Cytadeli warszawskiej Stanisława Kunickiego, Bardowskiego, Pietrusińskiego i Ossowskiego za śmierć w twierdzy Szlisselburga Ludwika Waryńskiego, za przegrany ruch rewolucyjny w 1905 roku.*

W Polsce modlono się o wybuch wojny i oczekiwano na korzystny wynik rewolucji w głębi Rosji carskiej i wyzwolenie się spod zaborcy, a potem na powstanie wolnej, niepodległej Polski...".

Przeszedł Józef Piłsudski do historii jako człowiek, który wszystko dla sprawy niepodległości ojczyzny poświęcił. Jest to jego wartość nieprzemijająca i jest to podstawowa przesłanka trwałości legendy.

Czas, w którym wzrastał Piłsudski, tak jak i poprzednie dziesięciolecia, obfitował w romantyczne i tragiczne zarazem porywy. Klęska narodowych powstań wyzwoliła bardziej trzeźwe myślenie, chłodna kalkulację każdej działalności, ale spowodowała tym samym odejście od sprawy niepodległości.

Józef Piłsudski był człowiekiem, w którego osobie połączyły się romantyczne porywy z precyzyjnie przemyślanym działaniem. Niepoprawny romantyk, starał się osiągnąć swoje, pozornie nieosiągalne cele na drodze polityki faktów dokonanych, na drodze polityki walki czynnej i tym wyróżniał się spośród wielu innych działaczy i przywódców.

Nie wszyscy jednakowo oceniają wkład Piłsudskiego w dzieło odzyskania niepodległości. Zdaniem Andrzeja Micewskiego *„...Tworzywem legendy i roli Piłsudskiego była sytuacja, która sprzyjała przyjściu określonego człowieka... Nie odegrałby jednak Marszałek żadnej roli, gdyby zbieg okoliczności historycznych przy końcu pierwszej wojny światowej był inny..."*.

Na dokonania jednostek, które zapisały się w narodowych dziejach zawsze składają się — ich osobowość oraz splot okoliczności historycznych. W przypadku Józefa Piłsudskiego — możliwość odzyskania niepodległości Polski stworzyła rewolucja socjalistyczna w Rosji — natomiast czyn zbrojny stworzonych przez Piłsudskiego Legionów, oraz jego działalność polityczna, stanowiły jeden z podstawowych czynników, które tę możliwość przekształciły w rzeczywistość.

Drugi okres życia Józefa Piłsudskiego to lata dyktatury. Tu jego wyobrażenie o tym, co Polsce najpotrzebniejsze rozeszło się z interesami i dążeniami społeczeństwa. Czyny Piłsudskiego przestały być tworzywem legendy i coraz częściej zaczynały osłabiać jej siłę oddziaływania na społeczeństwo.

Fakt, że Józef Piłsudski w 1926 roku nie chciał stanąć na czele państwa sprawując rządy w sposób nieoficjalny, w jakimś sensie ukryty, może prowadzić do wniosku, że chciał przez to także ocalić swą legendę. Błędne decyzje, trudne sytuacje obciążały wtedy kogoś innego, dając Piłsudskiemu szansę wystąpienia w roli przywołującego do porządku. Praktyka życia politycznego okazała się jednak bezlitosna.

Koncepcja rządów pozaparlamentarnych, której hołdował Piłsudski wciągnęła go w ostrą walkę z Sejmem, ujawniła autokratyczne, dyktatorskie cechy, obalała mit człowieka będącego uosobieniem skromności i sprawiedliwości, coraz poważniej zagrażała legendzie.

Na odsiecz ruszyli wtedy bliscy mu duchowo współcześni politycy, publicyści, literaci. Oczyszczono starannie ten okres z rzeczy dla legendy szkodliwych, podkreślano dobre cechy osobowości Marszałka, a to, co z praktyk dyktatury nawarstwiło się w świadomości społecznej nie było w stanie obalić mitu. W miarę upływu czasu negatywne doświadczenia zacierały się w pamięci, a z jakże złożonej osobowości Józefa Piłsudskiego pozostawały cechy dobre, godne naśladowania.

W okresie Polski Ludowej — jak pisałem w pierwszym z cyklu artykułów — o Piłsudskim oficjalnie zapomniano. Co jakiś czas jednak problem Piłsudskiego wracał, a wracał najczęściej w okresach kolejnych kryzysów społecznych.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w roku 1956 o Piłsudskim nie mówiono — czas widać nie zatarł jeszcze w pamięci obrazu sanacyjnych rządów. W roku 1970 protestujący robotnicy także nie widzieli powodów kojarzenia postaci Piłsudskiego z własnym klasowym interesem. Natomiast w 1968 roku bunt środowisk inteligenckich, oraz w 1981 roku w okresie szerokiego protestu społecznego pojawiły się żądania rehabilitacji Marszałka, czy wręcz wprowadzenia go do panteonu bohaterów narodowych. Czyniły to ze szczególnym zaangażowaniem ośrodki opozycji politycznej, starając się wykorzystać słabość władzy, w walce o wpływy w sferze świadomości społecznej. A władza robiła wiele, by tę walkę przegrać.

Od początków Polski Ludowej kolejnym przywódcom najpierw przydawano cześć niemal boską a później dokumentnie ich poniżano i ośmieszano w oczach społeczeństwa, bo to był najłatwiejszy sposób wytłumaczenia się przed tym społeczeństwem z kolejnego kryzysu.

Przy nie najlepszych więc wspomnieniach o przywódcach z dnia wczorajszego, odległy już w czasie Józef Piłsudski dawał się łatwiej przedstawić jako mąż opatrznościowy Rzeczypospolitej Polskiej. A może też, szczególnie dzisiaj, na tle wielu tak niedawno temu ciągnących, dla siebie określone korzyści z tytułu posiadanej władzy, jawi się Piłsudski jako ten, który — jak to stwierdził w rozkazie do wojska *„...nie chciał i nie umiał korzyści własnej dochodzić..."*.

Pisał o Józefie Piłsudskim w 1935 roku Bruno Schulz, że *„...siła moralna, która trwała za czynem była dlań ważniejsza... lokował ją w sobie jako najpewniejszym miejscu. Budował posąg..."*.

Wczytując się uważnie w polityczny życiorys Józefa Piłsudskiego, można wyciągnąć dla siebie trzy ważne nauki.

Pierwsza z nich to przykład oddania się bez reszty sprawie niepodległości ojczyzny. W warunkach ideowego zamętu, w warunkach postępującego procesu zamykania się w kręgu własnych interesów, działania wychowawcze jakie przyjść muszą, winny wśród przykładów kształtujących świadomość historyczną młodego pokolenia, obok takich nazwisk jak Kościuszko, Traugutt, Waryński czy Świerczewski, znaleźć także miejsce dla Józefa Piłsudskiego — bojownika o niepodległość.

Druga nauka — to żelazna konsekwencja w dochodzeniu do celu. W sytuacjach często beznadziejnych, w najbardziej niesprzyjających okolicznościach Piłsudski nie rezygnował z walki, chociaż bywał czasem bliski załamania. Takiej żelaznej woli przetrwania i siły do pracy wbrew wszelkim przeciwnościom, szczególnie dzisiaj potrzeba.

Trzecia nauka — to groźne memento, co może z człowieka uczynić posiadanie władzy niekontrolowanej.

Ta trzecia kwestia rzuca na osobę Józefa Piłsudskiego głęboki cień. Władza nie każdego zdeprawuje. Mogła jednak wyzwolić negatywne cechy u człowieka takiego, jakim był Piłsudski — autokraty, zapatrzonego w swą paternalistyczną wizję państwa.

I ostatnie, najtrudniejsze pytanie. O miejsce Józefa Piłsudskiego w naszej narodowej tradycji. Kim był — bohaterem narodowym, czy wrogiem ludu? A może jest to przypadek, w którym jednoznacznej odpowiedzi sformułować się nie da? A może też — co wydaje mi się bardzo uzasadnione — zbyt mało jeszcze upłynęło czasu, aby ustalić miejsce w naszych narodowych dziejach, tego niewątpliwie wybitnego człowieka?

Jedno jest pewne. Gdy ktoś do Krypty Srebrnych Dzwonów wszedłszy, w skupieniu przy trumnie Marszałka stanie, nie musi to wcale oznaczać politycznej demonstracji. Może to tylko człowiek, który w zadumie nad dziejami, stara się z tej niezwykłej, jakże złożonej postaci wyodrębnić cechy najlepsze, aby służyły przyszłości.

ZENON JANUSZ MICHALSKI ■

MYŚL POLITYCZNA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO 4

Rozważania wokół legendy

Kronika kulturalna

Przed kilkoma dniami zakończyły się 22 Kaliskie Spotkania Teatralne. Jury pod przewodnictwem Jana Pawła Gawlika przyznało Grand Prix Teatrowi im. W. Bogusławskiego w Kaliszu za wartości inscenizacyjne oraz poszukiwanie nowej interpretacji „Wesela" St. Wyspiańskiego w reżyserii Romany Próchnickiej.

W Kaliszu Łódź reprezentował Teatr Nowy ze spektaklem „Miarka za miarkę" W. Szekspira w reżyserii Wandy Laskowskiej. Występujące w tym przedstawieniu **Mirosława Marcheluk i Barbara Kszysztofek** otrzymały na 22 Kaliskich Spotkaniach Teatralnych nagrody indywidualne.

Teatr 77 przygotował nową premierę. Tym razem jest to utwór Witolda Gombrowicza **„Iwona księżniczka Burgunda"**, realizowany na łódzkiej scenie po raz pierwszy.

W spektaklu gościnnie występuje aktorka Teatru Nowego, **Danuta Rynkiewicz.** Rolę Księcia powierzono **Jerzemu Koleczko,** Królową będzie **Katarzyna Spolińska,** a Królem **Andrzej Podgórski.**

Spektakl reżyseruje **Piotr Krukowski,** scenografię przygotował **Krzysztof Rynkiewicz,** muzykę **Andrzej Zamolski,** światło — **Jerzy Marcinkowski,** a ruch sceniczny **Jerzy Moniek.**

Teatr Univerius został zaproszony do udziału w Bydgoskich Spotkaniach Teatralnych, które odbędą się na przełomie maja i czerwca. Przypomnijmy naszym Czytelnikom, że w kwietniu Teatr Univerius wziął udział w Toruńskim XVI Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Jednego Aktora. Uzyskał tam II nagrodę za „Ofelię polską", która jest oryginalną adaptacją dzieł Wyspiańskiego: miniatury scenicznej „Śmierć Ofelii" i fragmentów II aktu „Wyzwolenia". Adaptacji dokonał i spektakl reżyserował **Ryszard Bigosiński.** Za wykonanie tego monodramu nagrodę wojewody toruńskiego za najlepszy debiut Festiwalu otrzymała **Grażyna Długołęcka.**

Czekając na sukcesy Teatru Univerius w Bydgoszczy, oglądać będziemy mogli nagrodzony w Toruniu spektakl.

Na zakończenie informacja dla odwiedzających Warszawę. Po załatwieniu spraw służbowych, jeśli starczy czasu zachęcam do odwiedzenia „Zachęty". Otwarta jest tam w związku z obchodzoną w kwietniu 37 rocznicą podpisania Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między Polską a ZSRR interesująca wystawa malarstwa i rzeźby twórców radzieckich. Zaprezentowano na niej ponad 70 obrazów i rzeźb. Dzieła wybrane zostały z obszernej ekspozycji prezentowanej z okazji XXVI Zjazdu KPZR.

Wystawa stanowi przegląd stylów i nurtów w radzieckim malarstwie i rzeźbie na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Obok twórców znanych już i uznanych, prace prezentują także młodzi artyści.

Na wystawie można wyróżnić kilka odrębnych tematów: historyczny, reprezentowany przez Moisieja Wajnsztejna; pracy, wśród których wyróżnić można dzieła Dżemel Gwimradze i Sapera Torobiakowa.

Wielkim odrębnym działem jest ekspozycja pejzaży. Interesujące są także obrazy A. Tkaczewa, G. Woszczenki i R. Gabrielowa zawierające scenki rodzajowe.

Równie wielkim działem jak pejzaż są portrety. Tu wymienić można wiele wybitnych nazwisk artystów, których prace są prezentowane. Wśród nich: Zawłowa Umarbekowa, M. Ombysza i Tatiany Nazarenko.

Henryk Hartenberg

Słyszałem to kwilenie

Z ruin pamięci przywołuję obraz
Tak bardzo bolesny i tak urzekający
Jak plama rajskiego wina
Na świątecznym obrusie
Jak krzak płonący w środku
Nocy

Pochylony nad zwojami żółtego pergaminu
W których zastygły dzieje zdeptanego
Człowieka
Połykam słowa (razem z dziecięcymi łzami)
Ze Słonego Morza —
Słowa tajemne skrzydlate
Niezrozumiałe
I mamroczę — mamroczę w księżycową
Jasność
Wersety
Tchnące pokorą buntem
I kruchością prawdy
Przykazaniem ojców którzy żyją w nas
Zwielokrotnioną obecnością
Gasząc pragnienia u źródła
Gdzie tryska czarny płomień
Kształt imienia i gorzka krew —
Poprzez wszystkie czasy

A nade mną cień olbrzymiego palca
Zapełniający obszar falującej izby
Potęgą biblijnej grozy
I ten ogarek (jak biała łza zagubiona
Wśród kamiennych grobów)

I rodzi się lęk przeogromny
I wierzba za strugą światłości szaleje
Nieludzko
I zwój pergaminu kurczy się w konwulsji
I ze Słonego Morza łez wychodzą ryby
I srebrzystą łuską kładą się obok
Dziecięcej dłoni

Tylko na drewnie sękatego stołu
Dopala się ogarek — tak cicho tak cicho
Wywołując z gęstwiny mroku
Postać
Archanioła
I drżącą biel jagniątka

O tak —
Słyszałem to kwilenie
Jak Pieśń Nad Pieśniami

Kiedy z pogańską trwogą dotkniesz
Wilgotnej ziemi i zbawienny mrok
Zgarnie cię całego

Wtedy
Wyjdą ci naprzeciw i dęby i sosny
I buki i topole i jodły
I otworzą swoje rany zielone
Zadane im w czas kiedy gwiazdy spadające w przepaści
Nocy wdzierały się w żywe ciało
Ich trwania

Usłyszysz ból milczącego drewna
Usłyszysz jak w samym środku zielonego
Oceanu bije serce natury
Zrozumiesz cierpienie brzemiennej kory
Której rozdarto sieć gorących
Tkanek

Tutaj
Wyzwolony z szaleństwa pychy
(Którą nosimy w naszej krwi przeklętej)
Powracam w pokorę mędrców
W trwanie które rodzi
Niepokój sumienia

Pochylony nad ciszą zielonego wiatru
Rozmyślam o tych którzy w drodze
Do wielkości
Zagubili obrazy dzieciństwa
Zagubili siebie
Niosąc pustkę w oczach

Wiersz optymistyczny

Poprzez mgły wichury i pożary
Poprzez wygasłe księżyce potopy i wiatry pustynne
Poprzez zgliszcza i wszystkie klęski świata

Wybuchło źdźbło trawy

Maleńkie jak mgnienie świeże zielone
Wibrujące — podobne do człowieczej łzy
Która nigdy już nie spłynie

Przywalone stuwiecznym głazem gdzie cień odwieczny
Wybuchło —
Tak nagle o świcie obok mojego domu
Z ziemi stratowanej wyklętej i martwej

O tak słyszałem ten szelest stawania się
To drżenie zrodzone z mgły nocy
Z białego płomienia do którego w czas trwogi
Wyciągałem ręce

Wtedy światło wytrysło z ponurego nieba
I kolory zapłonęły w szczelinach głazu
I wody oceanu zapełniły przestrzeń
Milczącą

Panie Mój

A ja wciąż przebywałem w ruinach pamięci
Między gwiazdą zamilkłą wśród drutów
Kolczastych
I Rzeką Wiedzy — która szumieć przestała
Przecież tam — w tej próżni trzepocącej
Dochodziłem do granicy mitu z której opadł:
Zielone skrzydła mojego trwania

Spójrzcie —
Przed moim domem wybuchło źdźb
Trawy
Z ziemi wyklętej

Życie

Kolory gwiazd

Na zegarze czasu zobaczyłem kolory kwiatów
Zawieszonych nad miastem

Kolory pracy wyznaczające dzieje naszych dni
Kolory dojrzewające w locie śpiącego ptaka
Kolory w których pulsuje pamięć człowieka
Kolory wiatru z nadwiślańskiej ziemi

Gdy odmierzałem czas trwania ujrzałem
Kolory żywiołów rozsadzających tygiel naszych marzeń
Kolory płynące nad światem złudzeń
Kolory zrodzone z gestu pożegnania
Kolory w których pieśń gniewnego wieku

Przyczajony u schyłku dnia odkryłem

Kolory które weszły w szumiące południe
Kolory naszych pragnień ukrytych w czerwonej róży
Kolory żyjące we wspomnieniach smagłej nocy
Kolory gwiazd płynących na dnie Gopła

Ale najtrwalsze są kolory wierności zamknięte
W uścisku kochających rąk

Gdy z wierzchołków drzew schodzi wielka cisza
Obejmująca miasto pulsujące deszczem gwiazd
Wtedy pod powiekami matek dzieci i sióstr
Rozkwitają kolory najtkliwszej miłości

O różowym świcie zobaczyłem jak żar ptak
Przyniósł w swoim dziobie kolorowe
Czółenko
W którym złota nić życia

I trwania

Rozmyślania człowieka dotkniętego zieloną chorobą

Są drzewa z których wycieka zielona lawa
Krwi

Kiedy o świcie wejdziesz w głąb lasu
I pokłonisz się ciszy

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dokończenie ze strony 1

w tej mierze. Organizatorzy festiwalu, a zwłaszcza jego niestrudzony dyrektor, Nino Zucchelli, tropią nieznane jeszcze a ciekawe osobowości twórcze, wyszukują nowe miejsca na mapie światowego kina, czasem bezwiednie, czasem zupełnie świadomie ujawniają jakieś powszechne, nie do końca wyartykułowane niepokoje i dążenia społeczne. Twórczość autorska siłą rzeczy posiada bardziej autentyczny i spontaniczny charakter, jako że mniej podlega naciskom przemysłu filmowego i rynku, mniej narażona jest na różnego rodzaju kompromisy. Filmy określane mianem autorskich, skromne, niskobudżetowe, realizowane często w niezbyt sprzyjających warunkach, podejmują nierzadko tematy trudne, drażliwe, niechętnie akceptowane przez ogół. Dokumentują te niezupełnie jasne i chlubne strony życia zbiorowego. Niektóre, zwłaszcza pochodzące z krajów ustabilizowanych, o zdecydowanie mieszczańskim establishmencie, takich choćby jak RFN, Szwajcaria, Austria, kraje skandynawskie, zdradzają wyraźną skłonność do pewnej ostentacji, do mniej lub bardziej radykalnej prowokacji ideowo-myślowej.

Laureat festiwalowego Grand Prix, szwajcarski film „Merette", reżyserii Jean-Jacques Lagrange, godzi w hipokryzję, w okrucieństwo nietolerancji religijnej, która może być maską wszelkiej nietolerancji. Rzecz dzieje się w ubiegłym stuleciu. Merette, urocze dziecko, nie chce kochać „złego" Boga, który odebrał jej matkę i zabrał do siebie — do nieba — jak mówią ojciec i inni „dorośli". Dziewczynka buntuje się przeciwko takiemu Bogu. Natura, życie, miłość ludzka wydają się jej nie mniej piękne i ważne, niż chwała niebieska. „Czy mamie źle było tutaj z nami?" — powtarza z uporem, odrzucając argumenty dorosłych. Surowość luteranizmu, nienawiść życia w imię sztywnych, abstrakcyjnych idei, budzi w dziewczynce, zrośniętej z tajemniczym, porywającym światem natury, instynktowny i *głęboki sprzeciw. Oddana przez* zimnego ojca na wychowanie do domu fanatycznego pastora, toczy zaciekłą walkę o prawo do bycia sobą. Ale samotny bunt małej, bezbronnej istoty musi zakończyć się klęską. Zadręczona fizycznie i psychicznie przez pastora, Merette umiera. Porządek zostaje przywrócony. Lagrange pokazuje, iż nawet współczucie i sympatia otoczenia nie mogą pomóc dziewczynce, tak silny bowiem jest lęk przed społecznym potępieniem, przed posądzeniem o „inność". To, co odbiega od utrwalonych i zaaprobowanych przekonań większości, jest zawsze podejrzane i zagraża powszechnemu spokojowi. Bezpieczniej tedy wyplenić zarzewie niepokoju, nawet ryzykując odrobinę spóźnionego żalu. Z drugiej strony, nieco melodramatyczna historia ślicznej, wrażliwej i pełnej radości Merette, jest także filmem o wierze, która przeobraża się we własne przeciwieństwo i z nauki miłości staje się nauką nienawiści. O religii traktowanej, jako narzędzie przemocy i podporządkowania. Posłuszeństwo Bogu wyklucza wolność jednostki. Człowiek jest istotą słabą i chwiejną. Natura, życie z całą swoją urodą, stanowi źródło pokus i zła. W imię zwycięstwa najwyższego ładu trzeba zatem ujarzmiać skażone grzechem życie. Korekta freudyzmu pozwala ów porządek bosko-społeczny utożsamiać z dominacją mężczyzn (ojciec, pastor, itp), zaś grzeszne królestwo natury upatrywać w wiecznej kobiecości (matka, Merette, żona pastora, itp). Tym sposobem bunt małej Merette nabiera już bardziej aktualnych odcieni. Z XIX przenosimy się w wiek XX, z dawnej Szwajcarii w dzisiejszą, gdzie pod gładką powierzchnią mieszczańskiego ładu pączkują jednostkowe i zbiorowe rewolty, m.in. młodzieżowe i feministyczne. Gwoli recenzenckiej ścisłości dodać należy, że „Merette" jest filmem niezwykle pięknie, wręcz malarsko, fotografowanym i świetnie zagranym przez wyjątkowej urody i wdzięku wykonawczynię roli tytułowej, Isabelle Sadoyan.

Dramatyczna opozycja: system dogmatycznych zasad — los jednostkowy powracał kilkakrotnie w filmach festiwalowych, m.in. w bardzo interesującym, wyróżnionym Nagrodą Specjalną jury dziele węgierskiego reżysera, Pala Gabora „Zmarnowane życie". Znów melodramat, czy raczej pozo-

Stylizacja i pamięć utraconego czasu

(Korespondencja własna z San Remo)

ry melodramatu. Lata 1953-56. Budapeszt. Dzieje niezbyt fortunnego romansu młodziutkiej robotnicy i rozwiedzionego inżyniera (Jan Nowicki), splecione mocno i tragicznie z historią kraju. Bohaterka „Zmarnowanego życia", wrażliwa, zdolna do miłości i poświęcenia, również ponosi klęskę. Umiera na serce, jakby umęczona powszechną nienawiścią i podejrzliwością, degradacją międzyludzkich związków, upadkiem wartości. Znakomita kreacja Juli Basti w roli dziewczyny. Kino węgierskie przeżywa w dalszym ciągu okres wielkiego rozkwitu, umiejętnie łącząc walory myślowe z artystycznymi, czerpiąc z różnych źródeł inspiracji, prezentując zadziwiające bogactwo formuł i propozycji.

Już od zarania lat 70-tych rozkrzewiła się w kinie tak zwana fala retro. Od początku, u jej źródeł, leżała nostalgia przeszłości, lecz charakter owej nostalgii różne przybierał oblicza. Była nostalgia bujnej lub niespełnionej młodości pokolenia, do którego przynależeli realizatorzy, nostalgia starej wygnano duszę. Pozbawiony historii, pamięci przeszłości, ginie jak drzewo odcięte od korzeni. Dramat współczesnego człowieka tkwi w jego wyobcowaniu z przeszłości, zerwaniu organicznych więzi z naturą, gniazdem rodzinnym, tradycją, z cieniami dalekich przodków. Podobne myśli, choć w zupełnie innym kontekście, odnajdziemy w nowym polskim filmie Tadeusza Konwickiego „Dolina Issy". Móc wrócić choćby pamięcią, choćby siłą wyobraźni — znaczy żyć jeszcze.

Wstrząsane wojnami, przewrotami, masowymi wędrówkami ludności i gwałtownym przyśpieszeniem cywilizacyjnym nasze stulecie w szczególny sposób sprzyja wykorzenieniu, a co za tym idzie — coraz częściej budzącej się tęsknocie za utraconym rajem przeszłości: krainą szczęśliwego dzieciństwa, rodzinną prowincją, starym domem, którego mury zatrzymały miniony czas, tęsknocie za światem ładu moralnego i zagubionych wartości, światem, którego już nie ma i który — być może — nigdy nie istniał. Ale siłą wiary i nadziei trwa w złotej legendzie dawnych lat.

W dwóch filmach festiwalowych powracał temat, który ostatnimi czasy wydaje się nękać świadomość mieszkańców niemieckiego obszaru Europy, temat żydowski mianowicie. I nie chodzi tu, jak sądzę, o rachunek sumienia tylko. Zagłada sześciu milionów Żydów oznacza także kres pewnej epoki, pewnej kultury stanowiącej integralną ongiś cząstkę pejzażu środkowej i wschodniej Europy. Malowniczość i metafizyka żydowskiego folkloru, niepojęta siła tradycji i ciągły ferment intelektualny, fanatyzm ortodoksji i duch — rewolucjonista czyniły z owej kultury zjawisko jedyne w swoim rodzaju. Była zaczynem wyobraźni i myśli. Niemcy i Austria zawdzięczają jej bardzo wiele. Bez niej nie byłoby Kafki i Kubina, świetności ekspresjonizmu, dorobku szkoły frankfurckiej, itd., tak jak nie byłoby także twórczości Marca Chagalla lub Bruno Schulza. Dziś, Niemcy i Austria stanowią oazę mieszczańskiego dobrobytu i ziemię jałową kultury. Niemcy utraciły sławę ojczyzny filozofów i artystów. Nawet ci spośród wielkich, którzy uciekli w porę przed hitleryzmem i ocaleli, nie powrócili po wojnie do rodzinnej ziemi. Nieliczni wybitni filmowcy, na przykład, i teraz chętnie emigrują, choćby do Stanów lub tworzą za granicą. Bogactwo materialne niekoniecznie stwarza klimat sprzyjający muzom.

Carlos Fuentes, w znakomitym eseju „Cervantes czyli krytyka sztuki czytania" pisze, iż upadek kultury hiszpańskiej wiąże się ściśle z momentem ostatecznego wygnania Żydów. Nie jest rzeczą wykluczoną, iż zjawisko „żydowskiej fali" w niemieckim filmie ma swoje głębokie i podświadome przyczyny w trapiącej inteligencję niemiecką obawie o przyszłość rodzimej kultury. Sięganie w przeszłość miałoby w pewnym sensie charakter rozrachunkowy, z drugiej zaś strony służyłoby przywołaniu zaginionego bezpowrotnie świata tamtych ludzi, obyczajów, wartości. Coś w rodzaju seansu spirytystycznego zaklinającego duchy innej epoki, by zechciały zamieszkać w nowo wzniesionym domu. Do pokazanych w San Remo dwóch filmów z tej serii: austriackiego „Bockerera" w reżyserii Franza Antela oraz „Młyna Lewina" Horsta Seemanna (NRD) mogłabym jeszcze dorzucić wyświetlanego w Łodzi „Dawida z gwiazdą" Petera Lilienthala (RFN) — piękną opowieść o losach żydowskiego chłopca w latach 1933-43. Rzecz znamienna, iż wszystkie trzy filmy (akcja „Młynu Lewina" nota bene dzieje się w XIX wieku) zaczynają się wizją świata harmonijnego, trwającego mocą pewnych tradycji, wspartego siłą niewzruszonych, wydałoby się, zasad, I nagle, pod działaniem złowrogiej, destruktywnej potęgi (tylko w „Młynie Lewina" antagonistą starego, żydowskiego młynarza jest konkretna postać — niemiecki konkurent Johann), ta niegdysiejsza harmonia rozpada się, a wraz z nią wszystko wokół wali się w gruzy: domy, miasta, związki rodzinne, sposób życia. Poczciwy rzeźnik wiedeński, Bockerer, wiedzie żywot spokojny i szczęśliwy, wypełniony pracą i partyjkami kart w gronie przyjaciół. Anschluss, hitlerowskie kohorty na ulicach Wiednia przerywają brutalnie tę idyllę. Nazistowskie szaleństwo ogarnia jego żonę i syna, a żydowscy przyjaciele zstępują w kolejne kręgi piekła. W filmie Seemanna stary Lewin będzie musiał opuścić rodzinną wioskę, bezradny wobec prześladowań i przemocy. Ale jego odejście nie przyniesie szczęścia niemieckiemu prześladowcy. Rozproszy się tradycyjna wiejska wspólnota. W „Dawidzie z gwiazdą" ginie rodzina chłopca, jego przyjaciele, ginie cała społeczność żydowska, ale jednocześnie obserwujemy rozpad Niemiec. Pożarowi podpalonej przez hitlerowców synagogi w pierwszej części filmu odpowiada apokaliptyczny nalot na Berlin w części drugiej. Nad oszalałym z przerażenia miastem wznosi się ognisty krzak łun. Podobny sposób widzenia holocaustu pojawia się w wielu dziełach wspomnianej serii. Zagłada Żydów okazuje się być aktem samozagłady Niemiec. A kino — magiczna pamięć utraconego czasu — próbuje wskrzesić choć na chwilę tamten świat sprzed upadku i katastrofy, odnaleźć jego duchowe dziedzictwo.

MARIA KORNATOWSKA

rego dobrego kina z jego urokami i konwencjami (np. twórczość Bohdanovicha). Przeszłość jawiła się także jako zapowiedź teraźniejszości. Szukano w niej zwiastunów i przyczyn późniejszych klęsk (tzw. filmy rozrachunkowe). W większości przypadków owa fala retro dawała znakomitą sposobność rekonstrukcji świata jeszcze żywego, jeszcze obecnego w pamięci wielu świadków, ale już zamkniętego, już ostatecznie dopowiedzianego, przynajmniej w swym zewnętrznym kształcie. Sięgano więc w lata 40-te, 50-te, 60-te, a nawet 30-te, wskrzeszając klimat minionego czasu: stroje, wygląd ulic, ludzi, samochodów, sposób zachowania, obyczaje itd. Zapanowała moda rozmaitych stylizacji.

Z filmów prezentowanych tego roku w San Remo owa nostalgia przeszłości emanowała ze szczególną siłą. Myślę tu nie tylko o utworach, opowiadających o tym, co było kiedyś, ale i o tych, których akcja toczy się teraz, już w latach 80-tych. „Umrzeć trochę", najpiękniejszy i artystycznie najbogatszy film festiwalu, austriackiego reżysera, Mansura Madavi, mówi o starym człowieku, który nie chce opuścić domu, w którym mieszkał przez 60 lat, domu przeznaczonego do zburzenia. Żyje w nim bowiem pamięć jego przeszłości, pulsuje czas wspomnień, po pokojach snują się cienie istot drogich i bliskich. Staruszek uparcie odrzuca ponętne propozycje przeniesienia się do nowoczesnych, lepiej wyposażonych budynków, nie tylko dlatego, że odejście z tego rozsypującego się domu oznacza dlań właściwie pewien rodzaj śmierci, ale i dlatego, że konstrukcje z betonu i szkła są w istocie martwe, pozbawione duszy. Człowiek — wydaje się mówić Madavi — nie może istnieć w rzeczywistości, z któ-

„Zmarnowane życie" reż. Pál Gábor

Komu potrzebna plastyka?

Rozmawiamy z Benonem Liberskim

— Jest chyba całkiem oczywiste, że uchylenie obowiązującego przez ostatnie miesiące zawieszenia działalności Związku Polskich Artystów Plastyków otwiera znów przed środowiskiem plastycznym jak najszersze statutowe możliwości dochodzenia swoich praw i przywilejów, dotyczących zarówno warunków pracy twórczej, jak i — co się z tym łączy — ochrony bytu materialnego. Jakie, pana zdaniem, najważniejsze bądź najpilniejsze sprawy domagają się teraz regulacji?

— Niezbędne wydaje mi się przede wszystkim przeprowadzenie rzeczowej i skrupulatnej analizy przygotowywanych lub wydanych ostatnio zarządzeń, podwyższających koszty utrzymania pracowni. W tych dniach zastałem w domu wezwanie do ROM, gdzie wyznaczono mi za ogrzewanie opłatę blisko sześćdziesięciokrotnie wyższą niż dotychczas, zamiast bowiem 205 zł mam płacić 3105 zł miesięcznie. A ponieważ nowe zarządzenie działa wstecz, jestem do razu winien administracji ok. 11 tysięcy zł. W ten sposób każdy z nas plastyków jest już mniej lub więcej zadłużony.

— Nie jesteście wyjątkiem. Wszyscy przecież, bez względu na wykonywany zawód, musimy ponosić koszty wychodzenia z kryzysu. Czy uważa pan, że plastycy znaleźli się pod tym względem w gorszej sytuacji niż inne środowiska zawodowe?

— Proszę posłuchać. Pozornie jest to sprawa czysto ekonomiczna, podyktowana koniecznością obciążenia wszystkich obywateli, każdej grupy zawodowej. Ale jeśli kultura, jak oświadczają władze, ma w tej sytuacji być zdecydowanie chroniona, to jej twórcy muszą być osłaniani przed szczególnie trudnymi uciążliwościami obecnej sytuacji bytowej. A przyzna pan, że te nowe posunięcia wobec plastyków, to nie znaczy specjalnie przeciwko nam skierowane, ale właśnie w nich wyjątkowo silnie godzące, mogą w tym środowisku podważyć wiarygodność rządowych deklaracji i intencji. O biurokrytycznym sposobie myślenia niektórych resortów świadczy następujący przykład. Niedawno temu wystosowałem odwołanie przeciwko projektowi podwyżki opłat za pracownię i otrzymałem od dyrektora departamentu Ministerstwa Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska odpowiedź, która posługuje się argumentacją, że ponieważ sytuacja materialna plastyków jest obecnie zła, to podwyżka czy obniżka czynszu nie będzie miała dla nich istotnego znaczenia, zwłaszcza że tenze resort, jak podaje się dalej w tym piśmie, zwrócił się do Ministerstwa Kultury i Sztuki o bezzwrotne zapomogi dla najgorzej sytuowanych plastyków. Co pan o tym sądzi?

— To zależy trochę od tego, ilu będzie tych plastyków, którzy będą musieli zwrócić się o zapomogę...

— Ręczę, że nie mniej niż 80 procent nie będzie w stanie ponosić zwiększonych kosztów utrzymania pracowni.

— Co w takim razie poczną? Jakie mają wyjście?

— W tym stanie rzeczy nie znajdą żadnego wyjścia i są przerażeni. A jeszcze przecież ma do tego dojść podwyżka czynszów za lokal pracowni, za który płacimy, przyznaję to, stosunkowo niewiele, bo ja np. 260 zł. Ale podwyższony opał i czynsz, to już o wiele za dużo. Bo widzi pan, całe nieszczęście polega na tym, że wszystkie pracownie — od rzemieślniczych po plastyczne — zaliczone zostały hurtem do tej samej kategorii — lokali użytkowych, mimo iż pomiędzy plastykami i innymi użytkownikami występują ogromne różnice w dochodach.

— Innymi słowy nie przeprowadzono rozróżnienia pomiędzy twórczością a wytwórczością...

— No tak. A wyłączenie z tej kategorii pracowni plastycznych, które stanowią jakieś tam promile ogółu tych lokali, nie naraziłoby skarbu państwa na poważniejszy uszczerbek. Mamy tu więc do czynienia z bezpodstawnym przeceenieniem sytuacji materialnej przeciętnego plastyka z jednoczesnym niedocenieniem społecznej roli działalności twórczej. Powtarzam: sprawa jest dodatkowo niepokojąca, ponieważ może podważyć zaufanie społeczności twórczej do intencji władz wobec kultury, a tym samym wywoływać niezamierzone skutki polityczne.

— Zwłaszcza, że zależy nam w obecnej chwili, a powinno zależeć zawsze, na aktywności środowisk twórczych...

— Jest to dlatego tak ważne, że przecież bez tej twórczej aktywności niemożliwe jest prawidłowe kształtowanie estetycznej i moralnej wrażliwości społeczeństwa, jego swiadomości socjalistycznej. A tak się przy tym złożyło, że w najgorszej sytuacji wśród twórców znaleźli się właśnie plastycy. Socjalistyczna władza, zapewnia— i słusznie! — nie tylko bezpłatne wykształcenie wszystkim artystom, to jednak z bezpłatnego warsztatu pracy korzystają wszyscy z wyjątkiem plastyków. Tak, bo ani aktor, ani muzyk czy literat lub filmowiec nie ponoszą kosztów wydania dzieła czy wystawienia widowiska lub innego zaprodukowania się artystycznego, a służą im za darmo w ich pracach przygotowawczych odpowiednie placówki i instytucje artystyczne, dla plastyka warsztatem jego pracy, opłacanym z jego kieszeni jest jego pracownia, którą musi mieć. Czy wyobraża pan sobie moje istnienie jako malarza bez tej pracowni, w której rozmawiamy? To nie tylko miejsce, gdzie powstają moje obrazy i moje żony, ale i magazyn dorobku całego naszego życia. Załóżmy, że nie będzie mnie stać na czynsz, to co wtedy z moimi obrazami — czy mam je wyrzucić?

— Ale gdyby się obrazy dobrze sprzedawało, stać by było plastyków na wysoki czynsz...

— Kto teraz kupuje sobie obrazy współczesnych malarzy? Nieraz charakter twórczości i nawet sama wielkość obrazów sprawiają, że najwłaściwszym odbiorcą nie może być osoba prywatna. Tymczasem państwowy mecenas też przestał dokonywać zakupów, ponieważ ma od pewnego czasu bardzo ograniczone środki. Praktycznie żadna instytucja obrazów czy innych dzieł plastycznych już nie kupuje, zmalały też raptownie i bardzo znacznie inne zamówienia na twórczość plastyczną — na propagandę i reklamę, na wystrój wnętrz i nic nie zapowiada szybkiej odmiany sytuacji.

— Pozwolę sobie zadać panu tzw. brutalne pytanie. Czy obecna sytuacja plastyków w Polsce nie wypływa w jakiejś mierze z faktu, że w tej niedalekiej przeszłości albo zamówienia instytucji i władz były nadmierne, stanowiły wyraz filantropijnej rozrzutności, niegospodarności, albo mamy od dawna utajoną nadprodukcję plastyków, czyli że jest to środowisko zbyt liczne w stosunku do „rozsądnych" potrzeb. Mówię o tym, bo i takie wątpliwości choć może inaczej formułowane, daje się nieraz słyszeć i istnieją one w szerszym odczuciu społecznym, zwłaszcza w okresach zaciskania pasa.

— Odpowiem. Więc najpierw: czy mecenat państwa był nadmiernie rozdęty? On był przede wszystkim niedoskonały i zawsze za mały, nie tylko dlatego, że większość z nas za mało zarabiała. Mecenat nie zapewniał dziełu sztuki plastycznej miejsca tam, gdzie ono przede wszystkim powinno funkcjonować — w szkole, w instytucjach publicznych (nie tylko w gabinecie dyrektora), w domach wypoczynkowych, a choćby i w szpitalu. Teraz z kolei: czy jest nadprodukcja plastyków? Żeby dorobić się powiedzmy pięciu wielkich artystów, trzeba wykształcić przynajmniej pięćdziesięciu, a poza tym w czasie studiów trudno jest mieć pewność, czy przyszły artysta ma już „w samym sobie" coś do powiedzenia innym i czy potrafi zdobyć się w przyszłości na wytrwałą pracę nad sobą. Gdybyśmy tylu plastyków i w ogóle artystów nie „produkowali", to ile marnowałoby się nie odkrytych talentów, ilu ginęło by nie zauważonych „Janków muzykantów"!

— Sprowokowałem pana do odpowiedzi, którą powinni wziąć pod uwagę wszyscy o roli państwowego mecenatu w kulturze socjalistycznego państwa. Wielu przeciwstawnym sobie kręgom takie pojmowanie tych spraw jest najzupełniej obce.

— Kontynuuję jednak: czy w Łodzi wykształciliśmy np. nadmiar projektantów przemysłowych?

— Ktoś zaraz odpowie, że tak, bo trudno dla nich o pracę.

— A ja odpowiem, że widocznie wykształciliśmy za mało, o czym wnioskuję z wyglądu produkowanych — jeszcze przed kryzysem — przedmiotów. Konfekcja, tkaniny, obuwie, cokolwiek weźmiemy, było dalekie od wymagań estetyki. Zbyt mało ludzi odpowiedzialnych za przemysł lekki zdaje sobie sprawę, że na wygląd przedmiotu składa się jakość surowca plus projekt plastyczny. A im surowiec gorszy, tym rola projektu większa, ważniejsza.

— A jak z projektantami teraz, w kryzysie?

— Zakłady zaczynają ich masowo zwalniać, zamiast na nich chuchać i dmuchać. Bo krótkowzroczna polityka w tej dziedzinie wychodzi z pozornie tylko słusznego założenia, że jakikolwiek bubel czy gniot ludzie zawsze kupią skoro brak towaru. A ja widzę coraz częściej produkowane materiały i przedmioty, których ludzie nie kupują po prostu z powodu ich brzydoty. Czyli marnujemy nieraz surowiec i marnujemy pracę ludzką.

— Jeśli tak jest rzeczywiście, to ponosimy straty nie tylko materialne, bo jeszcze uszczuplamy tak skromną szansę oddziaływania estetycznego.

— Istniejące hasło: „Nie zmarnować ani krzty surowca!" powinno pokrywać się z wyzyskaniem wszystkich szans estetycznego wychowania społeczeństwa przez przedmiot codziennego użytku. A czas stracony jest zawsze nie do odrobienia.

— Zaczęliśmy od czynszu za lokale, a wylądowaliśmy w rozmowie w sferach świadomości i ideologii. Ale najwidoczniej tak się rzeczy mają, nie tylko w sprawach plastyki. Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

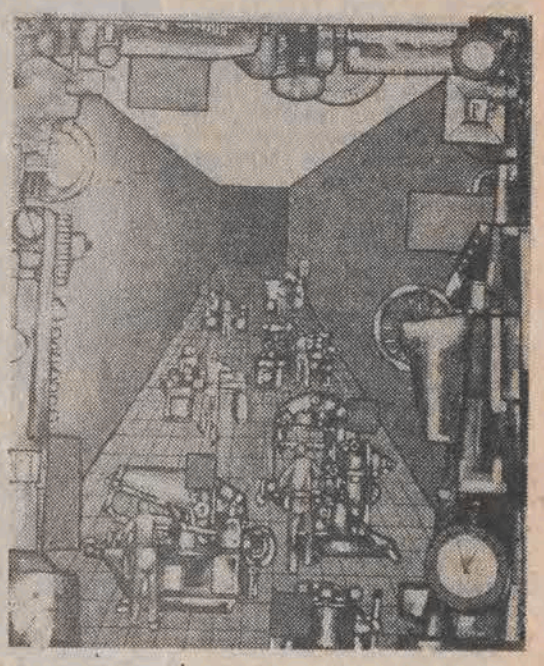

„Maszyny i ludzie" — Benon Liberski

WIELKA BRYTANIA

Podwajanie dawki złego lekarstwa

Kiedy trzy lata temu pani Margaret Thatcher przenosiła się do siedziby premierów przy Downing Street, wielu wysokich urzędników w ministerstwach czerwieniało ze złości. Duża popularność tej gładkiej jak lakier damy kontrastowała bowiem z opiniami jej współpracowników — powtarzano, że jest twarda i nieustępliwa.

Dziennikarze, obserwujący p. Thatcher w czasie różnych spotkań i konferencji, nadali jej wiele przydomków. Po jednym ze spotkań przywódców Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, gdy odrzuciła kompromisowe rozwiązanie problemu budżetu, gazety francuskie nazwały ją gniewnie: „Cyklop Maggie". Zaś prasa brytyjska, dla podkreślenia słuszności jej uporu, broniła ją tytułem: „Potężna Maggie" Jest jednak faktem, że to bezwzględne dążenie p. Thatcher do celu, wywołujące niekiedy u podwładnych pomruki buntu, zaowocowało w ostatnim czasie oznakami pewnej poprawy sytuacji gospodarczej na wyspach.

Jeszcze rok temu na półmetku rządów pani premier, w prasie brytyjskiej przelewały się słowa rozczarowania jej polityką. *„Nigdy nie można jej przekonać, że używa złego lekarstwa, jej odpowiedzią jest zawsze podwojenie dawki"* — stwierdzał jeden z posłów w Izbie Gmin. „Żelazna dama" była gotowa zapłacić każdą cenę za osiągnięcie swego celu. Sztywne twierdzenia, że tylko jej linia jest jedyną słuszną drogą sprawiały, iż pogłębiała się wokół niej izolacja. Ostatnio, przed konfliktem falklandzkim, ta nie modyfikowana — mimo krytyki — polityka pani Thatcher przyniosła jednak, choć niewielkie, ale liczące się, obniżenie bezrobocia, a ulegająca redukcji stopa dyskontowa w bankach (oznaczało to zmniejszanie się kosztów przemysłowych), zapowiadała ożywienie gospodarki i opadanie inflacji.

Anglikom, których kraj dryfował w ciągu kilku lat ku coraz większej depresji, taki zwrot na kursie był ogromnie potrzebny. Obok bowiem rozchwianej ekonomiki, coraz bardziej poczęły dręczyć społeczność brytyjską różne frustracje — wynikały one głównie ze zmniejszania się tradycyjnych wpływów gospodarczych i politycznych tego państwa w świecie.

Wielka Brytania od dawna nie może znaleźć dla siebie przeznaczenia. Weszła do współczesnej Europy — po okresie imperialnym — przez bramy EWG. Zawiodła się jednak w nadziejach na uzyskanie tu jeśli nie dominującej to czołowej pozycji — wciąż wyprzedza ją Republika Federalna Niemiec i Francja. W latach powojennych, gdy dogasał prestiż metropolii i imperium, na obszarze którego „nigdy nie zachodziło słońce", mocarstwowe atuty brytyjczyków przejmowały Stany Zjednoczone; zdobywały sobie pozycje strategiczne na różnych kontynentach, zbudowały największą w świecie flotę, dzięki pomocy gospodarczej zyskały sobie wielkie wsparcie w wielu państwach. W tej sytuacji Wielka Brytania miała stać się, na pociechę, pierwszym europejskim sojusznikiem USA. Dziś jednak, kiedy na „teatrze europejskim" strategy Stanów Zjednoczonych widzą przede wszystkim pozycje RFN, wpływy brytyjskie jako pierwszego sojusznika zaczynają maleć.

Ale tym, z czym Anglicy szczególnie nie mogą pogodzić się, a co przeminęło już bez reszty, jest... „Marry, old England" — wesoła, stara Anglia. To państwo było przecież potęgą zapewniającą szczęśliwe życie narodowi. W koloniach, dominiach i protektoratach można była zbijać fortuny, można było ostrzyć sobie szlify przed awansem na wyspach, wreszcie — brytyjska flaga powiewająca w różnych zakątkach globu dawała poczucie wyższości, symbolizowała misję Anglii i była jakby gwarantem jej pomyślności. Brytyjczycy w tych szczęśliwych czasach zachowywali się jednak arogancko, później — gdy oddawali swe terytoria i przeżywali upokorzenia — ogarniał ich szok. Świat w dalszym ciągu odbija sobie na nich te krzywdy. Konflikt falklandzki, w przekonaniu brytyjczyków, jest tym co podwójnie uderza w ich kraj: raz, że podważa resztki poimperialne, dwa, że uderza boleśnie, akurat teraz, gdy stoi ona u progu zarysowującej się nowej prosperity.

Konflikt falklandzki narusza bowiem tą cienką tkankę, na której zasiane przez konserwatystów ziarno mogłoby wypuścić korzenie. Ekonomiści, którzy dobrze wiedzą, że nadwrażliwość systemu finansowego wymaga — jeśli system ten ma prawidłowo funkcjonować — stagnacji politycznej — obawiają się, iż reperkusje tarć o odległy archipelag, zaszkodzą pozycji funta szterlinga. A to byłoby trudniejsze do zniesienia, niż same wydatki wojskowe związane z konfliktem (bardziej się liczy ogólny wzrost kosztów importu przy obniżeniu wartości waluty, niż obciążenia budżetowe państwa dodatkowymi wydatkami na zbrojenia).

Nie sposób jednak zrozumieć desperacji rządu brytyjskiego w nasileniu presji militarnej na Argentynę, bez uwzględniania właśnie postimperialnych urazów oraz emocji jakie budzą każde, wobec Anglików, roszczenia terytorialne. Analitycy brytyjscy, którzy jeszcze niedawno badali formowanie się złożonych cech charakteru p. Thatcher, cech które to miały być powodem jej niezdolności do przyznawania się do pomyłek, ugięli się ostatnio pod wpływem rezultatów ankiet z pytaniem: czy poparłabyś twarde stanowisko premiera w sprawie Falklandów? Prawie dwie trzecie ankietowanych akceptowałoby decyzję o desancie na wyspy zajęte przez Argentynę, a połowa wyrażała opinię, że brytyjska marynarka wojenna powinna zatopić okręty, które wpłyną do strefy ogłoszonej przez Londyn za zamkniętą. Niespodziewanie więc p. Thatcher zyskała na wielkiej popularności, popularności wynikającej z XIX-wiecznego charakteru jej „dyplomacji kanonierek".

Eksplozja nacjonalistycznego oszołomienia w Wielkiej Brytanii zrazu zjednoczyła w kwestii argentyńskiej konserwatystów i opozycyjną Partię Pracy. Ostatnio jednak — jak wskazuje na to wiele doniesień z Londynu — następuje wśród polityków labourzystowskich znaczne otrzeźwienie Partia Pracy, która ulegając nastrojom społecznym, akcentowała falklandzki kurs „Żelaznej damy", dziś właśnie wyraża dezaprobatę dla jej ryzykownych gier. Przywódca opozycji labourzystowskiej, Michael Foot niedawno ostro zaatakował panią premier, żądając natychmiastowego wstrzymania kroków prowadzących do konfrontacji. Chcąc p. Thatcher posługuje się w dyskusji ciętym językiem i potrafi bronić swej sprawy, to jednak w tym przypadku jej racje nie wszystkich przekonały. Ale też nie to najbardziej niepokoi p. Thatcher — jej obawy na przyszłość wynikają z faktu, że pękł monolit polityczny w Wielkiej Brytanii, co tym samym osłabiło jej pozycję międzynarodową i że przejście opozycji do ostrej walki, grozi jej — w przypadku przegrania konfrontacji z Argentyną — ustąpieniem z fotela premiera.

Wydaje się rzeczą normalną, że p. Thatcher ma większe wsparcie w społeczeństwie niż w Izbie Gmin — parlament jest przecież miejscem rywalizowania różnych grup politycznych. Ale w układzie społecznym Anglii, gdzie Labour Party miała ostatnio poważne trudności z określeniem swej orientacji, fakt zbiorowego wystąpienia tej partii w walce przeciw premierowi, może mieć na przyszłość duże znaczenie. Na razie jednak szanse labourzystów na zachwianie pozycji p. Thatcher są znikome.

Konserwatyści też potrafią dobrze kalkulować. Zapewne w skrytości ducha rozważają co się stanie, jeśli pani premier będzie musiała opuścić Downing Street. Niektórzy komentatorzy upatrują w obsadzeniu stanowiska ministra spraw zagranicznych Francisem Pym'em manewr, zapewniający dobrego kandydata do opróżnionego przez p. Thatcher fotela. Pym wprawdzie wspiera panią Thatcher, ale wie, że w ewentualnym rachunku jaki społeczeństwo wystawi konserwatystom za porażkę na Falklandach, obciążenia spadną przede wszystkim na panią premier. Sam ma doskonałą opinię wśród członków własnej partii, jak i nawet u opozycjonistów. Jest człowiekiem energicznym, działa jak doskonały menager, cieszy się powszechnym szacunkiem.

Na panią premier wielki wpływ mają tymczasem wojskowi. Wiedzą, że utrzymywanie blokady morskiej w pogarszających się warunkach pogodowych (na Falklandach jest jesień) staje się coraz trudniejsze. Okręty brytyjskie i statki tworzące grupę operacyjną są narażone na silne sztormy arktyczne, a zdolność bojowa żołnierzy stłoczonych na statkach, którymi rzucają 10 metrowej wysokości fale, wciąż się obniża. Nie wierzą też wojskowi, aby blokada ta mogła przynieść korzyści — na wyspie znajduje się kilkadziesiąt tysięcy owiec i nawet w przypadku całkowitego odcięcia dostaw, ta rezerwa mięsa wystarczy wojsku argentyńskiemu na kilka miesięcy. Są zatem sztaby brytyjskie za podjęciem natychmiastowego działania.

Akcja militarna wymaga decyzji politycznych. Być może pani Thatcher chciałaby pokazać z jakiego w rzeczywistości jest metalu (apelował o to jeden z posłów w Izbie Gmin), ale rząd jest wyraźnie ograniczony: z pewnością ustałyby nastroje nacjonalistycznego hurra-patriotyzmu, gdyby do Wielkiej Brytanii zaczęły powracać ciała zabitych na Falklandach. Zresztą badania opinii publicznej wykazują, że na pytanie — czy życie brytyjskie ma być wystawione na niebezpieczeństwo na Falklandach? — odpowiedzi twierdzącej udzieliło tylko 41 proc. ankietowanych.

Koncepcja „wojny kolonialnej", przypominająca niesławną ekspedycję Brytyjczyków na Kanał Sueski po jego znacjonalizowaniu przez Egipt, nie wydaje się dziś do przyjęcia. Wiążą się z tym zbyt duże niebezpieczeństwa — tak o charakterze wewnętrznym jak i zewnętrznym. Labourzyści, którzy teraz zaczęli sobie przypominać, że taka wojna byłaby sprzeczna z doktryną i ideologią ich partii, zyskaliby — w przypadku porażki strategii p. Thatcher — wielkie atuty wyborcze. Biorąc pod uwagę czynniki zewnętrzne, Wielka Brytania mogłaby ogromnie dużo stracić, nawet w przypadku sukcesu. Przeciwko siłowym rozwiązaniom są przede wszystkim państwa Trzeciego Świata, a zwłaszcza te które wyzwalały się w walce. Anglii musi zależeć na wpływach politycznych i gospodarczych — izolacja polityczna od krajów rozwijających się przyniosłaby duże szkody gospodarcze.

I na koniec sprawa ewentualnych reperkusji konfrontacji zbrojnej na Falklandach dla światowej polityki odprężenia. Wprawdzie Wielka Brytania nie wnosi tu wiele, a przynajmniej mniej niż inne państwa europejskie, wprawdzie nie rozwinęła szerzej polityki w stosunkach Wschód — Zachód, to jednak napięcie, jakie towarzyszyłoby konfliktowi militarnemu byłoby niesławnym wkładem Brytyjczyków do poważnego zaostrzenia sytuacji międzynarodowej.

Można wyobrażać sobie, że zacni ludkowie siedzący przed telewizorami w Londynie i śledzący wydarzenia w rejonie odległym od wysp o 14 tys. kilometrów przypominają sobie dobre czasy imperium brytyjskiego. Ale od tamtego okresu świat ogromnie się zmienił.. Mogą ubóstwiać p. Thatcher pachnące lawendą konserwatywne damy i egzaltowani dżentelmeni, mogą podziwiać ją politycy za przedsiębiorczość i nieszablonowe rozwiązania, jednakże w polityce liczą się nie sentymenty, lecz racje Niestety, za słodkim głosem pani Margaret Thatcher, głosem dotyczącym Falklandów, ukrywa się gorzkie odczucie bezradności. Oby w tej niemocy Wielka Brytania nie popełniła kolejnego błędu!

HENRYK SROCZYŃSKI ■

Tajemne życie lwów

Któregoś sobotniego wieczoru — opowiada Anne Arthus-Bertrand — spotkaliśmy się z kolegami na obiedzie, na przedmieściu Paryża. Czyjeś drapieżne spojrzenie i wąsy à la Livingstone obudziły we mnie pragnienie przyrody i słońca. W scenerii tak mało przypominającej busz rozmowa na temat lwów mogła się wydawać bardzo osobliwa, ale w ciągu jednego wieczoru Afryka i jej fauna przesłoniły mi cały horyzont życiowy. Yann stał się moim przewodnikiem. W kilka miesięcy później wyjechaliśmy z dziećmi i kamerą fotograficzną do Kenii.

Yann już w wieku 20 lat wybrał swój świat — świat zwierząt i przyrody. Był współzałożycielem, a następnie kierownikiem jednego z pierwszych we Francji parków zwierzęcych, 800-hektarowej posiadłości w departamencie Allier. W 10 lat później porzucił swoje oswojone zwierzęta i wyruszył do Afryki, aby poznać jej rezerwaty.

Życie w buszu z dwojgiem dzieci w wieku trzech i pięciu lat nie jest samo w sobie przedsięwzięciem ryzykownym, ale trzeba jednak zapewnić sobie minimum bezpieczeństwa. Dzięki francuskiej firmie wynajmu balonów działającej na terenie parku w Masai Mara, otrzymaliśmy zezwolenie na budowę domku z drewna i bambusu wewnątrz samego rezerwatu. Yann został jednym z pilotów firmy. Codziennie o świcie zabierał turystów i latał z nimi w napełnionych ciepłym powietrzem balonach nad rzeką Mara. Nasz rozkład zajęć dostosowany był do trybu życia drapieżników z rezerwatu. Od szóstej rano do dziesiątej, a następnie od 15 do 19 przemierzaliśmy park, w promieniu 3 kilometrów wokół naszego obozu. Aby zbadać obyczaje lwów, trzeba móc je zidentyfikować.

Musieliśmy więc sporządzić lwie „dowody tożsamości". Szkic pyska „en face" pełnił funkcję fotografii, po czym odnotowywaliśmy na nim dokładne umiejscowienie włosów wąsów. Rozmieszczenie tych włosów jest bowiem niepowtarzalne, podobnie jak odciski palców u ludzi. Spośród 500 lwów objętych naszą kartoteką, 50 należy do trzech grup dominujących i osiadłych: jedna z nich żyje na równinie Raju, druga upodobała sobie teren lądowania balonów, trzecia ulokowała się w pobliżu strumienia „Laga".

Każde „plemię" lwów zazdrośnie strzeże swego terytorium przed wszelką ingerencją. Aby ustalić granice tego terytorium, notowaliśmy skrupulatnie, dzień po dniu, wszelkie wędrówki każdego z członków grupy, jak również wędrówki lwów prowadzących koczowniczy tryb życia. W ten sposób wykryliśmy istnienie swego rodzaju „no lion s land" między posiadłościami dwóch pierwszych grup. Jest to teren neutralny, do którego nikt nie rości pretensji, gdzie zatrzymują się od czasu do czasu zarówno lwy wędrujące, jak i osiadłe.

Dla ułatwienia badań nadaliśmy wszystkim lwom imiona. Lwice zostały nazwane Malefice („zły urok"), Sapience „(mądrość"), Jouvence („młodość"), Benevole („ochotniczka") no i oczywiście Aurore („jutrzenka"). Hook albo inaczej Capitaine Crochat („kapitan haczyk") był jednookim samcem. Drugi samiec został nazwany Grand Wizir („wielki wezyr"). Trzeci, najbardziej niezależny, otrzymał imię Capitaine Haddock. Jedenaście małych oznaczyliśmy liczbami, według miotów, ponieważ nie miały jeszcze wyraźnie zaznaczonych cech indywidualnych.

Lew jest jedynym z rodziny wielkich kotów, który prowadzi życie rodzinne i uspołecznione. Społeczności tworzą się wokół samic, które zamieszkują wspólnie jeden teren, często przez całe życie. W tej społeczności samce są tylko tymczasowymi gośćmi, akceptowanymi lub tolerowanymi przez lwice i nierzadko zagrożonymi przez potężniejszych samców. Nie ma tutaj miejsca dla żadnej litości: zdarza się, że lew w sile wieku wędrujący po buszu niekiedy w towarzystwie swych współbraci, znajduje rodzinę. Jeśli w tej grupie samcy są mniej liczni, bądź też starzy lub chorzy, następuje masakra. *Pokonane lwy* uciekają, broczące krwią. Jeśli uda im się przeżyć, stare lwy i tak wkrótce padną z głodu, opuszczone przez wszystkich. Zwycięzcy likwidują następne mioty zwyciężonych i obejmują teren w posiadanie, jako jego wyłączni władcy. W ciągu dwóch lat tylko jeden lew z naszych trzech grup został „wykwaterowany" przez lwa koczownika. Obfitość zwierzyny o każdej porze roku zapewnia stabilizację. Każda rodzina zajmuje względnie niewielki obszar (od 12 do 25 km kwadratowych), ale dostatecznie zasobny, aby móc wyżywić około dziesięciu dorosłych lwów.

Pewnego dnia byliśmy świadkami osobliwego pościgu na równinie Raju. Zobaczyliśmy obcego młodego samca w wieku około trzech lat. W przewidywaniu nieuchronnego starcia chwyciliśmy lornetki i zaczęliśmy obserwować równinę. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu ujrzeliśmy w odległości 1,5 km Hooka, który podążał w naszym kierunku. Biegł do utraty tchu, zatrzymując się od czasu do czasu, aby ryknąć albo wytarzać się po ziemi, po czym znów biegł w kierunku lasów i rzeki. Gdy dopadł pierwszych drzew, zaczął węszyć na wszystkie strony, wyczuwając ślady młodego samca. Ślady te doprowadziły go aż nad wodę; uciekinier musiał przepłynąć rzekę, która była granicą jego terytorium. Hook kręcił się jeszcze dłuższy czas po trawie zbrukanej przez rywala. Wąchał ją, po czym wdychał głęboko powietrze, jakby chciał wchłonąć miazmaty pozostawione przez tamtego. Co pewien czas wydawał potężny ryk, spoglądając wściekłym wzrokiem na przeciwległy brzeg. Biegał tam i z powrotem po tym bezkarnie naruszonym przez wroga terenie granicznym, drapał ziemię tylnymi łapami i nastroszył grzywę, aby zaimponować niewidocznemu przeciwnikowi. Następnie obsiusiał wszystkie okoliczne drzewka, przetrząsnąwszy je uprzednio nosem. Po kwadransie gniew jego nieco opadł: położył się na pobliskim wzgórku termitów, ale długo jeszcze ryczał. Gdyby młody samiec był dostatecznie silny, aby móc zmierzyć się z Hookiem, nie wykluczone, że cała historia przybrałaby krwawy obrót. Systematyczne łowienie zwierzyny i posiadanie kilku samic dodają odwagi. Może tu także wchodzić w grę „honor"! W każdym razie liczne blizny, cięcia i zadrapnięcia na ciałach lwów świadczą o niekiedy gwałtownych utarczkach. Niespełna 10 proc. samców osiąga wiek dojrzały. Trzy czwarte spośród nich traci życie na polu bitwy, bądź też, co smutniejsze, w pułapkach, zastawionych przez kłusowników.

Straszny jest ryk lwa! Żadne inne zwierzę na świecie nie wydaje tak potężnych dźwięków. Dzięki rozciągliwym wiązadłom krtani wycie jego może się nieść na odległość 8 do 9 km. Niegdyś sądzono, że lew ryczy, aby przestraszyć zwierzynę, a przecież nie chce on bynajmniej, aby zdobycz uciekła! Rzadko też lew ryczy w okresie kanikuły, gdyż nie chce zużywać zbyt wiele energii. Lubi natomiast ryknąć sobie po obudzeniu się z długiej drzemki, albo też o świcie, na powitanie dnia, albo jeszcze po zapadnięciu mroku, kiedy naturę ogarnia cisza nocna. Jest to także sposób potwierdzenia swego istnienia.

Łowy u lwów to sprawa samic. To one są specjalistkami od czyhania na zwierzynę, podchodów i ścigania. Czasami samce pomagają im dobijać wielkie sztuki, jak np. bawoły. Ale samce są na ogół niezręczne i niezbyt interesują się polowaniem, dlatego mogą niekiedy pomieszać szyki swym towarzyszkom jeśli się nagle zjawią na drodze pościgu za zdobyczą. Kiedy natomiast zwierzyna już jest upolowana, samiec wychodzi z krzaków, aby odebrać swoją „dolę". Samiec, dominujący w stadzie wydziela sobie oczywiście „lwią część", po nim zasiadają do uczty inne lwy według starszeństwa, a resztki zostają dla lwic i lwiątek. Jeśli łup trafia się często, i jest pokaźnych rozmiarów, podział dokonuje się polubownie i niekiedy wspólnie. Ale głód zawsze rodzi okrucieństwo i nierówność.

CDN

ANNE I YANN ARTHUS-BERTRAND („Le Figaro Magazine") ■

Wojny przyszłości

ANDRZEJ SEPKOWSKI

Historia przyszłości zdaje się być irracjonalnym tworem płochej wyobraźni, spekulatywnym rozważaniem nad tym, co by było, gdyby współcześnie zauważalne tendencje rozwojowe dawały się przenosić w przyszłość. Nawet zdecydowani zwolennicy determinizmu jakiejkolwiek proweniencji skłonni są uważać scenariusze i projekty historii przyszłości za błahą tylko zabawę. Jednakowoż i oni, zważając na ogromną popularność owych projektów przyszłości muszą dostrzegać kreatywizm wielkości wizji, aktywizujących i preparujących działania dla przyszłości.

JAK SOBIE WYOBRAŻAMY PRZYSZŁOŚĆ

Konwencja fikcyjnej historii przyszłości zrodziła się już w roku 1763 za sprawą anonimowego autora apologizującej monarchię rozprawy „The reign of George VI 1900—1925". Odtąd jest już stale obecną w literaturze w wielorakich odmianach, a przede wszystkim: historii wojen i tzw. alternatywnej historii. Autorzy piszący alternatywną historię bazują na fantastycznych tezach wyjściowych, służących konstruowaniu fabuły opieranej o zasady ekstrapolacji i reguły wynikania przyczynowo-skutkowego. Korzystający z tego pomysłu podkreślają, jak mało prawdopodobna jest w istocie rzeczy nasza historia, jak wiele przypadków musiało złożyć się na to, by poszła tym, nie zaś innym torem. Obrazy świata, jakim mógłby być, są niekiedy przerażające, niekiedy śmieszne, jak choćby w opowiadaniu P. Andersona, w którego mutacji wielowariantowości triumfuje idea państw narodowych, rządzonych za pomocą dyktatów jednostek lub elit, dysponujących potencjałami nuklearnymi i wyprawiających się do gwiazd.

Niekiedy wykorzystywanie tej koncepcji służy satyrycznemu spojrzeniu na tendencje widoczne we współczesnej polityc międzynarodowej. I tak, A. D. Foster w utworze „Polacy to ludzie łagodni" czyni monarchiczną Polskę najpotężniejszym mocarstwem Ziemi. A ponieważ wszystkie państwa żyją ze sobą we wzorcowej niezgodzie, Polacy umieszczają na orbicie wyrzutnię pocisków nuklearnych zagrażających wszystkim i tą formą „szlachetnego" szantażu zmuszają do pokojowego współżycia.

Wielu autorów włączyło się do pradawnego sporu o stopień zdeterminowania przyszłości, o rolę jednostki i mas. Zadane pytania o charakterze *„co by było, gdyby?"* prowadzą po wielokroć do karkołomnych, ale i fascynujących rozważań nad tym, co mogłoby się zdarzyć na skutek zaistnienia jednego więcej, brzemiennego w konsekwencje faktu historycznego. U. K. Robertsa, w powieści „Pavane", ludzkość odrodzona po wojnie nuklearnej powtarza cykl rozwojowy aż po rok 1588, w którym dochodzi do zamordowania królowej Elżbiety i zwycięstwa Hiszpanii. W konsekwencji, Kościół katolicki staje się uniwersalnym, hamując dalszy rozwój cywilizacji, który jest dokładnym, ale inaczej w czasie rozłożonym schematem rozwoju ery pronuklearnej, a w tym nowym powtórzeniu cyklu rewolucja przemysłowa przypadła dopiero na nasze dni. Natomiast K. Mc Kinley założył (w powieści „If the south had won a civil, war") wygraną Południa w wojnie secesyjnej, prowadzącą do stuletniej koegzystencji trzech organizmów politycznych: Konfederacji, Unii i Teksasu, zjednoczonych dopiero w latach 60-tych naszego stulecia.

O ile nie pisywano w Polsce alternatywnej historii, o tyle historia wojen wyraźnie zaznaczała obecność w okresie międzywojennym, a powieści B. Żurawickiego (Rok 1974, Rok 1975), S. Barszczewskiego (Jak być mogło) czy E. Majewskiego, dziś zupełnie zapomniane kiedyś cieszyły się sporą popularnością.

JAK PROWADZIĆ NIEISTNIEJĄCE WOJNY?

Historia wojen staje się szczególnie popularna w końcu XIX w. i od samego początku bywa najczęściej zbiorem pobożnych życzeń wiązanych z narodowymi oczekiwaniami i aspiracjami. Jedną z pierwszych tego rodzaju wizji jest historia G. Griffitha (The angel of the revolution. A tale of coming terror), wydana w 1894 r. Oto, wedle autora, Amerykanie, dokonawszy rewolucji socjalistycznej, wysuwają projekt stworzenia rządu globalnego, kierując go pod adresem Brytyjczyków pozostających w wojnie z Rosją. Początkowo wyspiarze odrzucają propozycję i dopiero gdy szala zwycięstwa przechyla się na stronę Rosjan zgadzają się na amerykańską pomoc i przyjęcie projektu, wespół pokonują Rosjan i przystępują do konstruowania rządu światowego. Dla Griffitha i długiego szeregu autorów oczywistą konsekwencją następnej (definitywnie ostatniej) wojny będzie ukonstytuowanie się rządu globalnego, zaś wielu skłonnych jest uważać, że ostatnią wojną będzie rewolucja socjalistyczna, wymierzona przeciw wielkim korporacjom: T. Hertzka, Freeland. A social anticipation, G. England, The air trust, I. Donnely, Caesar's column.

Owo przekonanie przestaje jednak funkcjonować po I wojnie i odtąd, wojny, miast być stymulatorami unifikacji globalnej, stają się okrutną, bezmyślną zabawą, prowadzoną w imię urojonych niekiedy celów, a siłą sprawczą wielu jest państwo niemieckie. W wydanej w 1920 r. powieści M. Hastingsa („The city of endless night") odnajdujemy obraz Niemiec u progu przegranej wojny globalnej, w której stoją naprzeciw koalicji światowej. Berlin zamieniony w twierdzę, a w nim skrajnie autorytarne formy rządu. Podobne supozycje mieszczą się w „The shape of things to come" H. G. Wellsa z roku 1933. Przewidywania Wellsa co do przebiegu wojny można najkrócej przedstawić tak: wojna wybucha 5 stycznia 1940 r. w wyniku konfliktu między Niemcami a Polską, pretekstem ze strony niemieckiej są żądania terytorialne (korytarz), w początkowej fazie wojny ma miejsce równowaga sił, przy czym przewaga Polski w powietrzu i (czasowa) na lądzie decyduje o stracie części terytorium przez Niemcy. Wojna, która przekształca się rychło w konflikt globalny, trwa do roku 1949, zaś po jej zakończeniu, w wyniku wielostronnych porozumień, tworzy się Związek Państwa Nowoczesnego — uniwersalna państwowość.

Po dojściu Hitlera do władzy, kiedy to obraz niemieckiej rzeczywistości politycznej staje się wyrazistszym, zwłaszcza w Stanach, mnożą się wizje państw totalitarnych i nierzadko to, co działo się w Niemczech jest przenoszone na inne kraje dla dookreślenia niebezpieczeństw faszyzacji. Tak uczynił S. Lewis w powieści „It can happen here", a podobnie K. Capek w „Inwazji jaszczurów". Natomiast po wojnie pojawiają się rzadkie obrazy świata zdominowanego przez zwycięskie Niemcy. W „The sound of his horn" Sorbana znajdujemy świat żyjących na olbrzymich majątkach ziemskich niemieckich władców, mieszających pragermańskie ideały z rasistowskimi, tworzących nowy, bezlitosny porządek, zaś w groteskowej powieści N. Spinarda „The iron dream" władający światem Niemcy zwracają się ku rustykalizmowi, wśród zniewolonych wprowadzają skrajny egalitaryzm eliminując wszelkie przejawy opozycyjności i odrębności, czyniąc ze świata wielkie koszary.

WIZJE WOJNY NUKLEARNEJ

Jest oczywistym, że każda z projektowanych wojen przystaje do sytuacji politycznej okresu powstania i niestabilność ładu międzynarodowego szybko dezaktualizuje wielość spekulacji i decyduje o tym, że przyjmujemy je ze znacznym dystansem, jak choćby scenariusz wojny nuklearnej przewidywanej przez N. Shute'a w „Ostatnim brzegu":

„Najpierw była bomba na Neapol. Albańczycy oczywiście. Potem była bomba na Tel-Awiw. Nikt nie wie kto ją rzucił... Potem zainterweniowali Brytyjczycy i Amerykanie i przelecieli demonstracyjnie nad Kairem. Następnego dnia Egipcjanie wysłali wszystkie nadające się do użycia bombowce jakie mieli: 6 na Waszyngton i 7 na Londyn".

Wojna natychmiast ogarnia całą półkulę północną i 37 dzień jej trwania jest jej kresem — dzień ostatniego wybuchu. Pozostaje skazana na wielomiesięczną agonię Australia, nad którą nieuchronnie nadciągają radioaktywne chmury. Agonia ludzkości wedle Shute'a trwała miesiącami, ale eskalacja zbrojeń już wkrótce znacznie zmodyfikowała wyobrażenia i im bliżej lat 80, tym stawała się krótszą. Miesiące zastąpiły dni, godziny i minuty. Jeszcze u H. Kirsta w „The seventh day" kataklizm to siedmiodniowy akt niszczenia, dokonywany już bez transcendentnej ingerencji. Natomiast u V. Poznera wystarcza 5 minut.

III wojna oznacza moralną klęskę gatunku, tuż po niej człowiek zdobył w wymiarze absolutnym negatywną moc rozporządzania własnym losem, przekonał się o własnej omnipotencji i uczynił ziemską historię historią szaleństwa. Oto przekonanie inspirowane antycypacjami Wellsa i O. Stapledona z lat 30 i utwierdzone w 50. Coraz rzadszymi stawały się utwory konstytuujące i podtrzymujące antykomunizm w najwulgarniejszej postaci, projektujące bliską okupację Stanów przez Związek Radziecki (C. Kornbluth, Not this August), podkreślających słabość militarną USA (P. Wylie, Tomorrow), konieczność obrony „wolnego świata" (L. Engel, E. Piller, The world aflame. The Russian-American war of 1950).

Od lat 60 dość zdecydowanie dominuje przekonanie, iż wojna globalna jest tożsama z całkowitym zniszczeniem świata ludzi. Co prawda niektórzy autorzy utrzymują przy życiu grupy, którym udało się przetrwać, ale czynią to po to, by za pomocą okropieństw prowokować czytelnika, który niejednokroć nie jest w stanie objąć wyobraźnią ogromu zagrożenia. Najczęściej są to obrazy ludzkości odżegnującej się od całego dorobku dawnej cywilizacji, świadomie wracającej do uprawiania kultu irracjonalizmu, ludzkości często dzielonej na ludzi normalnych i mutantów, zepchniętych przez tych pierwszych do roli ściganych zwierząt w imię czystości gatunku. Dewolucja kulturowa jest tożsama z nowym barbarzyństwem w innej odmianie postnuklearnych kreacji. Ludzie stają się niewolnikami małp, jak u P. Boulie'a, albo też przybierając odrażające postacie fizyczne, a zyskując zdolności nadprzyrodzone (telepatia, telekineza, jasnowidztwo) ludźmi być przestają.

Niestety, nie są rzadkością sugestie upowszechniające przekonanie, że wojna nuklearna nie jest złem największym i że szanse przeżycia są znacznie większe niż się przypuszcza. Oburzenie opinii światowej wzbudziły tego rodzaju supozycje byłego szefa ekspertyz strategicznych RAND Corporation H. Kahna, zamieszczone w „On thermonuclear war" i „Thinking about unthinkable", wydanych na początku lat 60. Podobnie traktuje się rozliczne scenariusze wojen konwencjonalnych. Niewielu skłonnych jest przyjąć „optymistyczne" warianty Kahna i Wienera z „The year 2000", ani przesłania książki, której autorem mieni się być niejaki generał J. Hackett, rok temu wydanej w Berkeley. Dzieło Hacketta wygląda nie na próbę racjonalnej ekstrapolacji obserwowalnych trendów, ale na zbiór pobożnych życzeń lobby militarno-przemysłowego, zatytułowany „The third world war. August 1985".

„TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA"

Od początku autor posługuje się irracjonalnymi przesłankami i zbytnio zawierza intuicji. Charakteryzując sytuację światową przed wybuchem wojny forpocztą komunizmu na terenie Ameryki Południowej czyni Jamajkę, zaś na terenie Afryki Północnej jest nią Egipt, który w listopadzie 1984 odnawia sojusz militarny z ZSRR, inspiruje przewroty w Kuwejcie, Arabii Saudyjskiej, Iraku i proklamuje Zjednoczoną Republikę Arabską, sobie rezerwując rolę hegemona. Pierwszym posunięciem ZRA jest prośba skierowana do ZSRR o objęcie opieki nad Kanałem Sueskim. Przeciwwagą dlań jest prozachodni Iran.

Afryka Południowa jest terenem konfrontacji RPA z siłami zunifikowanych państw frontowych, wspomaganych przez Nigerię i Kubę. Natomiast Chiny i Japonia, zmierzające do ścisłego związku politycznego i gospodarczego, przez czas konfliktu starają się pozostawać na uboczu. Sytuacja w samej Europie komplikuje się znacznie na skutek komunizowania się Francji i Włoch, co zdecydowało o wydatnym osłabieniu NATO. Niejasną jest sytuacja w Jugosławii, dezintegrującej się na Północ i Południe. W Polsce, Czechosłowacji i NRD nasilają się tendencje separatystyczne, podobnie w południowych i zachodnich republikach radzieckich.

Wedle autora były to przyczyny wystarczające dla decyzji rozpętania III wojny. Dodatkowym argumentem ze strony Układu Warszawskiego była ogromna, jak wynika z wyliczeń autora, przewaga w uzbrojeniu. J. Hackett uważa, że przez wojnę kraje socjalistyczne chciały rozwiązać wszystkie problemy kilku kontynentów, a zwycięstwo oznaczałoby skomunizowanie globu.

„Piorunujące było uderzenie, które wyszło wczesnego ranka, 4.VIII. na ziemne siły NATO w Centralnym Regionie. Było to gwałtowne i piorunujące. Wiele oddziałów piechoty, zdezorientowanych i oszołomionych dbało tylko o to, by przeżyć to piekło. Grzmiący hałas, monstrualne eksplozje, fontanny ziemi...

Oto jak wygląda początek wojny, rozpoczętej zdradzieckim atakiem wojsk Układu Warszawskiego, na ziemi, w powietrzu i na morzu, gdyż równolegle desant morski, wykorzystując zaskoczenie, opanował północną flankę NATO — Danię, Holandię, Belgię. Atakujący są bezwzględni, nie wahają się przed używaniem napalmu i broni chemicznej, co w znacznej mierze umożliwia postępy militarne i pozwala na opanowanie znacznej części terytorium RFN. Dowódcy NATO szybko opanowują sytuację i po uruchomieniu mostu powietrznego między Stanami a Europą przejmują inicjatywę militarną. Po 18—19 sierpnia 1985 r. wojska NATO wypierają jednostki UW na dawną linię demarkacyjną i wkraczają na tereny NRD i Czechosłowacji. Równolegle na tyłach wojsk Układu coraz śmielej poczynają działać sabotażyści, niesprecyzowanej zresztą proweniencji, wspomagani zrzutami z Zachodu.

W sytuacji uwielokrotnionego zagrożenia, 20 sierpnia 1985 r., prezydent ZSRR Worotnikow (terminologia J. Hacketta) ostrzega przez gorącą linię, że może dojść do użycia broni nuklearnej. Enigmatyczna odpowiedź prezydenta Stanów Thompsona wręcz zachęca do ataku atomowego. Celem ataku — Birmingham. Respons — bomba na Mińsk. Pierwsza bomba miała być wyrazem determinacji strony przegrywającej, druga zaś krokiem militarno-politycznym. Miejsce uderzenia, twierdzi autor, obrane było nader trafnie, zniszczyło poczucie bezpieczeństwa sojuszników i zachwiało więzią między republikami radzieckimi. W radzieckim Biurze Politycznym doszło do „zamachu stanu" i zwycięskie gołębie godzą się na warunki Zachodu. Na konferencji pokojowej w Kopenhadze konstytuuje się European Economic Community — federalny organ europejski, skupiający państwa od Atlantyku po Ural. Częściowo zdemilitaryzowana Europa, podzielona na kilkadziesiąt organizmów państwowych (podległych do pewnego stopnia EEC) będzie odtąd spychana do roli politycznego subkontynentu. Nad równowagą sił czuwać mają Stany Zjednoczone.

„Odtąd pozwolimy Europie dusić się w plemiennych sporach — mówi amerykański generał Schneider — *nie będą one warte śmierci amerykańskich żołnierzy. Spacyfikujemy naszą strefę wpływów i przyporządkujemy sobie gospodarczo. Nikt nam w tym nie przeszkodzi, jako że w światowym duumwiracie my gramy pierwsze skrzypce, nie zaś świeżo skojarzone mocarstwo chińsko-japońskie. USA i Chino-Japonia będą spoglądały na siebie — mamy nadzieję, że w przyjaźni — poprzez Pacyfik, który odtąd stanie się najważniejszym akwenem".*

Powyższe przesłania po części charakteryzują inspiracje tworzenia tego rodzaju katalogów życzeń i sugerują wielość zachowań politycznych. Najwyraźniejszą jest sugestia — Amerykanie nie powinni obawiać się konfliktu nuklearnego, prawie niemożliwym jest objęcie Stanów wojną. Jednak w interesie zagrożonego widmem komunizmu świata winni wypełniać misję „narodu narodów", uładzić światowy chaos. Koszt nie powinien być zbyt wielki, bo czym jest jedno zniszczone miasto i kilkadziesiąt tysięcy ofiar? Taka jest ostateczna wymowa tej popularnej w USA książki i wielu innych.

Znowu w „EXPRESSIE"

ADAM OCHOCKI

Adam Ochocki urodził się w 1913 roku w Łodzi. Pracę dziennikarską rozpoczynał jako siedemnastoletni chłopiec w agencji prasowej „Polpress". Po kilku miesiącach zostaje reporterem łódzkiego „Expressu", w którym nieprzerwanie pracuje do 1939 roku. Po wyzwoleniu i powrocie do Łodzi z ZSRR, gdzie spędził lata okupacji, kontynuuje działalność dziennikarską na stanowisku sekretarza redakcji powojennego „Expressu". W 1948 r. wydał wraz z Wacławem Drozdowskim cieszący się dużą poczytnością album z przygodami Wicka i Wacka, drukowanymi uprzednio w „Expressie". W 1957 r. został sekretarzem redakcji „Karuzeli" i poświęcił się satyrze, pisząc felietony, wiersze, fraszki. W 1970 r. opublikował w Wydawnictwie Łódzkim tomik satyryczny „Skąd my się znamy?". W tym samym roku ukazała się w Moskwie, nakładem „Krokodyla" książeczka A. Ochockiego „Trlewoga w Adu", a w 1972 r. w Tallinie (Estonia) pod jego redakcją wybór utworów satyrycznych autorów piszących do „Karuzeli" pt. „Pääse Karusseile" Jest ponadto autorem wielu scenariuszy filmów animowanych dla dzieci m. in. z serii „Zaczarowany ołówek". Od kilku lat jest już na emeryturze. W 1980 roku wydał nakładem Wydawnictwa Łódzkiego tom wspomnień pt. „Reporter przed konfesjonałem czyli jak się przed wojną robiło gazetę". Drukowane obecnie wspomnienia pochodzą z drugiego — przygotowywanego dla Wydawnictwa Łódzkiego tomu wspomnień — obejmującego lata powojenne.

— I co, panie Kiepura? Znowu w „Expressie"! — powiedział na powitanie redaktor Konstanty Bogusławski.

Panie Kiepura... Tak mnie nazywali przed wojną koledzy w redakcji... Znowu w „Expressie"... Więc nic się nie zmieniło przez te sześć lat z okładem!

— Wygląda pan jak młody bóg. Jak w trzydziestym dziewiątym, kiedyśmy się widzieli ostatni raz. Gdzie się pan podziewał?

—Całą wojnę przeżyłem w Związku Radzieckim. Wróciliśmy dwa tygodnie temu. Mam córeczkę, trzy lata, drugie dziecko w drodze. Ojca i siostrę hitlerowcy zamordowali w Warszawie, z dalszej rodziny prawie nikt nie ocalał...

Nic się nie zmieniło....

— Jak pan chce, już od jutra może pan zacząć pracować w „Expressie".

— Bardzo chętnie, ale...

Redaktor spojrzał na mnie spoza okularów. Przed wojną nie używał szkieł. I nie miał siwych, rzadziejących włosów. Ani bruzd na twarzy.

— Ma pan jakieś inne plany?

— Nie, tylko gdzie będziemy mieszkać? Żona i dziecko w Kłodzku.

— Szkoda, że nie wrócił pan kilka miesięcy wcześniej. Wszystkim oddawano przedwojenne mieszkania. Obawiam się, że w tej sprawie nie będzie mógł nic dla pani zrobić. Łódź jest przeludniona. Ale Starski mi mówił, że na razie może się pan u niego zatrzymać.

— A rodzina? Nie chcę nadużywać czyjejś gościnności, nawet brata. Wie pan, redaktorze, jak to jest.

—Moja rada: niech pan chwilowo zamieszka u Starskiego i zacznie się rozglądać za jakimś mieszkaniem. Wierzę w pańską obrotność, panie Kiepura. Nie takie numery wychodziły panu przed wojną. Jak coś się napatoczy, pomożemy. Więc jak?

— Ciągnie mnie do „Expressu", ale właściwie nic o was nie wiem.

— No cóż. Wychodzimy już równo cztery miesiące, nakład stale rośnie, żadnych zwrotów. Nie szło nam jak z płatka. Ma pan pojęcie jak na nas naskakiwano? Ledwo „Express" zaczął się ukazywać, rozpętała się fala protestów.

— Kto protestował? Czytelnicy?

— Koledzy po fachu. Na walnym zebraniu dziennikarzy w Łodzi zarzucano nam pogoń za sensacją, obniżanie poziomu. Rozumie pan? Zarząd główny naszego związku zawodowego wszczął nawet dochodzenie w tej sprawie. Literaci też się dołączyli.

— O co konkretnie chodziło?

— Solą w ich oku była nasza powieść odcinkowa oraz Wicek i Wacek.

— Przecież inne łódzkie gazety też drukują powieść w odcinku, filmy rysunkowe, dają wielopiętrowe tytuły.

— Zaczęli nas naśladować. Zrozumieli, że samą publicystyką nie zachęci się ludzi do czytania. Gazeta powinna odzwierciedlać codzienne życie we wszystkich jego przejawach. Ale to muszą robić dziennikarze z prawdziwego zdarzenia, nie amatorzy, ani urzędnicy. No, dość tych mądrości. Staremu „ekspresowcowi" nie trzeba tłumaczyć najprostszych spraw. A teraz, chodź pan, przedstawię panu kolegów. Z Jagoszem się pan widział?

Mietka Jagoszewskiego spotkałem rano na Piotrkowskiej. Wychodził z „Fraszki". Namawiał mnie gorąco do pracy we wznowionej popołudniówce.

— Pamiętasz, jak Górski nie lubił „Expressu", kiedy był sekretarzem „Republiki"? Teraz jako Bogusławski świetnie go prowadzi. Mówię ci, stary, co za inwencja! Ile serca w to wkłada. Zobaczysz, będzie ci, jak u pana Boga za piecem.

Poza Jagoszem stara gwardię „republikańska" reprezentował w nowym „Expressie" Wacław Drozdowski. Gdy wrócił z oflagu w Woldenbergu, redaktor Bogusławski natychmiast go zaangażował do założonej przez siebie gazety, tak samo jak Jagosza.

„Express Ilustrowany" wystartował w przededniu pierwszej rocznicy wyzwolenia Łodzi, 17 stycznia 1946 r. I od razu podbił serca łodzian, zwłaszcza łodzianek. Niewątpliwa w tym zasługa Miecia. Jako Andrzej Żański uraczył je powieściami odcinkowymi, tworzonymi na wzór tych dawnych, które zdobyły mu taką sławę w całym kraju. „Podaj mi dłoń", „Wróć, gdy będzie ci źle", „Oczy Krystyny", „Sygnał w ciemnościach"... — tytuły jego pierwszych po wojnie powieści z pewnością do dziś pamiętają nasze mamy i babcie. Powieści miały żelazną tematykę: społeczno-miłosno-obyczajową. Akcja obowiązkowo toczyła się w Łodzi — przed wojną, w czasie działań wojennych i tuż po wyzwoleniu. Kto w nich nie występował! Okupanci, fabrykanci, zaprzańcy wszelkiego autoramentu, robotnicy, urzędnicy. No i te kobiety! Wzdychań do nich nie tylko mężczyźni w powieści, ale i ci, którzy ją czytali. Kolejna powieść Miecia „Dancing Bar Erika" — to dzieje konspiracyjnej działalności patriotów łódzkich. Treść „Adolfa i Ewy" stanowił słynny romans wodza Trzeciej Rzeszy z Ewą Braun. Jagosz, choć nigdy nie widział podpalacza świata, dzięki swej wyobraźni plastycznie ukazał sylwetkę Hitlera i wybranki jego serca.

Z powieścią tą wiąże się przezabawna historia. Zapowiadając jej druk „Express" zawiadomił czytelników, że kanwą „Adolfa i Ewy" są autentyczne zwierzenia byłego dygnitarza hitlerowskiego, co oczywiście mijało się z prawdą. Jagosz, który nigdy nie upominał się o wyższe stawki, tym razem przemógł wrodzoną skromność i powiedział szefowi:

— Mam wspólnika do „Adolfa i Ewy", tego szwaba. Musze mu odpalać jego dolę, więc poproszę o podwyżkę.

Redaktor Bogusławski osłupiał. Po chwili wybuchnął śmiechem i... podniósł Mieciowi stawkę.

Powieści Jagosza miały od dwustu do trzystu odcinków. To najlepiej świadczy o ich poczytności i talencie twórcy. Jednakże człowiek jest tylko człowiekiem. Jak spamiętać wszystkich bohaterów i nie pomylić ich przypadkiem z personami występującymi w poprzednich powieściach? Albo, nie daj Boże, co zdarzyło się komuś przed wojną, ożywić nieboszczyka na łamach gazety? Maszynistka, której Miecio dyktował codzienne odcinki, zabezpieczyła autora przed wpadkami. Na ścianie, obok maszyny, powiesiła tablicę z nazwiskami występujących bohaterów. Przy uśmierconych — a trup padał gęsto — pieczołowicie stawiała czarne krzyżyki. No dobrze, ale co oznaczały owe czerwone serduszka ze strzałkami przy innych nazwiskach? To były romansujące ze sobą pary. Jeśli zaś pojawiał się, czy pojawiała, ten trzeci lub ta trzecia — przy serduszkach wykwitały dodatkowo trójkaciki.

Pomysł maszynistki okazał się szczególnie skuteczny w okresie, kiedy to Jagosz pisał jednocześnie trzy powieści! Dwie dla „Expressu", trzecia — dla konkurencyjnego „Echa" pt. „Jutro dowiemy się prawdy". Tę w „Echu" podpisywał: Mieczysław Syl. Był to skrót jednego z przedwojennych pseudonimów Jagoszewskiego — Mieczysław Sylwester. Redaktor Bogusławski sarkał na „odszczepieńca", wkrótce jednak puścił mu w niepamięć jego wyskok. Konkurencyjna popołudniówka, która pojawiła się na firmamencie łódzkim jak meteor, podobnie jak to ciało niebieskie tylko trochę poświeciła i zgasła.

Pisało się wtedy na papierze z rolek, resztówek po produkcji gazetowej. Jak utrafić właściwą wielkość odcinka? Niezrównana maszynistka zaznaczyła scyzorykiem na biurku trwałe wgłębienie: do tego miejsca, panie redaktorze, ma pan dyktować. Barbara Drzewińska napisała żartobliwą fraszkę: Jagosz nie tworzy na miarę Fidiasza, lecz... biurka. A biurko to spełniało dodatkowo funkcje podręcznej spiżarki Miecia, nie grzeszącego zbytnim zamiłowaniem do utrzymywania porządku. Przechowywał tam produkty żywnościowe, m.in. jajka i bardzo się dziwił, że tak szybko wysychają. Nie dostrzegał małych otworów, które dla kawału wywiercali szpilką Sergiusz Kłaczkow i Jerzy Stefko, wypijając zawartość tych wysoko kalorycznych produktów kurzych.

Gdy rozpoczął się okres socrealizmu, Andrzej Żański przerwał twórczość powieściową. Na brak zajęć jednak nie narzekał. Nadal pisał recenzje teatralne, z życia plastycznego Łodzi, artykuły wspomnieniowe. Miał też w gazecie codzienną nowelkę — własną lub tłumaczoną. A w przerwach między dyktowaniem na maszynę sięgał ochoczo do kieszeni, by wesprzeć doraźną pożyczką „potrzebowskich" kolegów. Był — i jak wieść gminna głosi — pozostał nadal bankierem redakcyjnym. Funkcja ta wielce go pasjonuje: przy udzielaniu bezprocentowych, przeważnie długoterminowych kredytów, stawia jeszcze kawę swym klientom. Mimo trapiących go chorób zachował energię i pogodę ducha. Po przejściu na emeryturę nie zrezygnował z pracy w „Dzienniku Łódzkim", a z młodymi kolegami dzieli się również doświadczeniem życiowym. Oto jedna z jego refleksji: „Czy wiesz, przyjacielu, jaka jest różnica między młodością a starością? Dawniej, gdy szedłem na randkę, wkładałem do kieszonki trzy prezerwatywy, a do ręki jeden kwiatek. Dzisiaj, niestety, na odwrót...".

Wacław Drozdowski — to drugi filar, na którym wspierała się popołudniówka. Przed wojną niedzielny „Express" zamieszczał całostronicowe, rysowane przez niego, przygody Wicka i Wacka, występujących jeszcze pod firmą Pat i Patachon. Redaktor Bogusławski zdecydował codziennie pokazywać w gazecie reaktywowanych bohaterów. Czteroobrazkowe paski filmu rysunkowego z tekstami Drozdowskiego „Express" eksponował na honorowym miejscu — u góry trzeciej stronicy. Do połowy grudnia 1946 r. Wicek i Wacek przeżywali swe przygody w okresie okupacji, potem autor przeniósł ich do powojennej Łodzi. Zmieniło się tło filmu i występujące osoby. Miejsce hitlerowców, kapów, zajęli nowi bohaterzy — p. p. Hipolit Szaberski, Paskarski, Sobek, a także pozytywni — Dozorca, Literat, Hipek....

Drozdowski ozdabiał winietami wszystkie powieści popołudniówki, pisał też od czasu do czasu wiersze polityczne. Któregoś dnia zjawił się w redakcji z pomysłem: Wicek i Wacek będą śpiewać stare, łódzkie piosenki. Dawał je do gazety z własnymi rysunkami i własnym komentarzem. A gdy zapas mu się wyczerpał, sam zaczął tworzyć teksty do znanych melodii. Mieliśmy z nim nie lada uciechę, bo uparcie zapewniał, że to oryginalne piosenki łódzkiego proletariatu. Biedny, niezapomniany Wacek! Przeżycia w obozach koncentracyjnych nadszarpnęły jego zdrowie. Nie sypiał nocami. Do świtu przesiadywał w fotelu pochłaniając zabójcze ilości kawy.

Gazeta pozostała wierna tradycji przedwojennego „Expressu" zachowując wszystkie zalety lekkiego, bulwarowego, w dobrym znaczeniu tego słowa, pisma. Naczelną zasadą było: niczego nie powtarzać po porannej prasie. Ani depesz PAP-a, ani lokalnych wiadomości. Nie zamieszczamy tasiemcowych sprawozdań, przemówień mężów stanu, urzędowych komunikatów. Biliśmy na głowę wszystkie dzienniki własnymi informacjami, barwnymi reportażami z miasta. Popołudniówkę wypełniała specyficzna dla owych czasów treść: usuwanie zniszczeń wojennych, uruchamianie zdewastowanych fabryk, do których nadchodziły pierwsze transporty bawełny i innych surowców ze Związku Radzieckiego, paczki UNRRA, kartkowe przydziały żywności i odzieży, wspomnienia z niedawnej ponurej przeszłości, rozprawianie się ze zbrodniarzami wojennymi i odszczepieńcami.

Sądy były przeciążone. Rozgrywał się epilog zbrodni z lat okupacji. Skrzypiała szubienica. Zawisł na niej osławiony Walter Pelzhausen, komendant i podpalacz obozu w Radogoszczu, gdzie przebywało 1500 więzionych Polaków. Razem z nim mocą wyroków sądowych haniebną śmierć na stryku znaleźli Stanisław Kaczyński, „blockleiter" z obozów w Halbau i Belsen, oraz Michał Głoba, białorusin, funkcjonariusz „Sicherheitsdienstu". Stanisław Weyer, b. nadkomisarz policji granatowej w Łodzi, za współpracę z hitlerowcami został skazany na 10 lat więzienia, a w kwietniu tegoż 1948 r. odbył się sensacyjny proces Stanisława Dowbora, dyrektora Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego w naszym mieście. Dyrektor OUL-u w ciągu dwóch lat swego urzędowania rozdzielał za łapówki powierzone jego pieczy mienie poniemieckie. Dostał 15 lat. Jaki tytuł dałem do tej wiadomości? Z OUL-u do ULA. Chęć popisania się efektownym nagłówkiem przesłaniała mi wszystko.

Natomiast nie stanął przed sądem morderca kasjera „Orbisu". Nie stanął, bo mimo energicznego śledztwa nie zdołano go wykryć. Filia „Orbisu" mieściła się wówczas przy ul. Piotrkowskiej 67, w lokalu zajmowanym dziś przez aptekę. Młody kasjer przyszedł tam w niedzielę rano. Nazajutrz znaleziono go uduszonego w zatrzaśniętej kasie pancernej. Poodkręcane wewnątrz śrubki świadczyły o dramatycznych zmaganiach w walce o życie. Na biurku leżały nietknięte paczki banknotów, nie brakowało żadnych walorów. Zemsta na tle politycznym? Porachunki osobiste? Trzydzieści z hakiem lat minęło, a makabryczną zbrodnię po dziś dzień okrywa gęsta zasłona tajemnicy...

Szata graficzna nowego „Expressu" też do złudzenia przypominała dawną popołudniówkę. Kolumny dzieliły się na cztery szerokie szpalty, co znakomicie ułatwiało czytanie, nie powodowało jak dzisiaj oczopląsów, gdy niemal każda waska linijka tekstu kończy się przeniesieniem wyrazu. O żadnym nonparelu mowy nie było. Atrakcyjne tytuły, składane dużą czcionką, przyciągały wzrok. Nawet poszczególne rubryki przejął „Express" od swego poprzednika. Powieść, nowelka, nasze rady, popularno-naukowe lub polityczne „michałki", porcja dowcipów, felieton i... akcje premiowe: letnia, jesienna... Wystarczyło codziennie wycinać numerowane kupony, nalepić je po miesiącu na arkuszu papieru, oddać w administracji — i już można się było ubiegać o rzeczowe nagrody w drodze losowania. Żywa krowa nie czekała jak przed wojną na zwycięzcę, zamiast niej oferowaliśmy czytelnikom tkaniny ubraniowe, kostiumy kąpielowe, pantofle, hamaki, plecaki, mandoliny i bezpłatne pobyty w domach wczasowych.

Kolejki oddających kupony ciągnęły się jak dziś po mięso czy rajstopy. Pewnego razu ludzie się zbuntowali: nie chcieli mnie wpuścić do redakcji. Nie pomogły tłumaczenia, że jestem dziennikarzem i autorem konkursu. „To stary spekulant, ja go dobrze znam! — wołała jakaś obywatelka — on wszystko wykupuje ze sklepów!". Dopiero przy pomocy woźnego i gońca udało mi się przez okno na parterze dotrzeć do mego biurka.

Monotonne naklejanie kuponów opatrzyło się czytelnikom. Wymyśliłem atrakcyjniejszą rozrywkę. Do powieści Jagosza „Wróć, gdy będzie ci źle"... wpuściłem „złote rybki", słowa, czytające się jednakowo wprost i wspak, jak np. zaraz, potop, radar. Czytelnicy zamienili się w wędkarzy. Kto wyłapał najwięcej „rybek" ubiegał się o nagrody od tysiąca do pięciu tysięcy złotych (w starej walucie). To już było coś. Ludzie czytali odcinki powieści, po kilka, kilkanaście razy. Niektórzy mogliby je recytować z pamięci. Czy jakikolwiek autor marzył kiedyś o takim sukcesie?

„Express", jak i inne gazety, wychodził siedem razy w tygodniu. Początkowo w objętości czterech i sześciu stron, potem ósemkami. A ponieważ nie byliśmy obciążeni oficjalnymi tekstami, zamieszczaliśmy mnóstwo materiału i ludzie mieli co czytać.

Nieliczna była wówczas nasza redakcja. Dział miejski obsługiwały bodaj trzy osoby: przystojna i dostojna pani Krystyna Boergerowa, która pisała jeszcze felietony pod kryptonimem „Krab" i prowadziła dział „Nasze rady", niezmordowany, płodny Feliks Bąbol, oraz Kazio Zaleyski. Po sądach biegała żona Kazia — Maryla. Urocza dziewczęca Hania Kirst, córka sędziego, późniejsza pani Golde, również pisała sprawozdania z sądów, dostarczała wiadomości z MO, Pogotowia, prokuratury. Podkochiwaliśmy się w niej skrycie, ona uparcie ignorowała nasze umizgi darząc uczuciem Tolka Kobylińskiego, fotoreportera. To on zainicjował na łamach „Odgłosów" akcję „Ładne dziewczęta na plan".

Sportem zajmował się Kazimierz Gryżewski, znany filatelista. Gdy rozpoczynałem pracę w „Expressie", pan Kazimierz przenosił się do Warszawy. Jego miejsce zajął inny Kazimierz — Rozmysłowicz, związany z Izbą Rzemieślniczą. Jednoosobowy dział znakomicie dawał sobie radę. Kazio Rozmysłowicz sam chodził na mecze, sam przyjmował telefonicznie relacje od kolegów z innych miast i sam wypełniał całe kolumny sportowe.

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku, drugiego tomu książki pt. „Reporter przed konfesjonałem czyli jak się po wojnie robiło gazetę".

Corrida w Helenowie

Na początku XX wieku możliwości rozrywek w Łodzi były znacznie mniejsze niż dzisiaj, ale mimo to i wtedy nie brakło różnych uciech i przyjemności. Zwłaszcza niedziele i święta dawały sposobność do wypoczynku i specjalnych rozrywek.

Szczególnym powodzeniem cieszyły się letnie zabawy ogrodowe, organizowane przez stowarzyszenia śpiewacze, cechy rzemieślnicze i związki zawodowe. Imprezy te odbywały się w Helenowie, Źródliskach, Paradyzie, Leśniczówce i wielu innych parkach i ogrodach. Każdy ogród podczas zabawy był iluminowany chińskimi lampionami. Zabawy ogrodowe urozmaicały występy teatrów amatorskich, chórów i orkiestr. Dodatkowymi atrakcjami były wyścigi w workach, poczta francuska, loteria fantowa, puszczanie balonów, pokaz ogni sztucznych itp.

Organizatorzy zabaw ogrodowych zapewniali swoim członkom i ich rodzinom oprócz rozrywki kilkugodzinny pobyt na świeżym powietrzu. Niezależnie od tego instytucje, organizujące wspomniane zabawy, osiągały z tych imprez dochody, zasilające ich kasy. Z tego źródła wpływały dziesiątki, setki, a niekiedy tysiące rubli.

Z czasem namnożyło się tyle zabaw ogrodowych, że przestały one być atrakcją dla łodzian i dość często zamiast dochodu przynosiły straty. Organizatorzy tych imprez wysilali więc całą swoją pomysłowość, ażeby ułożyć całkiem nowy program zabawy, który ściągnie liczne tłumy. W pomysłach wyróżniało się Stowarzyszenie Komiwojażerów, aranżujące swoje imprezy z dużym rozmachem. Zorganizowało ono zabawy ogrodowe: Noc nad Bosforem, Zabawa neapolitańska, Święto w Sewilli i inne, przenoszące wyobraźnię uczestników w odległe epoki i kraje.

Wszystkie wspomniane zabawy odbywały się w Helenowie (obecnie park im. 19 Stycznia). W zależności od tematu imprezy zmieniano otoczenie. 50-osobowa orkiestra mandolinistów i gitarzystów pod dyrekcją Wacława Korotkiewicza grała na swoich instrumentach, stosownie do okoliczności przebrana za Turków, Rzymian, czy Neapolitańczyków. W czasie „Zabawy neapolitańskiej" grano włoskie melodie, w ogrodowej restauracji podawano potrawy przyrządzone na sposób włoski, po stawie pływały łódki z wioślarzami w strojach gondolierów. Oczywiście, było i „corso kwiatowe". Podczas zabawy „W krainie ognia czyli uczta z czasów rzymskich" odbył się pochód Nerona, tańce klasyczne i na koniec pożar Rzymu.

Nie lada sensację wywołała w Łodzi zabawa komiwojażerów pod zawołaniem „Święto w Sewilli". Wystąpił wtedy niezastąpiony zespół muzyczny Korotkiewicza w strojach hiszpańskich, balet hiszpański z kastanietami, odbyło się „corso kwiatowe". Jednakże główną atrakcją, która ściągnęła do Helenowa kilka tysięcy osób, była szeroko rozreklamowana na afiszach w miejscowych gazetach „prawdziwa hiszpańska" walka byków z udziałem pieszych i konnych torreadorów i picadorów.

O imprezie tej reporter „Nowego Kuriera Łódzkiego" pisał następująco: „Poczciwe rogate zwierzęta zupełnie zawiodły (...) Nie tylko nie rwały się do przelewania krwi harcujących na koniach picadorów i machających płachtami torreadorów, ale nawet z miejsca ruszyć się nie chciały. Co przyskoczy torreador, to byk machnie ogonem i dalej trawę skubie".

Prawdziwej „corridy hiszpańskiej" nie było na tej zabawie. Walka torreadorów z bykami trwała zaledwie 20 minut. Publiczność była mocno zawiedziona i wygwizdała to nieudane widowisko. Zagadka dziwnego zachowania się zwierząt została wkrótce wyjaśniona. Torreadorzy w obawie byczych rogów przez tydzień głodowali biedne zwierzęta, aż jeden byk padł w przeddzień zabawy, pozostałe zaś dwa z osłabienia ruszać się wcale nie mogły.

Gazety łódzkie surowo oceniły nieudany pomysł Stowarzyszenia Komiwojażerów. Organizatorzy „Święta Sewilli" nie przejęli się krytyką prasową, gdyż impreza ta przyniosła Stowarzyszeniu niebagatelny dochód w wysokości ponad 4700 rubli.

Zupełnie dobrze wypadła zabawa, urządzona w Helenowie przez zarząd łódzkiej straży ogniowej ochotniczej z okazji XXXV-lecia działalności tej wielce dla Łodzi zasłużonej instytucji. Na płycie cyklodromu helenowskiego zbudowano osadę japońską z pagodą. Czterysta „gejsz" obsługiwało licznie zgromadzoną na festynie publiczność. Każdy uczestnik zabawy miał wpiętą w klapę marynarki chryzantemę.

Atrakcje festynu strażackiego zapoczątkowało „corso kwiatowe". Główna aleja parku sunęły sznurem błyszczące, lakierowane landa, modne, wysokie amerykany, eleganckie karety — wszystkie przyozdobione girlandami kwiatów — a w nich stroine panie w wielkich kapeluszach ze strusimi piórami. Wyróżniające się pojazdy nagradzano rzęsistymi brawami. Publiczność spacerowała po aleikach parkowych obrzucając się kwiatami, bibułkowymi serpentynami i kolorowymi płateczkami „confetti". Spacery umilała orkiestra strażacka.

Gdy zapadł wieczór, na wieży japońskiej wystawionej na cyklodromie ukazały się płomienie. Znajdujące się na najwyższym piętrze budowli powabne gejsze poczęły wzywać pomocy. Wkrótce nadjechała straż pożarna. Strażacy rozwinęli akcję ratunkową, wynosili gejsze z ognia, gasili pożar, a publiczność nagradzała ich gorącymi brawami. Po ugaszeniu ognia zainscenizowano barwny pochód. Na czele kroczyła orkiestra, za nią straż ogniowa z pochodniami, marynarze z chorągwiami japońskimi, dalej gejsze i tysiące uczestników zabawy.

Na zakończenie festynu odbył się pokaz sztucznych ogni, który zachwycił publiczność zgromadzoną w Helenowie. Strzelały w granatowe niebo rakiety z deszczem ognistym, z wirującą z gwiazdą wężami powietrznymi i kwiatową fontanną. Wreszcie wystrzał armatni oznajmił, że to już koniec zabawy, że czas podstawić wagony tramwajowe pod bramę parku helenowskiego.

WACŁAW PAWLAK

Parabolec, czyli wina żywot smętny

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Spoceni, zgrzani, purpurowi z wysiłku z trudem przeciskają się przez tłum szturmujący wejście do sklepu. A tłum to zbity, nieustępliwy, rozgorączkowany, bo przywieźli WINO!!! Dwaj zarośnięci młodzieńcy ostro pracują więc łokciami, by przypadkiem nie upuścić drogocennych butli chronionych oburącz, by ktoś jeszcze bardziej spragniony nie wyciągnął zielonkawej szyjki z kieszeni kurtki...

Droga, na szczęście, nie tak znów daleka; w pobliskiej bramie przytupuje zacierając ręce jeszcze dwóch. Czekać nie ma na co: cześć butelek stoi grzecznie przy nodze, jedna wprawnie „odbita", jednym uderzeniem w dno, już krąży w kółeczko, spłukując spragnione gardła złotawym płynem. Sprawiedliwie, pod palec...

— Panowie, da się to pić? — Spoglądają po sobie, zdziwieni niecodziennym pytaniem. — No, jak to smakuje? — nie ustępuję. — No, jak to bełt, co tu gadać — bąka jeden, zaciągając się „klubowcem". — Kochany, słodkie, ciepłe, śmierdzi siarką na odległość — wtrąca ten rozmowniejszy w głębi; fatalne, normalny „parabolec", mnie zawsze łeb boli... — Ale pijecie, nie powiem — ze smakiem — ripostuję. — Kto? My? — oburza się dwóch jednocześnie. — A widzisz pan inne wyjście? „palniemy" po łyku, nie więcej; mnie to formalnie „mgli', ale co robić... — w trakcie krótkiego monologu zachrypnięty jednym palnięciem oswobodził z korka drugą butelkę — zrobimy „na drugą nóżkę" i lecimy w kolejkę; z dziesięciu „babcia" zrobi dopiero niezłą wódeczkę...

— Da się to pić? — powtarzam godzinę później pytanie w gabinecie zastępcy kierownika do spraw technicznych Łódzkiej Wytwórni Win, wskazując na wystawione w gablocie „reklamówki" — „Bałuckie", „Szlacheckie", „Wino", „Karawela". — Dlaczego nie? — odpowiada pytaniem Marek Kalinowski; — powiedzmy jednak wyraźnie — lekko wychłodzone, szklaneczkę, dwie, no i raczej nie duszkiem w bramie... Nasza „Karawela" jest naprawdę smaczna, (zdobywała zresztą wiele medali i dyplomów na różnych wystawach) i zakładając, że ktoś lubi słodkie wino deserowe z agrestu mogę ją tylko polecać...

Okres największej prosperity łódzka wytwórnia przeżywała dość dawno, bodaj z 15 lat temu. Była wówczas samodzielną jednostką (dziś stanowi jeden z trzech oddziałów łowickich Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywnego), rozlewano tu także importowane wina gronowe, a przede wszystkim nie było kłopotów z surowcem krajowym. Z czasem tą rolę przejęły Centralne Piwnice Win Importowanych, które nawiasem mówiąc nie bardzo mają obecnie co z importu rozlewać, a zakład przy ulicy Przybyszewskiego coraz bardziej — przepraszam — „spuszczał z tonu".

Nawiasem mówiąc, tego typu wytwórnie zawsze były i są traktowane po macoszemu, liczyły się tylko miliony wyprodukowanych litrów, a przez 37 lat nie dopracowaliśmy się choćby przyzwoitej, przemysłowej odmiany jabłka. Szereg błędnych decyzji, jak choćby praktyczny brak kontroli nad bardzo ważnym procesem wytłaczania owoców czy przymusowe alkoholizowanie win (o czym szerzej za chwilę) sprawiło, że dziś jakość dostępnego na rynku wina jest, oględnie mówiąc, nie najlepsza. A że określenie „kultura picia" znane jest wielu rodakom wyłącznie ze słowników wyrazów obych, więc tzw. opinia publiczna także torpedowała wręcz niektóre pomysły rodem z łódzkiej wytwórni. Tu m. in. wyprodukowano po raz pierwszy bodaj w 1973 roku słynny na cały kraj „Nowin Perlisty" — rozcieńczone łokoło 6 proc. zawartości alkoholu), dosładzane, gazowane winko, które największym wzięciem cieszyło się w... szkołach. Srogo później mścił się drobny z pozoru błąd „w sztuce", jakim było rozlewanie tegoż napoju w butelki o pojemności 0,33 litra.

„Nowin" kosztował raptem chyba 10 złotych, w czasie dużej przerwy w szkole można go było spokojnie, pod pozorem spożywania „Mandarynki" wysączyć, toteż szybko na wytwórcę posypały się gromy za perfidne rozpijanie naszej drogiej młodzieży...

„Śmierdzi siarką" — orzekli moi interlokutorzy z bramy. I coś w tym musi być, bo jeśli już nawet w telewizji (bądź co bądź poważna instytucja) zwie się prozaicznego „patyka" wręcz wyrafinowanie „siarkowaną wodą ognistą", to sprawa zakrawa — wydawałoby się — na kolejną aferę.

— Zaraz, zaraz, nie ekscytujmy się zanadto tym „es o dwa" — przerywa spokojnie Kalinowski. — Ale musimy już wkroczyć w tajniki podstaw technologii, bo za chwilę pan napisze, że trujemy ludzi...

— Surowcem podstawowym jest dla nas moszcz owocowy, czyli sok — tłumaczy cierpliwie. — Przede wszystkim jabłkowy, truskawkowy, agrestowy; taka śliwka czy porzeczka od dawna jest rarytasem. Nietrwały to produkt (truskawka choćby), a wiadomo w jakim stanie trafia często do spółdzielczych czy PGR-owskich tłoczni: poobijany, gorszy sort, często wręcz pleśniejący. Ale cóż: winiarze muszą połknąć wszystko. Tylko powiedzmy sobie otwarcie: niezależnie od jakości surowca, jeśli w ciągu dwóch dni od wytłoczenia nie użyje się moszczu do produkcji, to trzeba go zakonserwować, czyli właśnie nasycić dwutlenkiem siarki. W domowej produkcji może pan sobie na takie tempo pozwolić, ale w przemyśle? Gdy sezon tłoczenia trwa 3 letnie miesiące? Poza tym literatura winiarska wręcz zaleca siarkowanie moszczu; bez tej operacji wino traci smak, kolor, mogą „ruszyć" procesy utleniające, z tzw. bukietu nic nie pozostaje. Wspomnianego dwutlenku używa się na całym świecie i jakoś nikomu nic nie „śmierdzi", ale też bardzo ważna jest inna późniejsza faza produkcji — odsiarkowanie czyli desulfitacja. Zanim choć ogólnie powiem jak się to robi, niech pan wyraźnie napisze, że i po tej operacji pewien minimalny procent siarki (tzw. śladowe wartości) pozostaje w winie. Bo musi pozostać. By „utrzymać" kolor, smak, klarowność, trwałość. Polska norma mówi o 200 miligramach na litr, my pozostawiamy około 100, a wkrótce (zaraz pokażę nasz wynalazek w tej dziedzinie...) „zejdziemy" do ilości 20 miligramów. Niech się pan nie da nabrać, że ktoś poczuł w naszym winie siarkę, w słodkim w ogóle jest ona niewyczuwalna, w wytrawnym nawet dobry kiper nie zawsze się zorientuje. A my produkujemy tylko słodkie i bardzo słodkie...

— Aha, dwa słowa o tej desulfitacji. Można siarkę „strącić" przy pomocy wody utlenionej i niektóre z bodaj ponad 50 winiarni „z klucza" w kraju tę metodę praktykują, choć dochodzi później sporo dodatkowych, uciążliwych czynności. My pozbywamy się jej przez odparowanie w temperaturze 50—70 st. C. Nowoczesne zakłady, jak choćby w Jaśle, korzystają m. in. z włoskich desulfitatorów, odparowujących nieszczęsną siarkę w jeszcze wyższych temperaturach. Niezbyt to korzystne — tak na marginesie — występuje wtedy karmelizowanie cukru, wino ma posmak klasycznej Madery. No, coś takiego podobnego do „przepalanki"... Jeśli ma to być wino typu Madera, to w porządku, ale przy innych — ten fakt przeszkadza. Takie urządzenie kosztuje, bagatela, ponad 2,2 mln złotych. My, wspólnie z Zakładami Przemysłu Precyzyjnego opracowaliśmy podobny, którego koszt, nawet uwzględniając drogie blachy molibdenowe, zamknie się sumą 500 tysięcy złotych. Nie ma co na razie mówić o szczegółach, nasz desulfitator przechodzi dopiero pierwsze próby, ale to będzie „bomba" w krajowym przemyśle winiarskim.

— Co się dzieje z siarką? Krótko: we wspomnianym urządzeniu rozpylony moszcz spływa na dno, a dwutlenek się ulatnia. Nie, nie do atmosfery, wyginęły by wszystkie drzewa wokół wytwórni, a jak pan widział, prezentują się zdrowo. Związek tłoczony jest po prostu w tzw. mleczko wapienne, gdzie siarka wiąże się z wapnem, stając się substancją neutralną, nieszkodliwą. Za dużo chemii? Ale sprawę siarki wyjaśniliśmy chyba dostatecznie?...

Wybieramy się na krótką przechodzkę po wytwórni. Teren niewielki, niecały hektar, ale charakterystyczny, winny zapaszek odczuwalny jest w każdym zakątku. W niektórych pomieszczeniach woń „zacieru", ale i pechowego dwutlenku wprost bije w nozdrza. Oglądam potężne zbiorniki z zakonserwowanym moszczem; w tej utajonej formie nie traci on nic ze swych wartości nawet przez rok. Obok słynnego już desulfitatora — fermentownia. Tu m. in. moszcz jest rozcieńczany, w zależności od receptury: te bardziej rozcieńczane to głównie porzeczka i agrest. Tu dodaje się cukier oraz tzw. matkę drożdżową. Zbiorniczki — spore — po 14—15 tysięcy litrów. Każdy „łyknął" swoją porcję cukru (przeciętnie 200 kg na 1 tys. litrów) i teraz przyszłe wino przez 4—5 tygodni nabiera mocy. Średnio te 12—13 „gradusów". Obok — nie mniej potężne pomieszczenia leżakowni. Tu młode „Bałuckie" czy „Faworytka", przepompowane znad warstwy osadu, jeszcze fermentuje, „dochodzi", samoczynnie się klaruje. I od razu rozwiewa się kolejny mit: „panie, gdyby ten „jabcok" trochę poleżakował, to byłby całkiem, całkiem...". Otóż leżakuje — nawet do 4 miesięcy (porzeczkowe, agrestowe), a czarna porzeczka jeszcze dłużej. Tylko jabłkowe wspaniałości nie oczekują tu dłużej niż miesiąc, później po prostu gorzknieją.

W wąskim, przesyconym tak ulubionym przez amatorów przefermentowanych owoców zapachem korytarzu spotykamy Ewę Schmidt — kierownika wydziału produkcji win i moszczów

— Nie, nieprawda, wcale nie musiałabym mieć jabłek rodem z Francji, wystarczyłaby mi świeża, soczysta, rodzima „antonówka" i kontrola wytwórni nad procesem tłoczenia soku — broni się pani Ewa przed moimi przycinkami na temat jakości „bełta". — Ale fakt, byłby to zupełnie innej jakości napój...

— Chce pan napisać o alkoholizacji win? Cóż, to wstydliwa sprawa i w każdym winiarzu z prawdziwego zdarzenia burzy się krew na myśl o takich „sztuczkach". Ale byliśmy przez wiele lat, chyba od 1972 roku poczynając, wprost zmuszani do stosowania tej „metody". Po prostu cukier zastępowało się alkoholem. Opuszczano praktycznie etap prawdziwej fermentacji: po 2—3 dniach „pracy" drożdży dodawało się spirytusu (nawet do 10 procent!). Proces fermentacji był sztucznie skrócony, ale jakość wyrobu była fatalna — ni to wino, ni wódka. Rynek — jak twierdzono nam ciągle — potrzebował coraz większych „zastrzyków" choćby kiepskiej jakości wina, a zaoszczędzony cukier wędrował na eksport...

— Nic też dziwnego — wtrąca Kalinowski — że wytwórnia wypuszczała rocznie ponad 6,5 miliona litrów wina. Dziś produkujemy tylko 3,2 mln litrów. Mówię „dziś", bowiem na szczęście, przestaliśmy stosować alkoholizację w styczniu tego roku. Ale jaka to ironia „losu": w latach minionych nasze prośby, monity, tłumaczenia na każdym dostępnym forum były przysłowiowym wołaniem na puszczy. Decyzje odgórne były inne, z głosem zawodowych winiarzy nikt się nie liczył. A teraz tego, o co walczyliśmy przez tyle lat... zabroniono nam na mocy nakazu ministra. Mamy korzystać wyłącznie z metody tradycyjnej, w oparciu o cukier, ale dla odmiany zaleca się stosowanie niekonserwowanych moszczów. Ten z kolei wariant, jak panu tłumaczyłem, jest w praktyce niemożliwy do wykonania. Gdybym nie korzystał z siarkowania mogłoby nawet dojść (odmoszcz zacząłby sam fermentować, tyle że w niepożądanym „kierunku"...
„kierunku".

Po zakończeniu leżakowania, dodatkowych filtracjach, następuje faza tzw. kupażowania. Bardzo ważna, bowiem decyduje ona o konkretnym już smaku, „charakterze" wina. Tu już w grę wchodzą szczegółowe receptury, wina się miesza w różnych proporcjach, dodaje mniej lub więcej cukru, by otrzymać ileś tam już w handlowym znaczeniu gatunków. Ale najpierw, po owym skupażowaniu produkt musi się „przegryźć" (tfu — chciałem powiedzieć: nabrać swojego „bukietu"). Trwa ta faza zwykle około 2 tygodni i dopiero wówczas „bełt" w temperaturze ok. 50 st. C. rozlewany jest w butelki, te się z kolei korkuje (chyba, że zabraknie i mamy tylko kapsle), nakleja właściwe etykiety i wreszcie oddaje w ręce handlowcom.

— Twierdzę, a podobnego zdania są koledzy z innych wytwórni, że moglibyśmy robić naprawdę dobre wina — rozmarza się pani Ewa — ale oprócz wspomnianych spraw związanych z surowcem, własnymi tłoczniami, niezmiernie istotny jest problem specjalizacji. Nie „szaleć" z produkcją kilkunastu gatunków, ale doprowadzić 2—3 do perfekcji i tylko te produkować. No tak, ale codzienność „studzi" nas dość szybko: surowiec jest różnej jakości, jak nie ma jednego, to trzeb rzystać taki, jaki dostarczą. Generalnie zaś należałoby skończyć z traktowaniem winiarstwa, delikatnie mówiąc „po macoszemu" i uznając nas za oddział przetwórni owocowo-warzywnych wymagać jedynie smacznego, wysokiej jakości wyrobu.

Jeśli interesuje cię drogi Czytelniku, jakie markowe wina produkowane są aktualnie w zakładzie przy ul. Przybyszewskiego — służę wykazem: „Karawela" (agrestowe, b. słodkie), „Sybilla" (śliwkowe, maderyzowane). „Karnawałowe" (truskawki plus jabłka), „Bałuckie" (zamiast truskawek — porzeczki), „Orlik" (dodatkowo trochę tarniny), „Triumf" (jabłko z czarną porzeczką), „Szlacheckie" (maderyzowane, jabłkowe) i „Faworytka" (truskawki, porzeczki, jabłka). Wszystkie powstają w oparciu o receptury rodem z łódzkiej wytwórni i warto dodać, że jeszcze 9 innych receptur firma ma „w rezerwie". Nie tak dawno w przepastnych tankach leżakował „Flisak", ale skąd dziś wziąć odpowiednie ilości dzikiej róży, która była podstawowym surowcem; na „lekarstwo" jest także wiśni, toteż zaprzestano m. in. produkcji „Mistrela", który na niej bazował.

Są to wszystko wina deserowe, słodkie lub bardzo słodkie. Dlaczego nie trafiają się zupełnie na rynku wina pół- i wytrawne? Czyżby nie było na nie amatorów? Pomijając już tradycję picia wina, która dla przeciętnego rodaka także jest określeniem nieznanym — rzeczywiście „nie idą" wina bardziej wytrawne. Być może jedną z przyczyn jest fakt, że słodkie zawierają średnio 5—6 procent więcej alkoholu. Nie da się także ukryć, że w przypadku win wytrawnych jakiekolwiek niedokładności w procesie technologicznym odbijają się natychmiast w sposób odczuwalny na jakości wyrobu, a w przypadku słodkich — cukier kryje smak. Ale coś w tym jest: przed reglamentacją, bo dziś rynek jest zupełnie nietypowy, słodkie „bełty" znikały z półek błyskawicznie, a te bardziej cierpkie „robiły" miesiącami za dekorację.

Częsty bywalec sklepów cukierniczych zauważy natychmiast że nie wspomnieliśmy o słynnym, łódzkim winie „Kordiał". Bo też nie jest to wino, a napój alkoholowy. Przy jego produkcji wykorzystuje się syrop ziemniaczany, a receptury opracowane zostały w czasach owocowego krachu. Winiarze sami twierdzą, że nie jest „Kordiał" szczytem ich możliwości i powodu do dumy specjalnego nie stanowi; taki „byle jaki sikacz". Ale zapasy syropu w wytwórniach są tak duże, że grzechem byłoby je marnować i dla przykładu łódzki zakład zasilał będzie rynek w ten „specyfik" do czerwca tego roku włącznie. Tak więc wiele mniej wymagających gardeł jeszcze przez parę tygodni na swój ulubiony „biały, jabłkowy łagodny" może liczyć.

We wspomnianej leżakowni zwróciłem uwagę na potężne, dębowe beczki — tzw. kufy, zawierające po 5—6 tys. litrów produkcji. To już niemal relikt dobrych winiarskich czasów. Dziś na skalę przemysłową używa się głównie stalowych tanków z wykładziną z żywic epoksydowych. Rzecz jasna, wino traci w nich wiele ze swych walorów, toteż przeprowadzać trzeba sporo dodatkowych procesów, m. in. napowietrzania (w drewnie wino — jak mówią — samo „oddycha"), by jak najmniej uronić z „bukietu". Dębowe kufy, nieodporne na wysoką temperaturę, wykorzystuje się jeszcze trochę do leżakowania i do maderyzacji niektórych gatunków win. W trakcie tej ostatniej operacji do stalowych, współczesnych pojemników wsypuje się bowiem dębowe wiórki, pochodzące właśnie z niepotrzebnych już beczek.

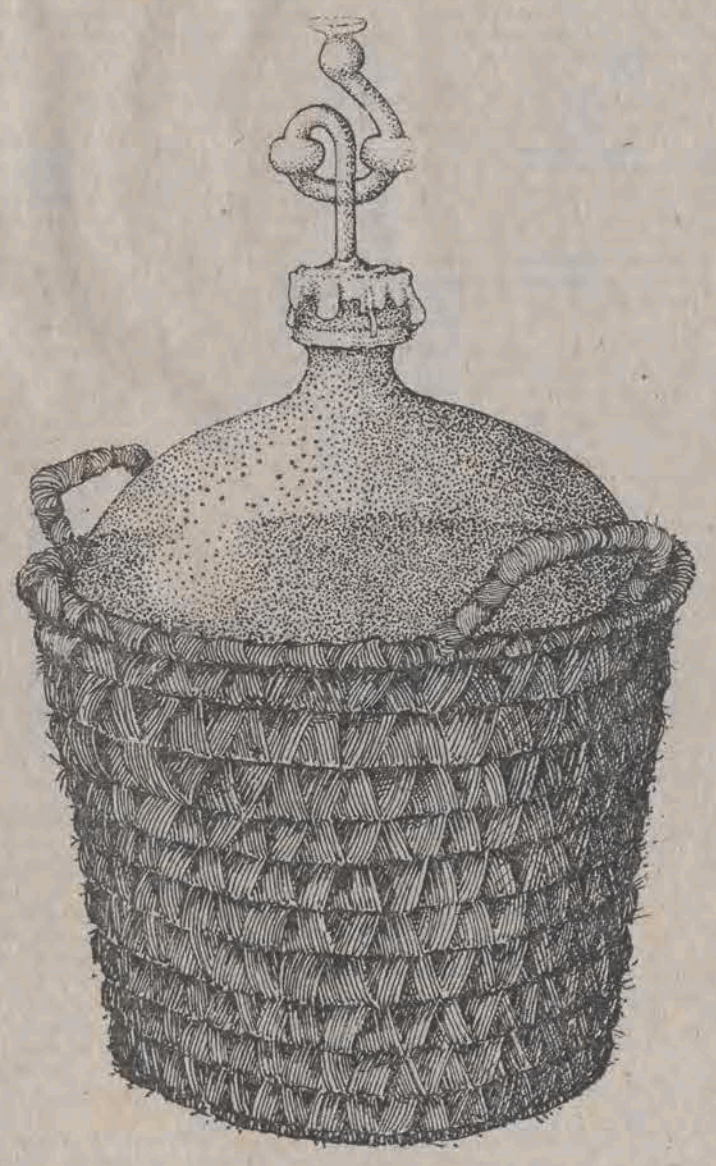

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Na zakończenie wizyty w łódzkiej wytwórni zaproponowałem moim rozmówcom mały ukłon w stronę amatorów smacznego wina, czyli podanie prostego przepisu, który wykorzystać można w domowych warunkach. A więc proszę o kartkę papieru, ołówek: podajemy przepis na wino „w stylu babci".

— Weź 14 kilogramów jabłek, najlepiej antonówek lub innych — winnych, kwaskowych, nie bardzo dojrzałych, jeszcze zielonkawych, soczystych. Całość przekręć przez maszynkę lub wrzuć do sokowirówki — otrzymasz około 10 litrów jabłkowego soku. Teraz musisz wszystko dosłodzić w proporcji 20—25 dekagramów cukru na 1 litr soku i dodać jeszcze ze 2 litry wody. Kup też drożdże winiarskie (najlepiej „Malaga"), które zgodnie z instrukcją rozrobisz z ciepłą wodą i cukrem. Ale po kolei.

— Najpierw do moszczu dodaj rozrobione drożdże z połową cukru, bez wody (cukier rozpuść w moszczu na ciepło, ostudź i dolej). Po dwóch dniach, gdy zacznie się robić piana, znak, że wino „pracuje", w tych dwóch litrach wody rozpuść drugą połowę cukru i dolej także. Pamiętaj: balon ma być czysty, wyparzony, inne naczynia — także; to bardzo ważne. Po tym pierwszym zalaniu balon zatkaj watą, po drugim — porządnym korkiem ze szklaną rurką. Do rurki nalej wody, a balon trzymaj w temperaturze pokojowej, do 20 st. C. Gdy piana będzie „gasnąć" — przetocz balon do piwnicy, gdzie będzie chłodniej. I czekaj. Minie miesiąc. Gdy zobaczysz, że drożdże opadły, w balonie gruby osad — wino szybko zlej do drugiego balona, rurką miękką, by osadu nie ruszyć. Znów drugi balon zatkaj korkiem z rurką, jeszcze może fermentować. Gdyby był osad — operację całą z przelewaniem jeszcze raz powtórz. Teraz balon szczelnie zaczopuj, wino będzie się klarować. A za parę dni już możesz degustować. Wolisz półsłodkie — dodaj 30 gramów cukru na litr, chcesz słodkie — rozpuść 60 gram, przy 100 gramach — otrzymasz bardzo słodkie...

Opuszczam skromne pomieszczenia Łódzkiej Wytwórni Win, gdzie niemal wszędzie unosi się specyficzny zapaszek ni to bimbru, ni zacieru z domieszką siarki. Tak, przyszłość winiarskiego przemysłu nie rysuje się zbyt różowo. Surowiec kiepski, cudze tłocznie, a na wygłodzonym (raczej spragnionym) rynku przybywa amatorów „Kordiału". Może są i tacy, co w nim gustują, choć raczej w myśl zasady: „na bezrybiu..." Czy wrócą jeszcze czasy, kiedy polskie wina owocowe z powodzeniem eksportowaliśmy; i na Węgry i do Chicago (doskonałe „Zamkowe" rodem z Łodzi!). Czyżby im dziś „Faworytka" niezbyt smakowała?...

WACŁAW OPACKI

Zycie na Stoku

(2)

20 kwietnia bm. przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi zakończył się proces Krzysztofa Sołtysiaka, który dzięki sadyzmowi i okrucieństwu z jakimi atakował swoje młode ofiary, dzieci również, zyskał w opinii publicznej miano „wampira". Sąd — prócz młodego wieku oskarżonego, nie znalazł żadnych okoliczności łagodzących. W ostatnim słowie oskarżony nie chciał bądź nie umiał powiedzieć dlaczego popełniał tak okrutne zbrodnie, zaś biegli psychiatrzy uznali jego pełną poczytalność umysłową. Uwzględniając te okoliczności Sąd Wojewódzki w Łodzi skazał Krzysztofa Sołtysiaka na karę śmierci, oraz pozbawienie praw publicznych na zawsze. Wyrok może być zaskarżony do Sądu Najwyższego.
W cyklu reportaży autor kreśli sylwetkę „wampira" oraz przedstawia przebieg śledztwa prowadzonego w tej wstrząsającej sprawie.

Nazywam się Krzysztof Sołtysiak i urodziłem się 28 lutego 1962 roku w Łodzi...". Tak rozpoczął w dniu 17 września 1980 roku o godz. 22 swoje pierwsze po aresztowaniu, zeznanie przed Henrykiem Grossmanem, oficerem Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi Potem w szczegółach opisał dzień po dniu ostatni miesiąc swojego życia:

— Od 1 sierpnia 1980 r. do 15 sierpnia 1980 roku otrzymałem przepustkę z prawem przebywania w domu u rodziców w Łodzi. W dniu 2 sierpnia 1980 r. w nocy przyjechałem pociągiem do Łodzi. Z dworca Łódź-Kaliska do domu przyszedłem pieszo, gdyż nie chodziły tramwaje i na taksówkę nie miałem pieniędzy. W mieszkaniu zastałem rodziców oraz rodzeństwo. W ciągu dwóch tygodni pobytu w Łodzi przebywałem cały czas w domu. Nigdzie poza Łódź nie wyjeżdżałem. Czasem wychodziłem z domu z rodzicami, bądź sam, ale zawsze wracałem przed godziną 21. 16 sierpnia miałem odjechać do Laskowca, nie miałem jednak chęci tam wracać. Matka podobno próbowała przedłużyć mi w Łodzi pobyt, lecz to jej się nie udało. Na dworzec odprowadzili mnie rodzice i około 22 wsiadłem do pociągu na stacji Łódź-Fabryczna. W Ostrołęce byłem dnia następnego. Nie pojechałem jednak do zakładu. Postanowiłem wrócić do Łodzi. Tego samego dnia wsiadłem do pociągu i wróciłem do Łodzi. Pieniądze na podróż miałem od rodziców. W Łodzi byłem w poniedziałek czyli 18 sierpnia ok. 2 w nocy. Nie poszedłem do domu, lecz spałem na klatce schodowej niedaleko Dworca Fabrycznego. Rano wsiadłem w tramwaj i pojechałem na Stawy Stefańskiego, by się wykąpać. Przebywałem tam aż do zmroku. Noc spędziłem w bloku na klatce schodowej przy ulicy Gagarina. Następnego dnia pojechałem na Stawy, gdzie spotkałem kuzynkę, która mieszka w Łodzi.

Miałem wówczas z sobą torbę z ubraniem: spodnie, koszulę, podkoszulek i skarpetki. Ubrany byłem w spodnie marki „Komes" białą koszulę i niebieską kamizelkę z teksasu bez rękawów. Na nogach miałem półbuty.

Powiedziałem jej o powrocie z Laskowca i zapytałem czy zgodzi się na przenocowanie mnie. Kuzynka przytaknęła. Mieszkałem u niej około tygodnia czasu. Obiady dawała kuzynka, choć miałem jeszcze swoje pieniądze. Prawie przez cały czas przebywałem u nich w domu i nigdzie nie chodziłem. Raz tylko nie wróciłem na noc...

Po prostu nie chciało mu się wracać do domu. Poszedł spać do bloku przy ulicy Gagarina. Zbudził się w nocy i wyszedł z bloku. Tam zobaczył stojący zielony motorower „Romet", który był przykryty plandeką, pod którą leżała marynarka. Motorower wraz z marynarką zabrał i pojechał do kuzynki. Powiedział jej o kradzieży. Ona nic na to mu nie powiedziała. Motorower zostawił jej mężowi.

Obok mieszkania kuzynki na śmietniku znalazł parę męskich kozaków, które na niego były dobre. Zabrał je, a swoje wyrzucił, gdyż się rozlatywały. Z mieszkania kuzynki zabrał spodnie ze sztruksu, które należały do jej męża. Zabrał także torbę plastikową, do której wrzucił młotek i śrubokręt.

Pojechał w okolice Górniaka, gdzie chodził bez celu. Spał przez kilka dni po rożnych blokach na klatkach schodowych. Miał z sobą jeszcze pochodzące od rodziców 150 zł, za które kupował jedzenie.

— Pojechałem na Dąbrowę, gdzie chodziłem bez celu. Wróciłem autobusem na Plac Niepodległości, skąd tramwajem linii 21 dojechałem do krańcówki na Żabieńcu. Wzdłuż torów kolejowych poszedłem w kierunku Zgierza. Nie wiem, ile zrobiłem drogi, ale pamiętam, że znalazłem się w okolicy wysypiska śmieci. Po prawej stronie widziałem nowe bloki. Nie wiem, jaka tam może być ulica. Zszedłem z torów kolejowych na lewą stronę, gdzie na nasypie znajduje się dróżka, gdyż tory niżej idą. Idąc zauważyłem, że przez tory idzie dziewczynka w wieku 10—12 lat. Ubrana była w niebieski sweter, granatową spódnicę, białe rajstopy. W ręku miała plecioną torbę. Doszedłem do niej i przez kilka metrów szedłem obok niej, w ogóle się nie odzywając. Ona także nic nie mówiła. W pewnej chwili złapałem ją ręką za usta, by nie krzyczała. Poczułem chęć odbycia stosunku. Dziewczynka ta wyrywała mi się, lecz nie mogła krzyczeć, gdyż trzymałem ją za twarz. Przeciągnąłem ją w pobliskie krzaki i przewróciłem. Wówczas zaczęła krzyczec. Uderzyłem ją ręką kilkakrotnie w twarz, lecz nie przestawała krzyczeć. Wówczas usiadłem na niej i zacząłem ją dusić obiema rękami. Po chwili krzyk jej ustał. Zacząłem ją rozbierać... Z leżącej obok siatki wyjąłem czarną portmonetkę, w której było 150 zł. Także zabrałem sweter niebieski, który założyłem na siebie, także tę siatkę, także dwie kanapki, które później zjadłem. Odchodząc od tej dziewczynki, byłem przekonany, że ona żyje, gdyż oddychała i ruszała się.

Wsiadł w autobus MPK i dojechał w okolice Dworca Kaliskiego. Tam przesiadł się w tramwaj i przyjechał na Plac Niepodległości. Tego dnia wyrzucił zabraną siatkę, torby z portmonetką zaś pozbył się w drodze do Pabianic kilka dni później. Pieniądze wydał na jedzenie.

Przez następne dni spał na ostatnich piętrach po różnych blokach.

Poszedł raz do domu. Byli tam tylko jego dwaj młodsi bracia. W domu ogolił się i wyczyścił ubranie.

— Zanim tam jednak poszedłem, to byłem jeszcze w Pabianicach. Gdzieś w pobliżu krańcówki tramwajowej, niedaleko czteropiętrowego bloku suszył się na sznurze sweter, który założyłem na siebie i w nim właśnie pojechałem do domu. Przebywałem w nim zaledwie 2—3 godziny i wyszedłem Tej nocy spałem również w jakimś bloku. Następnego dnia rano poszedłem do domu i pukałem do drzwi lecz nikt nie chciał mi otworzyć, mimo, że w domu byli bracia. Przez cały dzień przebywałem w okolicy parku przy Placu Reymonta.

Pojechał na Lublinek. Tam na torach kolejowych znalazł pręt żelazny służący do zamykania wagonów. W pobliżu znalazł kawałek czerwonej szmaty, którą owinął pręt. Pręt nosił w ręku i nie zastanawiał się w jakim celu go zabrał

Wsiadł w tramwaj i pojechał w okolice Rudy. Wysiadł przy Stawach Stefańskiego na ulicy Rudzkiej.

— Znad Stawów miałem zamiar iść do kuzynki, ale zrezygnowałem. Na przystanku tramwajowym zauważyłem idącą dość młodą dziewczynę, za którą się udałem. Było już ciemno. Gdzieniegdzie paliły się pojedyńcze latarnie. Z Rudzkiej dziewczyna ta skręciła — patrząc od strony ulicy Pabianickiej — w boczną ulicę w prawo. Szedłem za nią. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego za nią szedłem. Przez cały czas miałem z sobą w ręku ten żelazny pręt. W pewnym momencie ta dziewczyna zatrzymała się i zaproponowała mi, abym z nią szedł dalej. Ja poszedłem z nią jakieś 150 metrów, lecz w ogóle się nie odzywałem. W pewnej chwili odszedłem od niej i wróciłem na przystanek tramwajowy. Tam pod wiatą siedziało kilka osób. Wypaliłem jeszcze papierosa, w międzyczasie w kierunku Pabianic przyjechał tramwaj, do którego jednak nie wsiadłem. Po chwili zobaczyłem swoją matkę, która szła z sąsiadką. Matka także mnie zauważyła i wówczas uciekłem w głąb ulicy. Matki już nie widziałem. Przez cały czas miałem ze sobą łom. Po pewnym czasie wróciłem. Z przystanku w moją stronę szły dwie kobiety. Jedna z nich skręciła w lewo, a ja poszedłem za tą drugą. W tym miejscu ulica ta była jeszcze oświetlona. Początkowo kobieta ta szła za mną, lecz po chwili mnie wyprzedziła. W tym momencie zrodziła się we mnie myśl, by kobietę tę zamroczyć i obrabować. W chwili gdy kobieta ta wyprzedziła mnie, trzymanym w prawej ręce prętem, owiniętym w szmatę, uderzyłem ją w tył głowy. Za pierwszym razem od razu się przewróciła i zaczęła krzyczeć. Wówczas uderzyłem ją w głowę tym samym narzędziem, potem jeszcze dwa lub trzy razy, też w głowę. Wziąłem ją za ręce i przeciągnąłem pod ogrodzenie z siatki. Wróciłem na miejsce, gdzie upadła i zabrałem torbę plastikową, którą położyłem na trawie. Postanowiłem ją dodatkowo zgwałcić. Zaciągnąłem ją w pobliże lasku, gdzie zostawiłem ją nagą. Jej odzież wziąłem spod siatki i poszedłem w głąb lasu.

Jeszcze żyła, gdyż się ruszała. Łom ze szmatą pozostawiłem w pobliżu niej. Odchodząc zabrałem plastikową torbę, torebkę damską wraz z zawartością, z ręki zdjąłem zegarek elektroniczny w bransolecie.

Wrócił na przystanek tramwajowy, skąd dojechał do Placu Niepodległości. Autobusem pojechał na Dąbrowę, wszedł na ostatnie piętro jednego z bloków, gdzie sprawdził zawartość torebek. W plastikowej była damska parasolka składana, kosmetyki, klucze, dokumenty, pieniądze — 800 zł. Zatrzymał jedynie pieniądze i zegarek. Wszystkie pozostałe rzeczy wrzucił do zsypu w tym bloku, gdzie spał do rana.

Po kilku dniach postanowił pojechać do Zgierza. Wsiadł w tramwaj 45. Wysiadł na pierwszym przystanku za Helenówkiem.

— Skręciłem w prawo w drogę idącą przez las. O ile pamiętam było wówczas koło południa. Szedłem bez żadnego celu. Z tej drogi skręciłem wówczas w prawo na ścieżkę. Po drodze narwałem jeszcze orzechów laskowych. Wówczas zauważyłem, że tą samą ścieżką za mną idzie dziewczynka 9—10 letnia. Ubrana była w kurtkę, rajtuzy

Dwie godziny wcześniej siedząc w parku spotkałem trzech nieznajomych mężczyzn, którzy zaproponowali mi wspólne wypicie wina. Wyraziłem na to zgodę. Dołożyłem im jeszcze 50 zł. Wypiliśmy trzy wina.

Kiedy więc spotkałem tę dziewczynkę powstała myśl, że ją zgwałcę. Po drodze minąłem się z mężczyzną, którego nie potrafię opisać. Do dziewczyny podszedłem od tyłu i uderzyłem ją w głowę żelazną kulą o średnicy jabłka, którą trzymałem w skarpetce. Kulę tę znalazłem dwa dni wcześniej w pobliżu mostu na Lublinku. Nosiłem ją ze sobą, mając zamiar wykorzystac w przypadku zdarzającej się okazji, gdy spotkam samotne kobiety.

Dziewczyna za pierwszym razem przewróciła się na ziemię. Z pleców spadł jej tornister. Zaczęła krzyczeć. Leżącą uderzyłem jeszcze kilka razy, by przestała krzyczeć. Potem zaciągnąłem ją w pobliskie krzaki. Tam zdjąłem rajstopy i majtki.

Odchodząc od tej dziewczyny widziałem, że jeszcze żyje, gdyż się ruszała. Kulę w skarpetce zabrałem i udałem się do Zgierza. Tam w barze zjadłem obiad. Po wyjściu z baru poszedłem na pobliski skwer niedaleko parku, gdzie za ławką zobaczyłem stojący nowy neseser Zabrałem go. Do niego włożyłem kulę w skarpetce i nóż.

Wsiadł w tramwaj linii 46 jadący do Ozorkowa. Wysiadł w Lućmierzu obok baru „Leśny Dwór". Wszedł do środka, by coś zjeść. Było po południu, więc obiadów nie było. Wypił tylko Pepsi-Colę.

Zauważył idącą od strony przystanku tramwajowego dziewczynę. Za budynkiem baru skręciła w prawo w leśną drogę.

— Postanowiłem iść za nią, gdyż pomyślałem sobie, że można ją obrabować. Nie myślałem w tym czasie o gwałcie. Idąc za nią wyjąłem z neseseru kulę. Szybkim krokiem podszedłem do niej od tyłu i uderzyłem ją w głowę. Ona odwróciła się, zobaczyła mnie, krzyknęła. Uderzyłem ją jeszcze raz, zaraz się przewróciła. Leżącą uderzyłem jeszcze 2 razy kulą w głowę. Dopiero wtedy przestała krzyczeć. Zobaczyłem krew na jej głowie. Przeciągnąłem ją w głąb lasu. Wróciłem po torebkę. Zdjąłem jej spodnie i majtki. Zabrałem jej zegarek elektroniczny, z torebki wziąłem portfel, a także 600 zł i bony PKO wartości 37 centów. Kulę pozostawiłem w jej pobliżu. Odchodząc zauważyłem, że jeszcze żyje, więc przykryłem ją jedną gałęzią. Udałem się na przystanek tramwajowy. Wróciłem do Łodzi.

Przez kilka dni włóczył się po Łodzi i spał po blokach. W domu nie był. Nie widział też żadnych znajomych, nikomu też nie zwierzał się z tego, co zrobił.

— Z 13 na 14 września ok. 23 szedłem ulicą Piotrkowską w stronę Placu Wolności. Przed ulicą Tuwima wszedłem do domu, gdzie spały cztery osoby. Zauważyłem luźno leżące obrączki, sygnety i trzy zegarki. Wyjąłem jeszcze 5000 zł, otworzyłem drzwi i wyszedłem.

Przenocowałem w bloku.

W poniedziałek, 15 września pojechałem do Pabianic. Tam zostawiłem część skradzionych rzeczy, płaszcz, sweter, spodnie...

W dniu wczorajszym będąc na Dąbrowskiego słyszałem rozmowę mężczyzn z kobietą o mnie, że jestem poszukiwany przez milicję za morderstwo. Wymieniali moje nazwisko. Opowiadali, że w prasie był na ten temat komunikat. W obawie przed rozpoznaniem postanowiłem zgolić natychmiast wąsy. Zrobiłem do rano 17 września na Chojnach przy torach, maszynką kupioną w kiosku...

Wkrótce ustalono, że Krzysztof Sołtysiak popełnił wiele innych poważnych przestępstw, niż to zeznał w dniu 17 września.

27 września napisał do Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi: (...) *„Od dzieciństwa byłem wychowywany w trudnych warunkach, czego powodem było umieszczenie mnie w zakładzie najpierw w Wieluniu, a następnie w Laskowcu. Znajdowałem się często w środowiskach i grupach osobników, którzy mieli na mnie wpływ i w wyniku tego zacząłem tak młodo nadużywać alkoholu, który spowodował we mnie takie następstwa. Bardzo proszę o wyrozumienie tego wszystkiego co piszę. Nie zamierzam już nigdy więcej do takiego stanu siebie dopuścić, gdy mi okaże się łaskę, z której przecież z racji mojego bardzo młodego wieku można przy okazaniu szczerej chęci skruchy udzielić (...)".*

Kilka dni potem napisał do matki z celi więziennej list:

„Kochani rodzice! Pozdrawiam was gorąco i życzę szczęścia. Nie martwcie się o mnie i proszę was już na początku, nie wydawajcie pieniędzy na adwokatów. Wam one się przydadzą, a mi to nie pomoże. Nie chce mi się już żyć. Myślę wciąż o śmierci, co dziwne — czekam na nią w spokoju. Pogodziłem się już z tym. Nie chcę żyć. Bałbym się powrócić do społeczeństwa, nie mógłbym nikomu spojrzeć w oczy, tym bardziej wam, którzy dali mi życie i wychowywali tak, jak potrafili najlepiej. Przez całe swoje życie przynoszę wam tylko wstyd. Dlatego, jeśli dostanę karę śmierci, będzie to dla mnie najlepsza kara, jaką mógłby mi dać sąd. Sankcję mam do 18 grudnia, ale chciałbym, żeby to wszystko już się skończyło. Męczę się cały czas, nie mogę spać, boję się po prostu, bo mam to wszystko przed oczyma, bez przerwy myślę o tym. Nie wiem, co się ze mną stało, że to zrobiłem. Sam chciałem z sobą skończyć, ale uważam, że to tchórzostwo. Chcę, aby osądzili mnie ci, którzy cierpieli przeze mnie. Mamo, nie wiem czy zobaczę cię kiedykolwiek. Mam do was tylko jedną prośbę, jeśli możecie to przyślijcie mi coś do jedzenia. Mamo, śledczy mówił mi, że byłaś u niego i rozmawiałaś z nim. To on namówił mnie, abym napisał, sam nie miałbym odwagi napisać. Proszę was, pilnujcie Sławka i Robka. Nie chcę, aby mieli życie takie jak moje, nie dopuśćcie do tego. Ja straciłem wszystko, ale oni mają całe życie przed sobą. Mamo, gdyby coś stało się ze mną, nie płacz nade mną, nie jestem wart twoich łez. Nie potrafiłem docenić waszej miłości i dobroci. Wiem, że chcieliście dla mnie zawsze jak najlepiej, dziękuję wam za to z całego serca. Zapomnijcie, że mieliście kiedykolwiek takiego syna. Nie chcę, abyście zamartwiali się z mego powodu. Zniszczcie wszystko, co do mnie należało, chcę abyście o mnie zapomnieli. Tak będzie najlepiej. Kocham was i nie chcę, abyście cierpieli z mojego powodu. Pozdrów babcię. Jej jest mi najbardziej żal, zawsze stawała w mojej obronie, zawsze chciała dla mnie jak najlepiej. Kończę już ten list, nie mogę już pisać (...) Proszę was jeszcze raz — nie traćcie na mnie pieniędzy i czasu, nie jestem tego naprawdę wart. Zajmijcie się Sławkiem i Robkiem, by nie popełnili tych błędów w swoim życiu co ja. Szkoda, aby marnowali sobie życie. Na tym kończę ten list. Żegnam was wszystkich i życzę wszystkiego najlepszego".

Matka nie skorzystała z przysługującego jej prawa odmowy zeznań. Powiedziała:

— Z synem Krzysztofem do lat 10 nie miałam żadnych trudności wychowawczych. Był grzecznym i posłusznym. Trudności wychowawcze wynikły dopiero, gdy uczęszczał do 3 klasy szkoły podstawowej. W klasie tej pomimo stosunkowo dobrych postępów w nauce niejednokrotnie z poszczególnych przedmiotów otrzymywał oceny niedostateczne. W tych przypadkach nie wracał ze szkoły do domu w obawie przed ojcem. Ojciec był bardzo rygorystyczny i bił syna. Najczęściej uderzał go ręką w twarz. Syn bardzo bał się bicia ze strony ojca. Do 5 klasy syn uczył się stosunkowo dobrze i nie powtarzał żadnej klasy. Zaniedbał się dopiero w nauce w klasie szóstej, którą powtarzał. W klasie tej syn opuszczał zajęcia lekcyjne. W ogóle do szkoły nie przychodził i do domu również. Często w tym okresie czasu syna Krzysztofa doprowadzali do domu funkcjonariusze milicji bądź przygodni ludzie. Gdy pytałam syna, dlaczego tak postępuje, nigdy nie uzyskałam od niego pełnej odpowiedzi, po prostu nie potrafił logicznie uzasadnić swego postępowania. Wiedząc,że źle postępuje mówił tylko, że bał się do domu wracać, bo tata by na niego krzyczał, zbiłby go. Syn miał skryty charakter i jeśli coś zrobił, to zawsze robił to sam. W towarzystwie kolegów przebywał bardzo rzadko (...) Nie dostrzegłam także, by syn utrzymywał kontakty z koleżankami. Uważam go za „samotnika" (...) Krzysiek miał bardzo dobrą pamięć i jak coś przeczytał to mógł zaraz powiedzieć. Lubił on bardzo czytać i czytał wiele książek. Interesowały go książki przygodowe i historyczne (...).

Biegły psycholog uzupełnił fachowo: „(...) *Ojciec wobec Krzysztofa Sołtysiaka był zawsze krańcowo prymitywny. Wykazywał wobec niego wzory aspołecznego i agresywnego zachowania. Poświęcał mu mało czasu na pozytywne interakcje uczuciowe z chłopcem. Matka była bardziej bierna, mało konsekwentna wobec zachowań chłopca — nie dawała mu poczucia bezpieczeństwa. Sytuacja taka nie sprzyjała nawiązaniu więzi z rodzicami opartej na zależności emocjonalnej. Ciągła frustracja tej potrzeby wykształciły w badanym poczucie odtrącenia i sprzyjały zaniżaniu jego własnej samooceny. Konflikt między badanym a rodzicami został zgeneralizowany na szersze otoczenie społeczne tj. nauczycieli i środowisko rówieśnicze. Stąd badany izolował się i nie nauczył się zdolności formowania i utrzymywania trwałych, polegających na zależności uczuciowej więzi z innymi osobami.*

Poddawanie chłopca „żelaznej ayscyplinie" niezależnie od jego wieku i okazywanie mu ciągłego braku zaufania sprzyjało ukształtowaniu się w jego osobowości trwałej postawy wrogości i agresji skierowanej głównie przeciwko ojcu, silnie tłumionej na skutek strachu przed karą (fizyczną)."

Otoczenie, w którym przebywał przez ostatnie lata w zakładzie poprawczym budziło w nim podobne odczucia. Proces resocjalizacji nie odbiegał od oddziaływań jakim podlegał dotychczas w domu. Stąd silny ładunek agresji *został przeniesiony w sposób bezpośredni na osoby nie budzące w nim strachu.* Przejawem takich reakcji *są wszystkie dotychczasowe* zachowania antyspołeczne. (Pierwszy napad na dziewczynkę w wieku 13 lat, kradzieże, jak również ostatnie zabójstwa i próby usiłowania pozbawienia życia wraz z gwałtem dokonane na młodych kobietach bądź na dziewczynkach).

Psycholog uważa, że analiza okoliczności dokonanych czynów wskazuje na bezwzględność, okrucieństwo i znęcanie się Krzysztofa Sołtysiaka nad obiektami swojej agresji. Trwałość i rozwój zachowań antyspołecznych badanego wskazuje na nieumiejętność uczenia się na podstawie doświadczeń, a także na nieumiejętność przeżywania winy.

W czasie badań Krzysztof Sołtysiak niechętnie udzielał informacji, nie podejmował wysiłku umysłowego mającego na celu analizę postępowania. Odpowiadał jedynie na zadane pytania: „tak" lub „nie wiem". Zachowanie jego odznaczało się chłodem, obojętnością emocjonalną i nie wskazywało na współmierne przeżywanie poczucia winy... Sołtysiak, zdaniem psychologa, zaprezentował bardzo negatywny obraz własnej osoby. Tłumaczy to częściowo trwałość zachowań antyspołecznych, które on wybierał dla potwierdzenia swej niskiej samooceny.

Aspekt rodzinnego wychowania podnieśli także biegli psychiatrzy. Rodzice często się kłócili, nawet czasem dochodziło do bicia się, głównie kłócili się o dzieci. Ojciec był surowy, matka starała się bronić, ojciec stosował karę chłosty, matka nie. Ojciec karał wszystkich, czasem z błahych powodów np. za złą ocenę.

„Pytany czy nadal by zabijał i gwałcił, gdyby nie został zatrzymany — oświadcza, że po tej ostatniej postanowił przestać, bo wtedy zaczął się zastanawiać, co zrobił. Nie myślał, że zostanie ujęty, poprawia, że starał się o tym nie myśleć. Spodziewa się kary, nie wie, gdyby on był sędzią, jaką karę by wybrał — jeżeli to konieczne, to należy pozbawić życia, czy jest to konieczne w jego przypadku nie wie. Nie wie, czy w przyszłości by też zabijał, bo nie sobie teraz nie planuje".

Biegli w konkluzji opinii orzekli, że Krzysztof Sołtysiak nie zdradza objawów choroby psychicznej ani też cech niedorozwoju umysłowego, zaś w czasie dokonywania zarzucanych mu czynów rozumiał ich znaczenie oraz mógł pokierować swym postępowaniem. Jezeli natomiast znajdował się on w stanie upojenia alkoholowego (co sam relacjonuje), to było to upojenie alkoholowe zwykłe i tylko z tego powodu jego zdolność rozumienia znaczenia czynu oraz możność pokierowania swym postępowaniem były ograniczone w stopniu znacznym.

Wkrótce po otrzymaniu tej opinii Prokuratura Wojewódzka sporządziła przeciwko Krzysztofowi Sołtysiakowi akt oskarżenia — z art. 148 §1, 168 §1, 210 §2 zw. z art. 10 §2 kk, art. 203 § 1 i art. 208 kk, który przesłała do Sądu Wojewódzkiego w Łodzi...

cdn ■

1 Sport

Pożegnanie

Zbigniew Boniek żegna się z polskimi boiskami, z Polską, choć nie z polską piłką nożną, bo będzie grywał w reprezentacji, żegna się z Łodzią i łódzkim klubem RTS Widzew. Po zakończeniu Mundialu 82 odchodzi do włoskiego klubu Juventus w Turynie. Nie byłby to fakt sensacyjny, jako że już od dawna przebąkiwano coś niecoś na temat włoskiej piłkarskiej przygody Bońka, gdyby nie młody wiek piłkarza — odchodzi przed trzydziestką, a do tej pory piłkarze odchodzili po trzydziestce — a także, po raz pierwszy ujawniono, ile też Polski Związek Piłki Nożnej otrzymał za przekazanie Bońka włoskiemu klubowi — 1 800 tysięcy dolarów. RTS Widzew dostał z tego... 100 tysięcy złotych.

Mój znakomity kolega Jerzy P. usłyszawszy o tym, pokiwał głową i zapytał złośliwie: ile też musielibyśmy mieć Bońków, aby spłacić nasze zadłużenie? Ponieważ uwagę tę usłyszało kilku innych kolegów, ktoś inny równie złośliwie zaczął się zastanawiać, czy gdybyśmy wyeksportowali któryś z łódzkich teatrów — padła zresztą konkretna propozycja — razem z budynkiem, więc czy to by coś dało dla państwowego i miejskiego skarbu. Pomysł nie jest taki niemożliwy — dowodził złośliwiec — Amerykanie kupowali w Szkocji zamki, rozbierali je na kawałki, ładowali na statki wraz z duchami i legendą i przewozili przez ocean, w Ameryce składali i mieli wspaniałe siedziby rodowe, cóż z tego, że fałszywe i rodem ze Szkocji. Ale — mówił dalej złośliwiec — to było dawno, a teraz nie ma żadnej pewności, czy ktoś zechce w ogóle kupić teatr, bo z kulturą krucho nie tylko u nas. Zresztą zawsze tak bywało.

Złośliwców na świecie nie brakuje, w Łodzi jest ich również sporo, a różni ludzie zazdroszczą Zbigniewowi Bońkowi, bo sami by też chcieli, żeby ich zatrudniono w jakiejś zagranicznej instytucji i jeszcze za to Polsce zapłacili. A tu nic z tego, trzeba w kraju siedzieć i pomagać w wychodzeniu z kryzysu. Zbigniew Boniek jest wybitną piłkarską indywidualnością i ma pełne prawo grać w zagranicznym klubie, jako że do tej pory grywali inni i to wcale nie takiej jak on klasy. I mam absolutną pewność, że Zbigniew Boniek nie będzie grzał rezerwowej ławy, jak to się innym gwiazdom zdarzało i nie będzie grał w drugich i trzecich zespołach, i że będą docierały do nas dobre o nim wieści, tak jak docierały o Włodzimierzu Lubańskim, Grzegorzu Lacie, Andrzeju Szarmachu. A ostatnio dotarł do nas Jan Tomaszewski. Powrócił z Hiszpanii do Łodzi i do ŁKS, i ponownie definitywnie i ostatecznie zerwał z grą w piłkę nożną. Będzie teraz pomagał Leszkowi Jezierskiemu w trenowaniu piłkarzy ŁKS.

A RTS Widzew?

Myślę, że drużyna RTS Widzew pożegnała się już z tytułem mistrza Polski. Piszę jeszcze przed ostatnią kolejką ligowych rozgrywek, ale Widzew musiałby wygrać a Śląsk musiałby przegrać, żeby Widzew został mistrzem, w co nie bardzo chce mi się wierzyć, ale czego w ogóle nie można wykluczyć.

Kibice podejrzewają nawet — spotkałam się i z taką opinią — że RTS Widzew świadomy odejścia Zbigniewa Bońka woli jednak nie grać jesienią w Pucharze mistrzów krajowych, ale w nieco słabszym zestawie, czyli wicemistrzów. Być może jest to opinia krzywdząca drużynę, ale sygnalizuję to, co usłyszałam. Rozumowanie kibiców nie jest zupełnie pozbawione racji, co innego bowiem czuje przeciwnik, kiedy drużyna RTS Widzew wbiega na boisko ze Zbigniewem Bońkiem i kiedy wbiega bez Zbigniewa Bońka.

Kiedy tak rozważamy sobie, czy piłkarze RTS Widzew zdobędą tytuł mistrzowski (po raz drugi) czy wicemistrzowski (któryś już z rzędu), to przypomina mi się sytuacja sprzed wielu lat, kiedy to rozważano kwestię, czy Łodzi w ogóle potrzeba dwóch drużyn w pierwszej lidze. — Przecież mamy ŁKS — argumentowano — ŁKS raz już zdobył Puchar i mistrzostwo Polski, a Widzew raz był w pierwszej lidze i spadł. Dziś mamy jakże inną sytuację. ŁKS nadal wspomina dawną świetność, choć sam Leszek Jezierski wziął się za trenowanie zespołu.

RTS Widzew od początku — dzięki Leszkowi Jezierskiemu zresztą — miał zespół. Już nie raz tak bywało, że na boisku brakowało Zbigniewa Bońka, a drużyna wygrywała i pięła się po szczeblach ligowej tabeli. Sądzę, że i teraz — już jesienią — pokaże na co ją stać, że na miejsce odchodzących gwiazd, bo być może i inni pójdą w ślady Bońka, pojawią się młodzi piłkarze, którzy wyrosną na piłkarskie gwiazdy, tak jak Boniek wyrósł na gwiazdę właśnie w zespole RTS Widzew. I tu nie mogę powstrzymać się od uwagi, że CWKS Legia, która ma ambicję dorównania swojej własnej legendzie, idzie drogą przeciwną, zamiast budować zespół, w którym wyrastałyby gwiazdy, stara się zrobić zespół gwiazd. Ze znanym skutkiem. Bo ta druga droga, choć czasem możliwa, jest bardziej ryzykowna i rzadziej dająca dobre rezultaty, od tej pierwszej, kiedy tworzy się zespół, w którym mogą, choć nie muszą, wyrastać piłkarskie gwiazdy. Czego nadal życzę zespołowi RTS Widzew.

BOGDA MADEJ

P.S. Nieprawdopodobne, a jednak stało się! Śląsk przegrał swój najważniejszy mecz. Widzew po raz drugi mistrzem Polski. Serdeczne gratulacje!

B. M. ■

2

Dni książki i prozy dnia

W obecnym czasie, który należałoby nazwać okresem krytyki kontrolowanej i, oczywiście, konstruktywnej jest jeszcze nieco obszarów, gdzie można sobie pozwalać do woli. Należy do nich — jak mi się zdaje — księgarstwo, przez co rozumiem nie tylko finansowo-handlowe uwarunkowania obiegu książek, ale wszystko co tej strefy dotyczy: od autora poczynając a na czytelniku kończąc. Podejmuję ów temat przecież nie ze względu na — tak czy inaczej — wyznaczone szranki dla felietonowych harcowników. Wszak znowu — jak rokrocznie — obchodzimy Dni Oświaty, Książki i Prasy, a ponieważ będą one skromne — jak nigdy dotąd — warto ten mało świąteczny nastrój wykorzystać dla paru zracjonalizowanych refleksji.

Jeszcze kilka lat temu — pięć a może siedem — majowe Dni bywały rzeczywiście świętem — kiermasze, festiwale nowości i tłumy zainteresowanych. Potem zostały kiermasze i tłumy zainteresowanych, aby w tym roku — na inaugurację Dni — zobaczyć grupki naiwnych, którzy gnietli się w pięciu księgarniach nie wiedzieć po co. Ale tradycji stało się zadość. Zresztą łódzkie kiermasze — jak je tylko pamiętam — zazwyczaj miały charakter sztucznego oddychania dla pacjenta, który oczekiwał już tylko na wieniec.

Po pierwsze nie mamy armat — odpowiedzą szefowie „Domu Książki" — a te wiwatówki, którymi dysponujemy nie są w stanie uratować natarcia. Bodajże tak, choć nie całkiem. Bowiem nie od rzeczy byłoby rozpatrzenie stanu okopów i przygotowania kanonierów.

Od wielu lat w łódzkim księgarstwie nic się nie zmienia, a jeśli już to na gorsze Wystarczy zrobić krótką rundę po tzw. Domach Książki: ciasno, mroczno i nudno. Wyjątek dwóch albo trzech księgarń, w których można zatrzymać się na moment, aby wziąć do ręki książkę i obejrzeć ją w miarę spokojnie, nie narażając się na kuksańce tych co z tyłu, potwierdza regułę. Gdzie miejsce na właściwą ekspozycję tego, co poupychane w rozmaitych zakamarkach? Sądzę, iż nawet przy obecnej ilości tytułów i egzemplarzy — gdyby był rzeczywiście wolny dostęp do tego co w księgarniach jest — można byłoby wychodzić z nich nie bez satysfakcji. Z całą pewnością potwierdza się fakt, że księgarnie o — choćby częściowej — samoobsłudze mają wyższe utargi, od tych gdzie klienta przynagla zniecierpliwiona mina sprzedawcy. Nie mówiąc już o tym, że są w naszym mieście całe dzielnice pozbawione jakichkolwiek księgarń jak, na przykład, przeszło czterdziestotysięczny Widzew -Wschód.

Druga sprawa — to jak się rzekło — kanonierzy, czyli sami księgarze. Od święta zwykło się o nich mówić oficerowie kultury, pierwsi krytycy i recenzenci itp. Na co dzień jakże często młodość, którą zastajemy za ladami, nie idzie w parze z kompetencją. Ponieważ teraz książki sprzedają się same, wystarczy wypisać paragon i zapakować je w papier. Reszta jest — pełnym znudzenia — milczeniem. Może zatem zamiast księgarń ustawić kilkanaście automatów z wydawniczymi aktualiami: na rogu Tuwima i Piotrkowskiej z „Ziemią Ulro", na innym rogu z „Miazgą" itd. Wtedy i książki byłyby tańsze — przecież znaczną część ich ceny stanowią księgarniane narzuty handlowe. Ale żarty na stronę, tym bardziej, iż temat poważny, a i wśród młodzieży, którą tu — jak jaki śledziennik — wytykam palcem, trafiają się książkowi pasjonaci: dla nich praca w księgarni jest wyborem, a nie beznadziejnym przymusem Jest faktem jednak, że odchodzą z zawodu — na prawdziwe zasłużone emerytury — ludzie, którzy dla upowszechnienia wiedzy i kultury literackiej zrobili bardzo wiele. Ile pokoleń tych, dla których książka bywała potrzebą, warsztatem pracy, a także konieczną rozrywką ma w pamięci Jana Gierańczyka, księgarza-instytucję, który potrafił wykształcić w swoich klientach swoisty, a pożyteczny snobizm: ta sama książka kupiona w „Pegazie" miała zupełnie inną wartość, niż ta, nabyta gdzie indziej. Tu liczyła się rozmowa, pierwsze oceny nabytku, komentarz i zwyczajne dobre słowo. W „Pegazie" były tłumy, ale każdego traktowano indywidualnie, bo znano jego zainteresowania i bibliomańskie szaleństwa. Wprawdzie pan Jan (ci szaleńcy zamiast „dzień dobry" witali się pytaniem „byłeś u Jana?") poświęca się dziś innym pasjom, budowana przez niego, w ciągu dziesiątków lat, tradycja nadal w „Pegazie" obowiązuje. I chwała Bogu! Nikt nie lubi kupować — a i mimo wszystko sprzedawać — książki jak kilograma kartofli.

Jeszcze inna sprawa to właściwa informacja o książce. Zawsze ona kulała, teraz leży sparaliżowana. Wznowione ostatnio „Zapowiedzi Wydawnicze" przeznaczone są przecież tylko dla profesjonalistów i specjalistycznych instytucji: któż ze zwyczajnych nabywców książek będzie informował się na wielomiesięczny zapas i to licząc się z kolejnymi wielomiesięcznymi poślizgami. Różne „Nowości księgarskie" w gazetach są zazwyczaj spóźnione i kierujące się polityką trafu bądź przypadku.

Wspomniałem gazety. To i dobrze. Dni, które właśnie obchodzimy, są także świętem prasy. W tym roku szczególnym, bo prasa jakby znów na dorobku i to nader znojnym. Ciekawym jak zniesie wstrząs cenowy, pomijając już inne elementy rewaloryzacji. Już teraz w kioskach brakuje miejsca; co zapobiegliwsi sprzedawcy zakładają historyczne już teczki. A klienci liczą, przebierają palcami w portmonetkach i kupują bilety autobusowe Natomiast największa w Łodzi czytelnia czasopism — myślę o tej na trzecim piętrze gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej — odstrasza tych, co muszą oszczędzać, pożółkłymi numerami tygodników z ubiegłego roku.. Jednym słowem — Dni Oświaty, Książki i Prasy.

GRZEGORZ GAZDA ■

3 Spojrzenie znad szachownicy

Groźba i wykonanie

Stara maksyma szachowa powiada, że „groźba jest silniejsza od jej wykonania", ucząc się tedy sztuki królewskiej gry tudzież sztuki wcale nie królewskiego życia, sprawdźmy w czym rzecz na kilku stosownych przykładach.

1.

Przypuśćmy, iż zaatakowaliśmy nieprzyjacielskiego izolowanego pionka, partner pionka obronił, my skierowaliśmy do ataku na pionka kolejną z figur, partner kolejną ze swoich figur ściągnął do obrony, no i tak dalej. Gra idzie o pionka, o najmniej ważną z bierek, bez której — oczywiście przy korzystnej pozycji — można partię z powodzeniem zremisować, a nawet wygrać.

Większość mniej doświadczonych szachistów panicznie boi się jednak drobnych nawet materialnych strat, wiążąc tedy swoje figury obroną, a przez to ograniczając ich ruchy, częstokroć pozwala przeciwnikowi zorganizować groźny atak na króla, bądź opanować ważne punkty na szachownicy, co daje mu wygraną bez zdobywania nieszczęsnego pionka. Groźba okazuje się silniejsza od jej wykonania, wraz ze stratą pionka nastąpiłaby bowiem zapewne seria wymian, figury broniącej się strony odzyskałyby swobodę ruchów, słowem do rostrzygnięcia gry byłoby jeszcze bardzo daleko.

2

A teraz, nieprawdaż, przenieśmy się do naszego ogródka, w którym dojrzewają wisienki, zaś niegrzeczni chłopcy z sąsiedztwa chcieliby je oczywiście zerwać i pożreć jeszcze nie całkiem czerwone. Zaopatrzeni w kij bądź psa — wedle zamożności i gustu — siadujemy tedy wieczorami na czatach, któregoś dnia mamy jednak tak wielką ochotę na szklankę gorącej herbaty, że idziemy wcześniej do domu i nazajutrz zastajemy drzewka ogołocone.

Groźba została spełniona, my wszakże, mając wreszcie wiśnie z głowy, zyskujemy bezcenny czas, który możemy przeznaczyć na samokształcenie, robienie porządków, a nawet na jakieś dochodowe zajęcie. Straciliśmy wiśnie, ale zyskaliśmy kawałek życia. Voila!

3.

Teraz już całkiem poważnie, któż bowiem nie śledzi konfliktu na Falklandach-Malwinach. Nie jestem politologiem, ale na zdrowy rozum, bez powoływania się na „prawa odkrywców" czy inne dyrdymałki (nasz Maurycy Beniowski, szachista zresztą, też przez czas jakiś robił za króla na Madagaskarze, stąd przedwojenna Liga Morska i Kolonialna zgłaszała krzykliwe pretensje do tej wyspy) widzimy patrząc na mapę, że Malwiny leżą najwyraźniej w okolicach Argentyny, natomiast ani trochę nie leżą w okolicach Wielkiej Brytanii. Racje Argentyny zdają się tedy bezsporne, ośmielam się jednak sądzić, że popełniła ona błąd realizując groźbę i zdobywając pionka, to jest — chciałem powiedzieć — zajmując wyspy siłą.

Teraz ruch przypada na Anglię, wysyła ona tedy swoją potężną, znacznie silniejszą od argentyńskiej flotę, no i tak się coś kroi, że zajmie wyspy ponownie. Opinia światowa jest już jednak podzielona, kraje EWG i potężne Stany Zjednoczone popierają Anglików, Ameryka Łacińska, Hiszpania, Chiny czy ZSRR — a więc państwa o bardzo różnych ustrojach i nie zawsze nawet ze sobą zaprzyjaźnione — są po stronie Argentyny, jeżeli więc nastąpi rozstrzygnięcie zbrojne i Anglia postawi na swoim, będzie potem musiała pilnować tej malwińsko-falklandzkiej żaby na drugim końcu świata i to pod ciągłą presją.

Rozumiem, że tam może być ropa, rozumiem, że w obu krajach obudziły się nacjonalistyczne nastroje, ale z punktu widzenia szachów ten kto jedynie grozi zajęciem wysp jest w korzystniejszej sytuacji od tego, kto musi ich ustawicznie bronić. A że szachy są bardzo starą i niejako zweryfikowaną przez wieki grą wojenną, za jakiś czas przekonacie się państwo, gdzie była racja.

5.

Aby nie przedłużać tego felietoniku, proponuję na koniec czytelnikom samodzielne zbadanie zastosowalności maksymy o „groźbie i jej wykonaniu" do życia rodzinnego, społecznego i tak dalej. Takie bezinteresowne ćwiczenie wyobraźni okazuje się niekiedy diablo przydatne.

JERZY ■

4 Zdarzenia i zwierzenia

Na marginesie „Kwiatów łódzkich"

Ciężko pisać, że taki szmat czasu upłynął — ale ćwierć wieku temu Helena Karwacka (jeszcze wówczas nie profesor) zadała mi pracę seminaryjną: sporządzić bibliografię powojennych antologii poetyckich. Okazało się wtedy, że wśród sporej liczby tematycznych antologii brak zbioru wierszy o Łodzi, choć przecież poetyckie dzieje miasta rozpoczynają się od poematu Wiktora Dłużniewskiego w połowie XIX wieku.

Wkrótce potem napisałem felieton „O poetycką księgę Łodzi".

W wiele lat później z inicjatywy prof. Zdzisława Skwarczyńskiego rozpoczęła przygotowywać taką antologię mgr Barbara Stelmaszczyk z UŁ. Minęło znów parę lat — dr Barbara Stelmaszczyk jest dziś adiunktem w Katedrze Literatury Współczesnej UŁ i wspólnie z dr Ziemowitem Skibińskim opracowała znakomitą koncepcyjnie antologię „Kwiaty łódzkie". Znów minęło trochę czasu wypełnionego tzw. trudnościami poligraficznymi i wreszcie wiosną tego roku antologia ujrzała światło dzienne.

Sporo czasu upłynęło więc od pierwszych inicjatyw udokumentowania poetyckich dziejów Łodzi. Ale jest wreszcie piękna księga, za którą specjalne uznanie należy się nie tylko autorom, ale i drukarni, czyli Łódzkim Zakładom Graficznym przy ul. PKWN, Hannie Stańskiej i Michałowi Kunie za opracowanie graficzne, redaktorowi-poecie Andrzejowi Biskupskiemu i redaktorce technicznej Barbarze Stępińskiej za poligraficzną „czystość" i elegancję tej książki.

Oczywiście nie piszę tu recenzji tylko osobiste refleksje. Książka jest — jak się rzekło — piękna i jest to pierwsza, prawdziwa i rzetelna antologia Łodzi poetyckiej. Pierwsza, choć były takie próby wcześniej, ale dokonywane na doraźne potrzeby. Przypomnę więc, że w roku 1952 Tadeusz Chróścielewski i Grzegorz Timofiejew opublikowali zbiór wierszy „Łódź w walce" — w sześć lat później Henryk Rudnicki sporządził mini-antologię w informatorze „Łódź od A do Z" — a w roku 1976 z okazji Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi piszący te słowa wraz z Bogusławem Sikorskim wydali nakładem Muzeum Historii m. Łodzi arkusz poetycki pt. „Strofy nad miastem".

Ten ostatni wybór był chyba publikacją najsłabszą i z niejakim zażenowaniem przeczytałem o nim informację we wstępie do „Kwiatów łódzkich", a potem z przerażeniem zobaczyłem w przypisach, że dwa wiersze w antologii przedrukowano właśnie z tej naszej broszurki. Z przerażeniem, bowiem znam niedostatki naszej mini-antologii, która wszystkie inne antologie przewyższa ilością błędów w tekstach — ale też przewyższa tempem wydania. Otóż wydaliśmy tę broszurkę w ciągu... siedmiu dni.

A jak to było — opowiem. Na posiedzeniu Komitetu Organizacyjnego Festiwalu Poezji w roku 1976 — na dwa tygodnie przed imprezą ktoś smętnie oświadczył, że szkoda iż nie pomyślano wcześniej o wydaniu jakiejś małej antologii wierszy o Łodzi — bo teraz już za późno.

„Dlaczego za późno?" — zapytał wówczas Bogusław Sikorski, ówczesny redaktor w Krajowej Agencji Wydawniczej. Popatrzono na niego jak na wariata.

Tej nocy przewertowałem kilkadziesiąt tomików poetyckich i wybrałem z nich osiemnaście wierszy o Łodzi. Rano mieliśmy zatem gotowy maszynopis antologii.

Chodziło teraz o druk. Żadna z renomowanych drukarni nie chciała od nas przyjąć zamówienia w tak zwariowanym terminie. Znaleźliśmy zatem na Bałutach drukarenkę „Pumestolu", specjalizującą się w tzw. drukach płaskich, wykonującą różnego rodzaju etykiety i nalepki przemysłowe. Projekt okładki powstał wspólnie — bez udziału grafika — przy pomocy drukarzy. Na białym tle czerwona plama, a na niej tytuł „Strofy nad miastem". Po paru dniach druk był gotowy w nakładzie 800 egzemplarzy.

Oczywiście tak błyskawicznie wydany arkusz poetycki zawiera pewne błędy i nie jest z całą pewnością wzorem do naśladowania. Jest raczej świadectwem dobrych chęci jego autorów, którzy pracę tę wykonali bez pytania o zapłatę i nie przewidywali, że potem będą nagabywani przez niektórych kolegów — poetów o honoraria za przedruk ich wierszy. Czyli jak widać — cała inicjatywa była realizowana po wariacku.

Nie wspominał bym o tym, ale skoro „Strofy nad miastem" znalazły się w tej pięknej, rzetelnie i kompetentnie opracowanej antologii — chcę usprawiedliwić jakoś niedoskonałość naszego druku sprzed sześciu lat.

Barbara Stelmaszczyk — Świontek pisze we wstępie do „Kwiatów łódzkich": Wybór niniejszy — najobszerniejszy z dotychczasowych — obejmuje tylko te utwory, które można podciągnąć pod miano szeroko rozumianej liryki. Obfitość takich utworów o tematyce łódzkiej usprawiedliwia dokonanie niekiedy może nazbyt arbitralnego wyboru".

Myślę, że te obiekcje są niesłuszne. Oczywiście można było wydać antologię-dokument, grupujący chronologicznie wszystko co mową wiązaną na temat Łodzi opublikowano. Sądzę jednak, że byłby to dokument zbyt nużący, artystycznie niezbyt atrakcyjny i chyba dobrze, że przyjęto koncepcję wyboru i wyodrębnienia kilku grup tematycznych — od mitów i legend miasta po impresje liryczne.

Na koniec jeszcze jedna osobista refleksja. Od czasów tamtej seminaryjnej bibliografii sprzed ćwierćwiecza antologiom poetyckim pozostałem wierny, gromadzę je skrzętnie — mam ich w mojej bibliotece spory zbiór. Często także o nich piszę — bywa, że krytycznie. O „Kwiatach łódzkich" krytycznie napisać nie potrafię, bowiem zarówno koncepcja wyboru jak i jej poligraficzna i graficzna realizacja przystają do mojej prywatnej wizji takiego wydawnictwa.

Być może uczeni poloniści znajdą tu jakieś uchybienia, ale łódzki czytelnik, od lat czekający na taką księgę, na pewno przyjmie ją z wdzięcznością. Przyjmie jeżeli się pośpieszy, bo wydawca ustalił nakład nader ostatecznie — na 10 tysięcy egzemplarzy. Podobną ostrożność wykazali łódzcy księgarze, którzy zapotrzebowanie czytelnicze ocenili jeszcze niżej — na 4 tysiące. W tej sytuacji antologii „Kwiaty łódzkie" przyjdzie nam szukać po księgarniach Pajęczna i Mszany Dolnej. Kto chce tego uniknąć niech co rychlej wybierze się do łódzkich księgarń, dopóki nakład nie został wyczerpany. Zaręczam, że warto zapolować na tę książkę.

JERZY WILMAŃSKI ■

Opowieść Anglika Ha-leluja brother.

Jest to fragment powieści jugosłowiańskiego pisarza, RATKO ADAMOVICA, pt. „SZNUR". Powieść przełożyła z serbsko-horwackiego JOLANTA KLASNINOVSKA. Całość przygotowuje do druku Wydawnictwo Łódzkie. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

W kabinie Vida zawsze się tak dobrze piło, jak u starej kurwy. Ale nie tylko piło. Kapitan miał w głowie jakiś zabójczy zegar i kalendarz wydarzeń, któremu nikt ktokolwiek był bliski temu człowiekowi, nie mógł się oprzeć.

Zabrnęliśmy w noc, zabrnęliśmy w rozmowę i pełne morze. Gdzieś po północy pękły napięte spodnie Johnnie Walkera i Vid naraz, jak to on zwykle robi, bez żadnej zapowiedzi, jak katastrofa, odwrócił się prosto do Anglika i zapytał:

— Słuchaj, Angliczku! Na Allaha i Mahometa, kim ty właściwie jesteś?

Gotowe — pomyślałem — zarżnie człowieka i nawet ręka mu przy tym nie zadrży.

Kiedy kapitan niespodziewanie powie komuś „ty" — uzna go za przyjaciela, wyciśnie na nim swój znak jak na drogocennym pierścieniu, który odtąd będzie można nosić i wykorzystywać wszędzie — stanie się on przyjacielem kapitana, oznakowanym, dozgonnym.

— Wiem już o tobie różne różności — ciągnął Vid — a właściwie nie wiem nic. Ani jaki cię diabeł przyniósł do mnie na statek, ani co cię wypędziło z domu, co tam przez całe marne życie robiłeś, z czego brałeś na czarny, najczarniejszy chleb. Chyba przyszła pora w naszych posiedzeniach i otwieraniu pokoju za pokojem warowni człowieka żebyś nas teraz pięknie i uroczyście, albo ukradkiem, jak wolisz, wprowadził do wielkiej sali centralnej, cokolwiek by nas tam czekało. Zresztą, jak kocica słabe kotki, ten chłystek Johnnie Walker w mgnieniu oka wyciągnie nas z wielkiej sali jeśli będzie tam zbyt niebezpiecznie. No jak? Zgadzasz się, na Mahometa? Albo nas prowadź, albo zaśpiewajmy.

Ha-leluja brother uśmiechnął się, pochylił trochę głowę, jakby z jakiegoś strychu naprawdę zaglądał do sali i zastanawiał się czy można wejść, czy wszystko jest przygotowane na scenę i do występu, czy też z nadmiaru świństw nie będzie się można przecisnąć przez drzwi. Zaciągnął się papierosem tak, jakby dym miał iść do kotła, a nie do słabych płuc.

— Jeżeli myślicie, że przyszedł czas — powiedział Ha-leluja brother spoglądając na nas jak chłopiec, który posiusiał się przed inspektorem — jeśli bez tego się nie obejdzie, a wygląda na to, że nie, jeśli to was nie zmęczy, bo sala nie jest ani mała, ani pusta, a do świtu nie zostały wieki, będę opowiadać.

— No, to już załatwione, opowiadaj bracie, nie będzie nam gorzej niż tobie. Ani lepiej. Mamy czas. A i świt może poczekać.

Powiedziawszy to kapitan nalał po jednym, rozwarł nagle położoną dłoń, podał ją błyskawicznie Anglikowi. Zupełnie rozwarta, zwrócona do sufitu dłoń, wyciągnięte palce i oczy nagle otwarte jak Sezam, ośmieliły naszego uciekiniera, więc i on wyciągnął tak samo rękę i zgodził się. Jakby zawierał pakt z diabłem.

Anglik milczał, nie jakby miał zacząć opowiadanie, lecz jakby zamarł. Vid spojrzał na mnie i chmurząc twarz niemo powiedział, że należy być cierpliwym. Czekaliśmy. Czekaliśmy jak robotnicy świadomi, że źle zbudowali tamę, którzy wiedzą, że w każdej chwili przedrze się woda i wszystko zatopi, czekaliśmy właśnie tak, a każdy z nas wyszedłby najchętniej na pokład, by nie widzieć nawału zamąconej wezbranej wody.

— Bo — znowu zawahał się — bo ja, moi panowie, byłem człowiekiem teatru.

— Jak to, byłem?

— Byłem, tak. Już nie jestem i w żaden sposób nie zmusilibyście mnie, bym był nim znowu. Byłem. Skończone. Oto szczegóły. Byłem dramaturgiem i scenarzystą w jednym ze znanych teatrów angielskich. Już od wczesnej młodości miałem jakiś przeklęty pociąg do teatru. Nie targały mną sprzeczności między wyborem zawodu a młodzieńczymi przekonaniami. Kiedy mnie pierwszy raz posadzono na fotelu na widowni i nogami nie mogłem dosięgnąć parkietu, poczułem się tak jakoś słodko — mdło jak dziecko, ani trochę nie przestraszony — mówię wam — słodko — mdło jak we własnym pokoju. Rodzice byli zdumieni moim naturalnym i śmiałym zachowaniem. Niestety, tak się to zaczęło i trwało do dwóch lat temu wstecz. Około czterdziestu lat! Długo. Prawda? Całe swoje życie poświęciłem dla sceny, dekoracji, reflektorów, szminki, publiczności, płaczu, oklasków, owacji, niezadowolenia i protestów, nieudanych przedstawień, wielkich, przeciętnych, względnie dobrych przedstawień, niepowodzeń. Czterdzieści lat! To było już prawie wstrętne, nie mam racji? Śmieszne, do jakiego stopnia byłem związany z teatrem. I tak do pewnego wieczoru. Tego przeklętego wieczoru stałem za sceną zmęczony i zobojętniały na wszystko. Oglądałem wspaniałą kreację pewnego wybitnego aktora, sugestywnego, prawdziwego artystę. Patrzyłem, jak włada publicznością za pomocą swoich policzków, oczu, ust. Wczoraj lub tego samego wieczoru, dwie godziny wcześniej, ten sam aktor grał pewnego antycznego bohatera, w środę był panem z trzeciego piętra, którego interesują tylko pieniądze i szybki sukces, w piątek Hipolitem, w poniedziałek Smierdiakowem, we wtorek pijakiem który niszczy wszystko wokół siebie w środę łajdakiem i ponurym zboczeńcem. Ten rozkład jazdy, który odstukiwał mi w głowie jak cyfry na liczniku, zaczął coraz szybciej powtarzać się, coraz szybciej, szybciej i wciąż głośniej. Zrobiło mi się prawie niedobrze, ale nie mogłem powstrzymać napierających myśli. To się na ogół udaje.

Albo są — myślałem — naprawdę wielkimi aktorami, artystami kreatorami, twórcami, albo ta cała gra, szminka, wrzawa wokół teatru, przedstawienia, premiery, przy których robi się tyle hałasu; przemówienia, głosy, akcenty, grymasy, westchnienia, fałszywe kostiumy i biżuteria, namalowane dekoracje, namalowane lata na twarzy efekty muzyczne, sztuczny wiatr, sztuczny szum lasów wszystko — to tylko szkarłatne małpiarstwo, ludzka swawola; ustępek na rzecz upudrowanej, zasranej miejskiej dekadencji i leniuchów, którzy nie chcą czytać książek, miejsce spotkań i Mekka homoseksualistów i cwanych prostytutek ukrytych w balowych sukniach, złotoustni krzykacze — wszystko to tylko błazeństwo, bezwstydne błazeństwo. Czymże jest ta wzniosła twórczość, jeśli uczycie się tego latami, krok za krokiem? Kim jest w ogóle aktor? Człowiekiem, którego uczycie chodzić, mówić, oddzielać słowa i sylaby, śpiewać, siedzieć, całować, wygłaszać długie zdania bez ponownego zaczerpnięcia oddechu, który ma się nauczyć na pamięć tekstu, gdy się zaś nauczy, aby komedia i wstyd były większe, daje sali swoją twarz, a sufler mu cicho podpowiada i papuga tylko robi miny, powtarzając za suflerem. Uczycie go, jak ma westchnąć, jak zatrzymać się w połowie zdania i potem ciągnąć dalej, jak płakać, jak przebiec przez scenę, żeby nie wypadło śmiesznie. Tego wszystkiego, mój Boże, uczycie go całymi latami. A to już nie żart. Uczycie go latami! Potem znów uczycie do każdego nowego przedstawienia, na każdej próbie znowu uczycie, znowu, znowu! Cóż to za wytrzymałe muły! Czy to wszystko tylko dla oklasków? Czegóż nie zniosą, byle tylko stanąć przed setką swoich, zawsze tych samych, współobywateli i rozwodzić się, wypowiadać cudze słowa, cudze myśli, cudzą mądrość, cudzą miłość, cudze słowa, cudze słowa, cudze słowa, cudze słowa, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat cudze słowa! Fu!

Wszystko zawirowało wokół mnie i jeszcze trochę, a byłbym zwymiotował na tego biednego aktora, który by i to musiał odegrać i wkomponować w rolę, żeby nikt niczego nie zauważył i żeby klaskano jeszcze mocniej. Uciekłem z przedstawienia.

Idąc do domu, do żony, którą kochałem z całej duszy, aktorki, usiłowałem wszystko to co wydarzyło się za sceną, wymazać z pamięci. Ale jak na złość przypominają mi się wypowiedzi znanych aktorów, najwybitniejszych, twierdzących, że nie są artystami, że to, co robią, to tylko praca i nic więcej. To znaczy rzemiosło. To mnie poraziło. Wykończyło.

Wchodząc nazajutrz na próbę swojej sztuki, czułem się tak, jakbym był oblepiony odchodami z całego miasta. Jednakże po próbie, gdy siedziałem w gabinecie, w gabinecie dyrektora artystycznego, kiedy inni opuszczali scenę i garderoby, zrozumiałem nagle, tak jakbym pierwszy raz przejrzał na oczy, że to ja — dramaturg jestem małym panem bogiem, panem, posiadaczem władzy, carem aktorów, carem publiczności. Władcą! Przecież mogłem wszystko — zrozumiałem — wszystko.

Twarz Anglika tak już zniekształciła się w jakimś kurczu, tak skręcał się cały, jakby strzelano do niego, że Vid z pewnością pożałował, iż zmusił go do opowiadania.

— Jeśli to ma nie wyjść ci na dobre — powiedział cicho — lepiej, bracie, przerwijmy.

— Nie, nie! Za późno. Dajcie spokój!

Potem Ha-leluja brother naprawdę nami wstrząsnął. Obaj chcieliśmy uciec z kabiny, żeby nie patrzeć, jak się męczy i powoli zdycha przed nami. Bo jak już siedział na brzegu krzesła, a siedział tak zawsze, tak tylko ześlizgnął się na kolana i z całej siły uderzył dłońmi o podłogę, a rozdarł się tak, że chyba nawet morze go słyszało.

— Ja to pierwszy raz komukolwiek opowiadam. Miejcie cierpliwość.

— Ależ, opowiadaj, kochany, opowiadaj. Mnie i memu Torowi sprawia to przyjemność. Wiesz, u nas dziecko, które nie miało babki, i to babki, które znała wszystkie opowiadania na świecie, wszystkie piosenki i legendy na pamięć, w ogóle nie było dzieckiem i nawet trudno je było sobie wyobrazić jako wartościowego potem człowieka, i rosło tak jakoś, że Boże zlituj się. I biedna była babka, która tego wszystkiego nie znała. Bo wtedy z pewnością nie była babką, lecz tylko matką matki.

Wstrząśnięty z powodu Ha-leluja brother nawet nie zauważyłem tej nocy, jak to Vid mnie sobie przywsaja i mówi: „wiesz, u nas".

— Panowie — Anglik znajdując widać ulgę w spowiedzi, śpieszył się teraz jak ukłuty żądłem i ciągnął dalej, jakby wcale nie było przerwy:

— Gdybym tylko chciał! Moi są aktorzy i to nie tylko w moim teatrze, lecz i ci na szerokim świecie, którzy mnie nigdy nie widzieli, dla których gdzieś tam za dziewięcioma górami, dziewięcioma morzami i dziewięcioma lasami ustanawiam nowe prawa, myśli i zachowanie, którzy skaczą jak marionetki: gdy pociągnę za sznurek, nieubłagany, musieliby, musieliby robić to wszystko co mi w pewnej chwili przyszło do głowy. Skakać, rozwodzić się, ryczeć, z przeproszeniem pierdzić, dopuścić, by ich inni ujeżdżali, na nich plull, wlekli za nos, tłukli, żeby na nich nawet, przepraszam bardzo, szczali, rozbierali ich, rzucali do wody, polewali jakimiś śmierdzącymi roztworami, rzucali, z przeproszeniem, w gówna, jeśli zajdzie potrzeba. Wszystko to mogłem ja, pan niewolników, którzy lepiej pierdzili, beczeli, rozwodzili się, darli się, znosili wszystko, słuchali, byli głupsi — dostawali większe nagrody, wynagrodzenie, krzyże zasługi i legii honorowej. Tego wieczora, w swoim gabinecie, prawie zerwałem się na równe nogi myśląc o sobie. Władca!!!

Jednakże nie trwało to długo. Trwało tylko parę godzin. Kiedy człowieka nadgryzie zwątpienie nie ma już takiego środka, który by tę rankę mógł zaleczyć, załatać i naruszone miejsce uzdrowić. Było to definitywne zwątpienie człowieka, któremu się oczy boleśnie, ale ostatecznie otworzyły. Tak. Aktorzy mieli rację. Wszystko jest tylko rzemiosłem. Wszystkiego się tylko uczy: piłowanie — płacz, kucie — mowa, szycie-chodzenie, ciosanie — śmiech. Fu! Brudne rzemiosło.

Cała moja istota składała się naraz ze zwątpienia i entuzjazmu. Te dwa uczucia wymieniały się, dopóki nie doprowadziły do całkowitego krachu — rozłamu istoty. Zwątpienie coraz częściej przeobrażało się w kompletne rozczarowanie, a zachwyt zjawiał się coraz rzadziej, by wkrótce zniknąć zupełnie. I nie chodziło już o teatr. Całe życie kotłowało się uciekając przed zwątpieniem i rozczarowaniem, całe życie powoli okatywało się bez sensu. I na próżno straconych czterdzieści lat wisiało mi nad głową jak dziecko, które urodziło się nieżywe. Jedyne wyjście widziałem w znalezieniu sposobu, by przeciąć ten sznur i na zawsze udowodnić jedno lub drugie. Całe dnie spędzałem myśląc, co by było dostatecznie silne, dostatecznie poważne i rozumne, by uwolnić mnie od cierpienia. Na początku próbowałem rozmawiać z przyjaciółmi, ludźmi teatru, rówieśnikami, wreszcie z aktorami. Ich także męczyły różności, ale w istocie obce im były moje zwątpienia i w każdym słowie znajdowali usprawiedliwienia dla swego małpiarstwa. Rozmówcy nie znalazłem. Musiałem, jak zwykle, do swojej studni, po swoją wodę, raz kozie śmierć.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Ale masz szczęście, posłańcze, przychodzisz w samą porę — ze złością wycedził Vid i nakładając na twarz maskę kapitana, rozdarł się: — Tak! Tak!

Wszedł mężczyzna, łysy, z szyją wrośniętą w ramiona. Nie spodziewał się nas, więc cofnął się i chciał wyjść.

— Mów! Obyś zszezł! Mów! — zawołał Vid podnosząc się z krzesła. — Nie przeszkadzają ci chyba ci ludzie!

— Kap... kap... kapitanie, co to ja... panie kapitanie — i jakby przynosił wieść o zwycięstwie, wypalił jak z armaty — Dżef się upił!

— Iiii?

— Ale, proszę pana, pijany jest jak bela.

— A czemuś i ty nie przyłączył się do niego, niedopieszczony stworze? Ty to niby nie lubisz tej wody, co?

— Ja sumiennie wykonuję swoje obowiązki, proszę pana.

— Słuchaj, Asimilu, chyba, na litość boską, nie tymi swoimi pyskatymi ustami, bo... — Kapitan był tak wściekły, żeśmy zlękli się o niego. — Choćbym nawet miał zdechnąć jak pies pod płotem, przysięgam ci, że to twoja ostatnia podróż ze mną. Czyż nie mówiłem jasno — wstał usiłując jednak poskromić wściekłość — najpierw tobie, potem znów tobie i znów tobie przed wszystkimi i wszystkim, że od szpiclów przewracają mi się flaki i że tych psów nie chcę widzieć na moim statku? Zdrajca jest zdrajcą, jakkolwiek by go zwali i cokolwiek by zdradzał. Takich trzeba od razu pod ścianę! Asimilu, Asimilu, warto byłoby nawet skończyć w więzieniu, żeby tylko na świecie było o jednego szpicla mniej. Ale zanim pójdę do więzienia, wszystko na statku porozbijam tymi twymi krostowatymi ustami. Wszystko! I kiedy wszystko porozbijam, związę cię, i jak Boga kocham, wrzucę do morza! Nawet psy by cię nie tknęły. Nawet psy! Zakało rodu ludzkiego! Przecież nie jesteśmy na okręcie wojennym, nieszczęsny Asimilu. A nawet gdybyśmy byli. Kto wie, ki diabeł przycisnął dziś w nocy Dżefa. Czemu nie zapytałeś go, co mu jest, ty zmoro jedna! I ciebie, wierz mi, nikt nie zapyta, gdy cię potwór serdecznego smutku uchwyci za grdykę, by porwać ci duszę, a zaiste nieszczęsna jest ta dusza, którą zamknęli w tobie. Wynocha!!!

Asimil nie poszedł, lecz poleciał ku drzwiom.

— Czekaj — zatrzymał go kapitan — kiedy przybijemy do pierwszego portu, chcę otrzymać raport, że zszedłeś na ląd i nie pozostało po tobie śladu, a unikaj mnie, tchórzu, we wszystkich portach, na wszystkich morzach. Teraz zjeżdżaj!

Anglik, jak zawsze taktowny, uderzył tylko dłońmi o biodra i wstał.

— No to panowie, pozwólcie, że...

— Ależ czekaj, bracie. Czekaj. Trochę się rozzłościłem — i zaklął niezrozumiale, gorzko i piekielnie — nie przeszkodzi nam chyba ta wesz. I to teraz, gdy opowiadanie jest najlepsze, kiedy dopiero się zaczyna, kiedy nawet nie śmie być przerwane. Gdybyśmy teraz przerwali co by do rana stało się z twoją duszą? Mam rację, Torze? A, Torino! Siedź, sieeeedź. Ty jakbyś nie miał babki, No, siadaj, mój Ha-leluja brother — ten naród czasem kłamie, gdy mówi, że pchła jest mocniejsza od junaka.

Vid po raz pierwszy, niechcący użył imienia, którym nazywaliśmy go tylko między sobą.

Twarz Anglika rozjaśniła się w uśmiechu, gdy zrozumiał, że to przydomek, jaki mu nadaliśmy.

— A, to wy tak?

— Tak, bracie, tak.

Anglik z uśmiechem opadł na fotel gnieżdżąc się w nim, jakby przygotowywał się do dalszej opowieści

— Czekaj! Stójcie carskie wojska, by konie odpoczęły. Napoimy je, może będzie lżej pod tę twoją piekielną górę. A i tobie nielekko. Co?

Mówiąc to Vid wziął butelkę i nalewał każdemu po troszku, po troszku, po troszku, po kolei w kółko, dopóki nie napełnił kieliszków, a wszystko po to, by rozbić wściekłość i przywrócić braterską atmosferę. Przez cały ten czas, przenosząc szyjkę butelki od kieliszka do kieliszka, mówił:

— Chodzi lisek koło drogi — i kap — nie ma ręki ani nogi — znów kap — chodzi lisek koło drogi, zagląda ci między... nie ma ręki ani nogi Taaak! Na zdrowie, mili moim marynarzykowie!

I naprawdę udało mu się. Ha-leluja brother zapalił papierosa i mówił dalej, wprawdzie trochę bardziej opornie, ociągając się, skrzypiąc, z mozołem, tak jak rusza ze stacji przybyły dopiero co pociąg. Przy odjeździe maszyna niemal na próżno kręci kołami, ale ciągnie. Jeśli woda pocieknie, to już sam rozfaluje się wszerz i wzdłuż, chcemy tego czy nie.

Rys. R. Topor

C.d.n. ■